Kod dostępu do Wyborcza.pl na weekend

Szon patrole wyrosły na szon lekturach ▸4

Już mnie stać na dobre wino, ale żywię się pizzą ▸24

Ukraińcy zaczynają wojnę światową ▸16

WYSOKIE OBCASY

Żona kapitana „Heweliusza": Czytam listy od niego

FOT. BERT HOFERICHTER / ALAMY STOCK PHOTO/BE&W

MAGAZYN wyborcza
wyborcza.pl
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Czym Pełczyńska-Nałęcz podpada kolegom politykom

Gdyby była mężczyzną...

▸8

FOT. DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

GAZETA wyborcza
Wydaje Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 348198
ISSN 0860-908X
9 770860 908167 45>

Pieniądze rozdzieliły **braci Karnowskich** ▸13

Ksiądz to nie praca dla kobiety ▸34

To nie Piłsudski wywalczył niepodległość? ▸40

Nie Trump i nie Rosjanie Kto wymyślił fake newsy ▸43

Sobota – czwartek, 8-13 listopada 2025 | Redaktor prowadzący **Marek Markowski** | Cena gazety **11,99 zł** (w tym 8% VAT) | nr 260.11057, 1

Nakład 73 tys. + 302 tys. prenumerat cyfrowych

eprasa.pl 4631607220

Andrzej rysuje

Liczba tygodnia

5

W TYLU STANACH

FOT. REUTERS/MIKE SEGAR

wygrali Demokraci w ten wtorek. Oprócz Nowego Jorku wzięli New Jersey, gdzie urząd gubernatora obejmie Mikie Sherrill **(na zdjęciu)**, prokuratorka generalna i była pilotka wojskowa, oraz Wirginię. Tę aż trzykrotnie – mieszkańcy stanu uznawanego za polityczny barometr przed wyborami do Kongresu na gubernatorkę wybrali kongresmenkę Abigail Spanberger, na wicegubernatorkę senatorkę stanową, muzułmankę o hidnuskich korzeniach Ghazali Hashmi, a na prokuratora generalnego prawnika Jaya Jonesa. Z kolei wyborcy z Kalifornii zgodzili się na projekt Demokratów wytyczający nowe okręgi wyborcze, a mieszkańcy Maine zagłosowali za ograniczeniem dostępu do broni.

Więcej w tekście „Nie tylko Mamdani" Bartosza Hlebowicza na Wyborcza.pl/swiat

Cytat tygodnia

33-letni komunista, prowadząc partyzancką kampanię, pokonał polityka napędzanej milionami dolarów machiny establishmentu

WICEPREZYDENT J.D. VANCE
o nowojorskich prawyborach Demokratów, w których Mamdani pokonał 67-letniego Andrew Cuomo, skompromitowanego oskarżeniami o molestowanie eks-gubernatora stanu Nowy Jork

Kod dostępu do Wyborcza.pl

Zawadzki

Ameryka już nie wróci

Fajniejszy

Sukces Mamdaniego to prognoza, ale

Jakim cudem 34-letni imigrant, socjalista i muzułmanin, o którym rok temu nikt nie słyszał, wygrał wybory na burmistrza Nowego Jorku? Powodów jest wiele, ale o najważniejszym mówi się raczej rzadko.

Otóż największym atutem Zohrana Mamdaniego była autentyczność. Niczego nie udawał, nie lawirował, nie szukał poklasku, przez całą roczną kampanię pozostał sobą, co zresztą podkreślał z dumą w poniedziałkowym nocnym przemówieniu po zwycięstwie: „Gdyby wierzyć obiegowym opiniom, to daleko mi do idealnego kandydata. Jestem młody, mimo moich usilnych prób, by się zestarzeć. Jestem muzułmaninem. Jestem demokratycznym socjalistą. A największa moja wada jest taka, że nie zamierzam za to wszystko przepraszać!".

Jeszcze 10 lat temu żelazną regułą amerykańskiej polityki było dostosowanie przekazu do okoliczności i odbiorcy. W prawyborach, w których biorą udział najczęściej partyjni aktywiści, kandydat musi być bardziej radykalny, ale przed wyborami powszechnymi musi złagodzić wizerunek, żeby zdobyć wyborców centrowych i niezależnych. Tak działały wszystkie kampanie prezydenckie – z wyjątkiem tych Trumpa – a także kampanie stanowe i lokalne. Ale Mamdani z rozmysłem łamał stare zasady gry i do samego końca dobitnie przypominał wyborcom, kim jest.

Jeszcze dwa tygodnie temu wystąpił przed kamerami otoczony przez grupę kobiet w chustach i opowiadał jak bardzo dyskryminowani i szykanowani byli muzułmanie w Nowym Jorku – szczególnie po zamachu na World Trade Center 11 września 2001 roku, ale również i później. Niedługo przed głosowaniem to było bardzo ryzykowne i – jak powiedzieliby wytrawni polityczni stratedzy – zupełnie niepotrzebne. Przecież właśnie rywale Mamdaniego robili wszystko, żeby przypomnieć wyborcom, że jest on muzułmaninem.

Nie przepraszał za to, że w przeszłości ostro krytykował Izrael za prześladowanie Palestyńczyków. Kilka miesięcy temu, tuż przed prawyborami, podczas legendarnej już debaty kandydatów demokratycznych, kiedy wszyscy jego konkurenci jeden po drugim deklarowali, że w pierwszą podróż po wygranej pojadą do Izraela, Mamdani wyłamał się z absurdalnego chóru i przytomnie stwierdził, że zostanie w Nowym Jorku, bo jako burmistrz tego miasta ma zamiar zająć się jego problemami.

Naturalnie sama autentyczność kandydata by nie wystarczyła; tak się złożyło, że idealnie zgrała się z potrzebami nowojorczyków. Nikogo nie pouczał jak tradycyjni politycy, tylko chodził po ulicach miasta i pytał ludzi, jakie mają problemy. Ceny wynajmu mieszkań, które obiecał zamrozić, są faktycznie zaporowe. A po dwóch latach masakry w Gazie nawet Amerykanie, szczególnie młodzi, już nie wierzą, że bombardowania i głodzenie cywilów są potrzebne, żeby uratować Izrael przed terroryzmem.

•

Mamdani nie jest żadnym pionierem przecierającym nowe szlaki. Dwaj ludzie, którzy odnieśli najbardziej spektakularne sukcesy w amerykańskiej polityce w ostatniej dekadzie, też są autentyczni.

Pierwszy to 84-letni senator Bernie Sanders, który od kilkudziesięciu lat, jeszcze od czasów, kiedy był burmistrzem małego miasteczka Burlington w stanie New Hamsphire, powtarza to samo: krytykuje społeczne nierówności, domaga się wyższych podatki dla milionerów i miliarderów, bezpłatnej służby zdrowia i tańszych lekarstw. Od lat potępia „zbrodniczy rząd premiera Netanjahu" i domaga się wstrzymania pomocy wojskowej dla Izraela – niczym Don Kichot zgłaszając w senacie projekty ustaw w tej sprawie, które zawsze są odrzucane.

REUTERS/MIKE SEGAR

Kiedy podczas telewizyjnej debaty wszyscy kandydaci w nowojorskich prawyborach deklarowali, że w pierwszą podróż po wygranej pojadą do Izraela, Mamdani stwierdził, że zostanie w Nowym Jorku, bo jako burmistrz tego miasta ma zamiar zająć się jego problemami

Tym sposobem Bernie zdobył sobie szacunek nawet ludzi, którzy ideologicznie są od niego bardzo daleko, na przykład najpopularniejszego podcastera Ameryki Joego Rogana. Gdyby nie zmowa elit Partii Demokratycznej przeciwko niemu, byłby jej kandydatem w wyborach prezydenckich 2016 i 2020 roku.

Drugim politykiem, który wygrywa na autentyczności, jest 79-letni Donald Trump. To paradoks, bo jest on – jak powszechnie wiadomo – patologicznym kłamcą, blagierem, megalomanem i ignorantem. Ale w sensie charakteru, zachowania, manier jest prawdziwy. Wyborcy czują, że niczego nie udaje, taki sam jest również po wyłączeniu kamer. Nie gryzie się w język, nie przeprasza za skandaliczne wypowiedzi czy zachowania z przeszłości. Kiedy stoi sam przed lustrem, widzi najlepszego prezydenta w historii Ameryki, wybitnego biznesmena i genialnego negocjatora – i za takiego się podaje w rozmowach z dziennikarzami.

Dla odmiany Kamala Harris, jego rywalka w zeszłorocznych wyborach, była całkowicie sztuczna i kreowana przez speców od politycznego piaru. Nie miała własnych poglądów, żadnych ideałów, oferowała jedynie „pozytywną energię" i „entuzjazm" w odróżnieniu od „mrocznej wizji Trumpa". W sprawach kontrowersyjnych starała się wypowiadać mętnie albo unikać odpowiedzi, śmiała się perlistym śmiechem diwy operowej i generalnie była człowiekiem bez właściwości.

Cokolwiek by o nich nie powiedzieć, Trump, Sanders i Mamdani nie są ludźmi bez właściwości.

1 RP

eprasa.pl 4631607220

do normy

Trump

niekoniecznie pozytywna

Po zwycięstwie Mamdani nie zamierza się zmieniać, tak przynajmniej zapowiada. W mowie zwycięzcy mówił: „Donaldzie Trump, wiem, że nas oglądasz, więc teraz pogłośnij dźwięk w telewizorze i posłuchaj: Nowy Jork pozostanie miastem imigrantów, zbudowanym przez imigrantów, napędzanym przez imigrantów i, od dzisiejszej nocy: zarządzanym przez imigranta. Jeśli chcesz zabrać kogokolwiek z nas, najpierw będziesz musiał przejść przez nas wszystkich”.

•

Ben Rhodes, kiedyś jeden z najbliższych doradców Baracka Obamy, komentował, że „Mamdani pokazał, że przyszłość Partii Demokratycznej trzeba budować na wierności zasadom i na programie zmian, a nie na próbach utrzymania status quo i na sondowaniu opinii publicznej, żeby dostosować do niej przekaz”. Szkopuł w tym, że elity Partii Demokratycznej tego nie rozumieją.

W 2016 roku, mając za przeciwnika żywiołowego arywistę obiecującego rozgonienie skompromitowanego establishmentu, przepchnęły kandydaturę Hillary Clinton – kompetentnej i walecznej, ale cyborgowatej, wyższościowej i kojarzącej się z zakonserwowanymi waszyngtońskimi elitami tak bardzo, jak tylko możliwe – zamiast Sandersa, który wywoływał entuzjazm młodych.

W 2020 roku zjednoczyły się wokół starego – w sensie fizycznym oraz metaforycznym, bo od 47 lat rezydującego na Kapitolu – i „bezpiecznego” Bidena – znowu, żeby broń Boże nie dać nominacji „radykalnemu” Berniemu. Tym razem się udało, bo wszyscy, nawet umiarkowani prawicowcy i konserwatyści, mieli dość Trumpa.

Cztery lata później, kiedy znów po drugiej stronie ringu stanął żywiołowy arywista obiecujący rozgonienie establishmentu, a każdy widział gołym okiem, że Biden jest za stary na reelekcję i Amerykanie uparcie mówili o tym we wszystkich sondażach, partyjne elity przekonywały ich, że „prezydent jest w świetnej formie i na naradach w Białym Domu kręci kółka wokół swoich doradców”. Więc kiedy po katastrofalnej debacie w telewizji Biden musiał wycofać się, partia zjednoczyła się… oczywiście nie wokół Sandersa, lecz wokół kandydatki bez właściwości.

Wydawałoby się, że po takiej serii klęsk Demokraci czegoś się nauczą, ale nie. Również Mamdaniego – kandydata młodego, z wizją, utalentowanego politycznie i wywołującego entuzjazm – traktują jak gorący kartofel. Ich przywódca w senacie, Chuck Schumer, nie poparł go ani nawet nie chciał powiedzieć dziennikarzom, na kogo głosował. Przewodniczący Izby Reprezentantów Hakeem Jeffries niby poparł Mamdaniego tuż przed głosowaniem, ale potem, pytany przez dziennikarzy, czy młody kandydat jest przyszłością Partii Demokratycznej, odpowiedział, że nie.

Obydwaj – Schumer i Jeffries – nadal bronią status quo, bo są skutecznie zmłotkowani przez lobby bogatych darczyńców i przez lobby proizraelskie.

•

Tym sposobem elity Demokratów stają równie żałosne, jak elity Republikanów, które z kolei zamieniły się w sektę wyznawców kultu Trumpa. Po jednych i po drugich nie należy się spodziewać niczego dobrego, czego dowodem jest obecny impas w Ameryce. Rząd stracił finansowanie, bo obie partie się nie dogadały w sprawie budżetu i może nawet zabraknąć pieniędzy na kupony żywnościowe dla milionów najbiedniejszych Amerykanów. Tymczasem stratedzy obu partii zastanawiają się, która bardziej na tym straci politycznie. Nic dziwnego, że kiedy politycy są totalnie bezużyteczni, kariery robią ludzie spoza polityki tacy jak Mamdani. Jego sukces to prognoza na przyszłość, ale niekoniecznie pozytywna.

Skostnieniu i kompromitacji klasy politycznej w Ameryce towarzyszy totalny brak cenzury – kiedyś dokonywały jej tradycyjne media, które były jedynymi dostawcami informacji i opinii. Obecnie, dzięki platformom społecznościowym, każdy może się przebić ze swoimi najbardziej zuchwałymi pomysłami i poglądami. Na lewicy przebił się Mamdani, który zaczął kampanię od serii filmików na TikToku. A na prawicy przebił się 27-letni Nick Fuentes, który uważa, że Hitler był spoko gościem i że dane o milionach Żydów zamordowanych w obozach śmierci są mocno przesadzone. Teraz właśnie on jest teraz wiodącą, a przynajmniej najgłośniejszą, postacią młodej amerykańskiej prawicy.

Jeśli ktoś myślał, że po burzliwej erze Trumpa wszystko wróci do normy, to jest w błędzie. Ameryka będzie coraz bardziej nieprzewidywalna, niepokorna, nieuznająca dotychczasowych aksjomatów i autorytetów. My, Europejczycy, musimy się do tego przygotować. Jak również do tego, że my również będziemy coraz bardziej nieprzewidywalni.

Aby jednak nie zostawić państwa w minorowym nastroju: tymczasem w Nowym Jorku zaczyna się społeczny eksperyment, który może mieć konsekwencje dla całej Ameryki. W styczniu w jednym z klipów wyborczych Mamdani zapowiadał, ze zamrozi podwyżki czynszów mieszkań i na dowód, jak jest zdeterminowany, wskoczył w garniturze do mroźnej wody na plaży w Coney Island. Wbrew pozorom jego program nie jest wcale tak radykalny czy niepoważny, jak to wygląda na zabawnym happeningowym nagraniu.

Czynsze zamrażali już poprzedni burmistrze, a obiecywana przez Mamdaniego podwyżka podatków dla najbogatszych nowojorczyków o 2 procent to żaden „socjalizm”. Największa zmiana, którą obiecywał, to polityka dla ludzi i bez oszukiwania, a nie polityka dla polityków i bogatych darczyńców, którzy finansują ich kampanie. Z jednej strony to niewiele, z drugiej – bardzo trudna obietnica do spełnienia. ● **Mariusz Zawadzki**

REKLAMA

Kraj/34405171

eprasa.pl 4631607220

WAŻNY TEMAT

Co mają lektury do „szon patroli”

W „Kamieniach na szaniec” dziewczęta podają chłopcom herbatę, sprzątają, pocieszają. O tym, że one też walczyły i ginęły za ojczyznę, uczennice przeczytają w przypisach, i to w najlepszym wypadku.

Z **DR ALEKSANDRĄ KORCZAK*** ROZMAWIA **EMILIA DŁUŻEWSKA**

W swojej książce „Bezradne i romantyczne” przygląda się pani miejscu kobiet i dziewcząt w lekturach szkolnych. Po co?
– Bo miałam wrażenie, że w nauczaniu to kwestia przezroczysta. Nikt nie zastanawia się, jakie książki powinno się wprowadzić do kanonu w szkołach, żeby lektury oddawały zróżnicowane wzorce płci.

Stereotypowe przekonania dotyczące roli kobiet przyswajają dziewczęta: uczą się bierności, bezradności, tłumią pewne emocje albo mają kompleksy związane z tym, jak wyglądają. Ale też chłopcy, którzy później wymagają od kobiet, by w określony sposób funkcjonowały. Te przekonania z nimi zostają, często nie uświadamiają sobie nawet do końca, skąd się wzięły.

Od jakiegoś czasu uczę w liceum, a pracując nad książką, wróciłam do lektur z podstawówki. Uderzyło mnie, ile jest w nich stereotypów. W 2025 roku zupełnie oczywiste bywa założenie, że miejsce kobiety jest w kuchni. Albo że jeśli w książce występuje pierwszoplanowa bohaterka kobieca, to pozytywne zakończenie polega na nawiązaniu albo podtrzymaniu relacji romantycznej: znajdujesz partnera, zaręczasz się albo wychodzisz za mąż.

Wiele z tych książek powstało w czasach, kiedy to było szczęśliwe zakończenie. Kobieta niezamężna miała niezwykle trudne życie. W imię równości nie powinno się o tym opowiadać?
– Powinno, ale nie w taki sposób. Weźmy „Anię z Zielonego Wzgórza”.

Powieść Lucy Mount Montgomery ukazała się w 1908 roku. Scenariusz życia kobiety był wówczas bardzo mocno ograniczony, zwłaszcza w takich miejscach jak kanadyjska prowincja, gdzie toczy się akcja książki. Kiedy uczennica w podstawówce czyta o losach Ani, nie zna tego kontekstu. Nie może rozumieć, dlaczego Ania, choć jest bystra i chce się uczyć, ostatecznie ustatkuje się, zajmie wychowywaniem dzieci – i to będzie jej szczęśliwe zakończenie. Nie wie, że w tamtych czasach kobiety miały ograniczone prawa, możliwości kształcenia się czy osiągnięcia niezależności finansowej. I że horyzont bohaterek, ich ambicje i dążenia były bardzo ograniczone, bo żeby mieć jakąkolwiek pozycję społeczną, należało wyjść za mąż i założyć rodzinę.

Dlaczego nauczycielka tego nie tłumaczy?
– Tłumaczy, ale w szkole średniej, kiedy lektury są czytane w kontekście historycznym, a uczniowie poznają epoki literackie. Na poziomie podstawówki tych kropek się nie łączy. Dzieci czytają ciurkiem: „Akademia Pana Kleksa”, „Feliks, Net i Nika”, „Ania z Zielonego Wzgórza”.

To, którą lekturę omawia się pierwszą, zależy nie od tego, kiedy powstały, ale od tego, które książki są aktualnie dostępne w bibliotece. Pracowałam w szkole, na początku roku szkolnego poloniści uzgadniali, kto w którym miesiącu omawia którą lekturę. Bo dzieciaków było kilkaset, a egzemplarzy w bibliotece dużo mniej.

Czy jest coś, co łączy wszystkie bohaterki lektur?
– Zacznijmy od tego, że w wielu lekturach dziewcząt zwyczajnie nie ma albo pojawiają się na drugim planie, epizodycznie. Nie dostają głosu, a czasem nawet imienia. Role pierwszoplanowe odgrywają w powieściach adresowanych do dziewcząt. Ale i tam ich dążenia są dość schematyczne, dotyczą zwykle życia uczuciowego.

Bohaterki lektur nie mają jednej wspólnej cechy. Z pewnością są jednak bardziej jednorodną grupą niż pula bohaterów chłopięcych i męskich. Wśród postaci płci męskiej są i bohaterowie, i złoczyńcy, i magowie, i głupcy. Tymczasem dziewczęta można sprowadzić do kilku typów.

Na przykład?

1 RP

eprasa.pl 4631607220

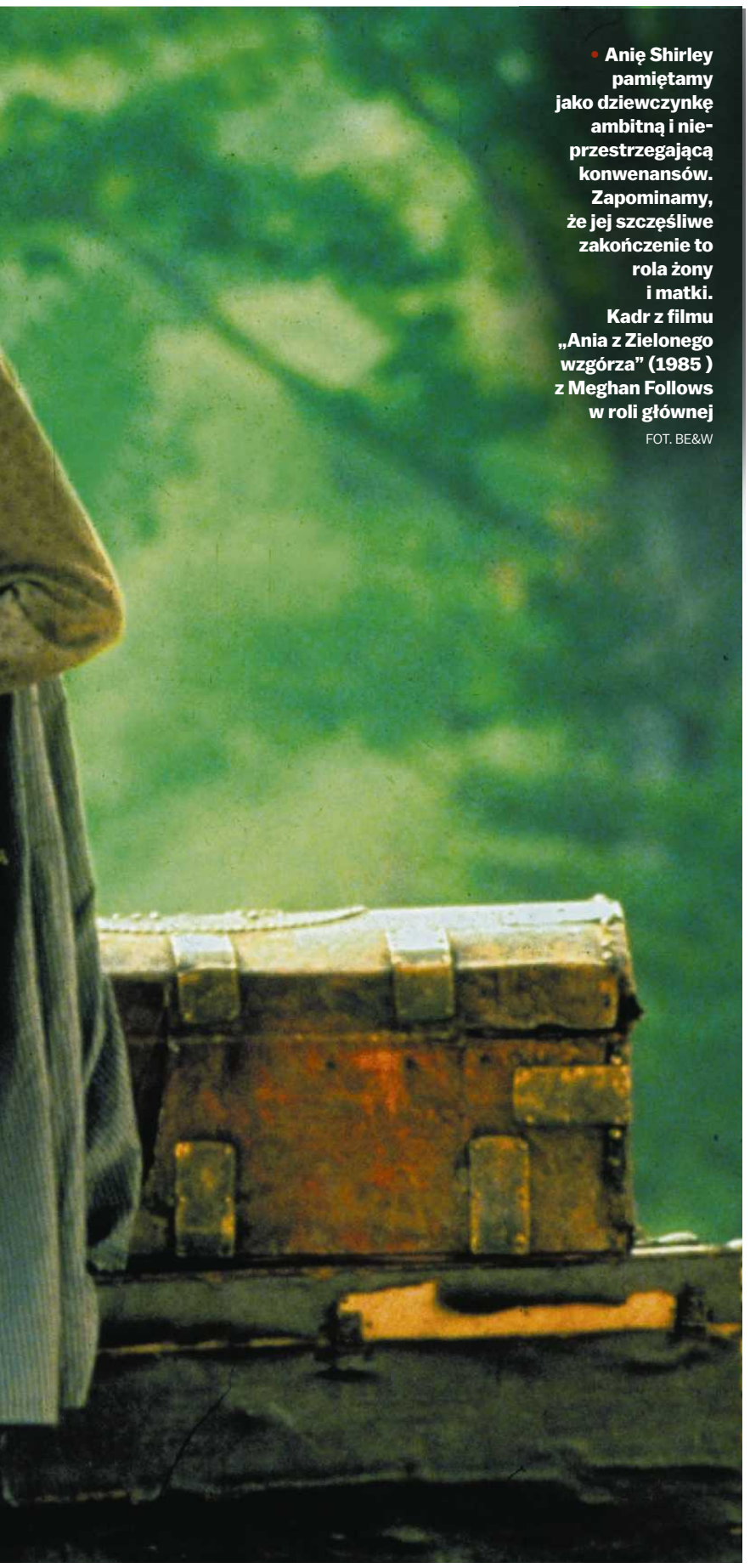

• Anię Shirley pamiętamy jako dziewczynkę ambitną i nieprzestrzegającą konwenansów. Zapominamy, że jej szczęśliwe zakończenie to rola żony i matki. Kadr z filmu „Ania z Zielonego wzgórza" (1985) z Meghan Follows w roli głównej

FOT. BE&W

– Opiekunka. To najczęściej matki specyficznie przedstawione. Teoretycznie poświęcają się wychowaniu dzieci, ale to wychowanie nie polega na byciu przewodniczką, kształtowaniu dziecka moralnie, ale na karmieniu i zabiegach higienicznych.

Dobrym przykładem jest Mila Borejko z „Kwiatu kalafiora" Małgorzaty Musierowicz. Mila nie pracuje. W książce mówi wprost: „Moje ambicje zawodowe naprawdę ograniczają się do dzieci. Wychować je na ludzi szlachetnych i mądrych to o wiele trudniejsze, niż pisać w biurze sprawozdania". To bardzo piękna deklaracja, tylko że nie przekłada się na działanie. O ile w niektórych tomach „Jeżycjady" Mila faktycznie dzieci wychowuje, akurat w tych czytanych w szkole – „Kwiecie kalafiora" i „Kłamczusze" – jej macierzyństwo sprowadza się wyłącznie do prowadzenia domu. Samodzielnie, bo jej mąż, Ignacy Borejko, jest nieobecny duchem i nie potrafi zrobić w domu nic.

Intelektualista powołany do rzeczy wyższych?
– Tak jest przedstawiany. A jednocześnie ten intelektualista i erudyta, ojciec, któremu tak zależy na sprawności intelektualnej córek, nie ma żadnego problemu z tym, że w momencie choroby żony prowadzenie jego domu przejmuje maturzystka. Dziewczyna, która powinna spędzać czas, przygotowując się do egzaminów.

Kiedy Mila Borejko trafia do szpitala, ojciec zostawia Gabrysi wszystkie kwestie związane z prowadzeniem domu: gotowaniem, praniem, zaopatrzeniem, opiekowaniem się młodszymi siostrami. A kiedy Gabrysia kompletnie już sobie nie radzi, na odsiecz przybywa ciotka, która uczy ją gotować. W książce to wątek przezroczysty: problem się rozwiązał, bohaterce będzie lżej. Ale dlaczego właściwie ciotka uczy przyrządzania obiadu Gabrysię, a nie jej ojca? Czemu Ignacy nie potrafi niczego ugotować? Czemu, skoro nie potrafią, nie pójdą po prostu do baru mlecznego albo do stołówki?

Gdy byłam uczennicą, lubiłam Gabrysię, bo była chłopczycą, która nie chodziła w sukienkach i grała w kosza. Podobnie lubiłam Anię Shirley, ambitną i nieprzestrzegającą konwenansów. To nie są przykłady emancypacji?
– Zwróć uwagę, że obie te historie kończą się poskromieniem bohaterki. Gabrysia Borejko zaczyna jako chłopczyca w dżinsach, ale ostatecznie łagodnieje, uczy się prowadzić dom, znajduje adoratora i zakochuje się w nim. Większość książek Musierowicz kończy się szczęśliwym zakochaniem.

„Ania z Zielonego Wzgórza" według niektórych literaturoznawców była pisana jako bildungsroman, powieść o dojrzewaniu, formowaniu się, odnajdowaniu miejsca w świecie. Początkowa impulsywność i niekonwencjonalność Ani wynika z tego, że była sierotą i nie odebrała należytego wychowania. Montgomery przedstawia to jako coś, co wymaga skorygowania. Ania przez całą książkę jest więc dyscyplinowana: przez Marylę, środowisko rówieśnicze, sąsiadkę. Stopniowo przynosi to rezultaty: poważnieje, przestaje „szczebiotać", staje się mniej impulsywna i roztrzepana. Przy okazji pięknieje: nabiera wdzięku, nawet jej rude włosy ciemnieją.

Kobiece piękno jest w lekturach istotne?
– Niewiarygodnie. To uderzające, ile uwagi poświęcane jest w lekturach szkolnych wyglądowi kobiet. Nie tylko głównych bohaterek, ale też postaci drugoplanowych, a nawet epizodycznych. W powieści Rafała Kosika „Felix, Net i Nika oraz „Gang Niewidzialnych Ludzi" nawet o pojawiającej się w jednej scenie właścicielce kawiarni dowiemy się, że ma piękne, długie włosy. Choć ten fakt nie ma dla fabuły absolutnie żadnego znaczenia.

Od bohaterek lektur z jednej strony oczekuje się piękna, z drugiej ośmiesza się je za próby upiększania się. Kiedy Ania Shirley farbuje włosy – w jej czasach marchewkowa rudość jest uznawana za nieatrakcyjną – pokątnie kupiona farba sprawia, że zamiast kruczoczarnych włosy stają się zielone, Ania musi zostać ostrzyżona na krótko, co jest dla niej ogromnym upokorzeniem. Ten rozdział nosi tytuł „Próżność ukarana".

Ten sam paradoks – prześladuje się kobiety za dbanie o swój wygląd, choć jednocześnie oczekuje się od nich, że będą ładnie wyglądały – działa też w prawdziwym życiu. Widać to na przykładzie słynnych „szon patroli". Dziewczęta, które chcą być atrakcyjne, są przez rówieśników wyśmiewane i prześladowane. Ci sami rówieśnicy potrafią narzekać, że przez feminizm kobiety nie chcą już chodzić w sukienkach, tylko w spodniach.

A w powieściach dziejących się w przyszłości albo w całkiem innych światach?
– Nie ma dużej różnicy. Jakiś czas temu byłam na konferencji naukowej poświęconej współczesnej literaturze dla dzieci i młodzieży. Prelegentka badająca literaturę fantastyczną opowiadała, że w tych książkach bohaterka nawet jak nie jest piękna, to i tak jest piękna. Może nie dbać o swój wygląd, ale i tak przyciąga męskich bohaterów, którzy chcą się z nią związać. Może nie być piękna na pierwszy rzut oka, ale oni zakochują się w jej spojrzeniu albo w pełnych wdzięku ruchach. Ma coś, czym wyróżnia się na tle rówieśniczek.

Naomi Wolf w „Micie urody" pisała o tym w kontekście XIX-wiecznej literatury dla kobiet jako teście wobec męskiego bohatera. Ten pozytywny dostrzeże w bohaterce piękno, choć nie jest taka jak inne kobiety. Czy może właśnie dlatego, że nie jest taka jak inne kobiety. To kolejny paradoks: bohaterki jako postaci są do siebie bardzo podobne również w tym, że wyróżniają się na tle zbiorowości. Każda z nich ma być inna niż inne.

Zamiast solidarności mamy więc rywalizację?
– We współczesnej literaturze młodzieżowej trudno o bohaterkę, która ma dobre relacje z innymi dziewczętami czy kobietami. Niewiele jest książek o żeńskiej przyjaźni, pozytywnej relacji z matką czy macochą. Dużo częściej tematem jest konflikt albo potrzeba wyemancypowania się z tego, co dziewczęce i kobiece. Ma to związek z trendem widocznym też w lekturach, który nazywam postfeministycznym: ich bohaterki są pozornie wyemancypowane, ale ta emancypacja przejawia się jako zerwanie z kobiecością i zachowywanie jak mężczyzna.

Weźmy Katniss Everdeen z „Igrzysk śmierci" – tajemnicza, milcząca, burkliwa, nie lubi typowo dziewczęcych rzeczy, wręcz się od nich odżegnuje. Jest silna i sprawcza, ale nie nazwałabym jej postacią feministyczną, bo feminizm to siostrzeństwo, wspieranie innych kobiet, budowanie z nimi relacji.

Może dzięki temu Katniss trafia też do chłopców? Trudno mi sobie wyobrazić chłopców czytających lekturę o dziewczęcej przyjaźni.
– Ale to działanie na objawy, a nie na problem, który wynika z kształtowania chłopców w patriarchacie. W którymś momencie rozwoju u dzieci zaznacza się podział płci. W szkole widać go bardzo wyraźnie: siadają oddzielnie, bawią się oddzielnie, chłopcy zawierają przyjaźnie z chłopcami, dziewczynki z dziewczynkami. To moment, kiedy stereotypy zaczynają wybrzmiewać mocniej. Chłopcy odcinają się od wszystkiego, co dziewczęce. Podkreślają, że ich to brzydzi, dyscyplinują

W wielu lekturach dziewcząt nie ma albo pojawiają się na drugim planie, epizodycznie. Nie dostają głosu, a czasem imienia. Na pierwszym planie są w powieściach dla dziewcząt. Ale te ich dążenia dotyczą zwykle życia uczuciowego

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

***Dr Aleksandra Korczak**

• nauczycielka języka polskiego, etyki i filozofii wyróżniona w Konkursie Nauczyciela Roku, nominowana do Nagrody Ireny Sendlerowej „Za naprawianie świata". Zasiadała w jury literackim Polskiej Sekcji IBBY, jest członkinią Pracowni Badań Literatury dla Dzieci i Młodzieży UW oraz współdziałaczką SOS dla Edukacji. W 2024 r. obroniła doktorat poświęcony dziewczęcym i kobiecym postaciom w kanonach lektur szkolnych.

eprasa.pl 4631607220

się nawzajem: nie zachowuj się jak baba, nie maż się jak baba. Budują swoją męską tożsamość na niechęci do tego, co kobiece. O tym też są „szon patrole": kontrolując koleżanki, chłopcy mogą się poczuć męscy, sprawczy, dumni.

A czy dziewczynki w lekturach miewają przygody?
– W klasach od pierwszej do trzeciej tak, a potem już coraz rzadziej i jest to bardzo smutne. Chyba że jako przygodę liczyć przypalenie ryby albo ufarbowanie włosów na zielono.

Jeśli dziewczęce bohaterki w ogóle występują w powieściach przygodowych, ich doświadczenie jest marginalizowane. Na pierwszy plan wysuwają się chłopcy. To oni eksplorują, przeżywają przygody i bronią dziewcząt. One mdleją, płaczą i są ocalane przez chłopców.

Kontrprzykład znalazła pani w książce wydanej ponad sto lat temu: „Królu Maciusiu Pierwszym" Janusza Korczaka z 1922 roku.
– Jedna z postaci, księżniczka Klu-Klu, dostrzega, że bierność osób płci żeńskiej w świecie Maciusia powoduje lub potęguje niewygodny strój. Ubieranie dziewczynek inaczej niż chłopców uważa za „zupełnie dziki zwyczaj". „Ani na drzewo nie można się wdrapać, ani przez płot przeskoczyć. Zawsze nieszczęsna sukienka plącze się i plącze" – mówi. Tyle że pod koniec powieści ta sama Klu-Klu zostaje ocalona przez Maciusia. Ostatecznie pełni więc taką funkcję jak inne bohaterki: potwierdza wartość męskiego protagonisty, jego siłę, odwagę, męskość.

Poniekąd przygody przeżywają Łucja i Zuzanna, siostry z książki C.S. Lewisa „Lew, czarownica i stara szafa". W tej powieści pozornie panuje równowaga – bohaterzy to dwie dziewczyny i dwóch chłopców, w dodatku to Łucja, najmłodsza z rodzeństwa, inicjuje przygodę i jest centralną postacią. Ale kiedy się wczytamy, widzimy, że to siostry z Panią Bobrową przygotowują kolację, podczas gdy bracia siedzą z Panem Bobrem, który popija piwo i łowi ryby. To dziewczęta płaczą, a chłopcy walczą w bitwie. Kiedy Łucja sugeruje, że też mogłaby walczyć i byłaby dzielna, słyszy, że „bitwy nie wyglądają zbyt ładnie, gdy biorą w nich udział kobiety".

Przecież w historii kobiety brały udział w walkach. Choćby w czasach okupacji, o których opowiadają „Kamienie na szaniec" Aleksandra Kamińskiego. Jakie miejsce w tej książce zajmują dziewczęta?
– Kamiński odnotowuje ich istnienie, ale pokazuje jako te, które podają chłopcom herbatę, sprzątają, pocieszają. O tym, kim wspomniane w książce dziewczęta były i jaką rolę odegrały w akcjach dywersyjnych, dowiemy się dopiero, jeśli sięgniemy po egzemplarz ze wstępem Barbary Wachowicz i przypisami Krystyny Heski-Kwaśniewicz.

I tak z samej lektury dowiadujemy się, że Alek zawołał siostrę Marylkę do sprzątania pokoju, z przypisu – że była to sanitariuszka i instruktorka grup szturmowych. Irkę Kowalską Kamiński przedstawia nam jako „właścicielkę roweru" i gdyby nie przypis, nie wiedzielibyśmy, że służyła jako komendantka łączniczek i sanitariuszek batalionu „Zośka" ani że bestialsko zamordowano ją w konsekwencji działalności na rzecz ojczyzny. Nie dowiedzielibyśmy się też, że Basia, dziewczyna Alka, to Barbara Sapińska-Eytner, która brała udział w Małym Sabotażu i „Akcji N", a Hala, która nakrywa do stołu dla Rudego i Zośki i robi im herbatę, to podharcmistrzyni, drużynowa Warszawskiej Żeńskiej Drużyny Harcerskiej „Błękitnej" hufiec „Śródmieście".

To smutne, bo „Kamienie na szaniec" uczniowie chyba faktycznie czytają.
– Czytają, choć mam wrażenie, że nad niektórymi wątkami się prześlizgują. Większość

• **Perfidna manipulantka czy kobieta na miarę swojego wychowania i czasów? O Izabelę Łęcką uczniowie kłócą sie do dziś. Kadr z filmu „Lalka"(1968) w reżyserii Wojciecha Jerzego Hasa z Beatą Tyszkiewicz (Łęcka) i Mariuszem Dmochowskim (Wokulski)** FOT. POLFILM/EAST NEWS

Ten sam paradoks – prześladuje się kobiety za dbanie o swój wygląd, choć jednocześnie oczekuje się od nich, że będą ładnie wyglądały – działa też w prawdziwym życiu. Widać to na przykładzie słynnych „szon patroli"

• **Katniss Everdeen, bohaterka „Igrzysk Śmierci", nie mdleje, nie płacze i nie wymaga męskiej opieki. Ale to nie wystarczy, by była postacią feministyczną. Kadr z ekranizacji „Igrzyska Śmierci: Kosogłos cz. 2"(2015). W roli Katniss – Jennifer Lawrence** FOT. ZUMA PRESS / ALAMY STOCK PHOTO / BE&W

z nich z książki zapamiętuje akcje Małego Sabotażu i czynną walkę z wrogiem. Kiedy pracuję z tą lekturą, staram się uwypuklać fragmenty mówiące o tym, że dobry Polak powinien się też kształcić, pracować na rzecz ojczyzny. Sam tytuł jest przecież nawiązaniem do utworu Słowackiego, wołania, by nie tylko umierać, ale też „nieść oświaty kaganiec". Tymczasem rozwijanie się obywatelsko jest dla młodzieży dużo mniej atrakcyjnym wątkiem.

To podejście wpisuje się w obecną w szkole specyficzną ideologię. W podstawie programowej ułożonej przez ekspertów za rządów PiS jest wprost napisane, że lektury mają uczyć wartości i postaw patriotycznych. Patriotyzm rozumiany jest wąsko: jako gotowość walki za ojczyznę. Stąd nacisk na teksty z XIX wieku, pisane w czasach zaborów, przez mężczyzn – „Pana Tadeusza" czy „Redutę Ordona". Niekoniecznie odpowiada to temu, jak dziś postrzegamy patriotyzm. A przecież to temat, o którym w szkole powinniśmy dyskutować: czy patriotyzm to tylko walka, czy może też budowanie wspólnoty, płacenie podatków albo przywiązanie do polskiej przyrody.

Kiedy chodziłam do szkoły, takie dyskusje prowadziliśmy na lekcjach o romantyzmie i pozytywizmie. Teraz ich nie ma?
– Są, ale znów: dopiero w szkole średniej. „Kamienie na szaniec" to lektura z podstawów-

eprasa.pl 4631607220

ki. Na tym etapie teksty czytane są bez wiedzy o epoce. Dzieciaki czytają więc drugą część „Dziadów", nie rozumiejąc, jak ma się ten dramat do ideologii romantycznej. Nawet jeśli mignie im w podręczniku biografia Mickiewicza, to mimochodem. Nauczyciel tego nie utrwala, bo rozliczany jest z przygotowania uczniów do egzaminu ósmoklasisty. A na egzaminie nie będzie punktów za rozumienie kontekstu epoki, tylko za wskazanie, w jakiej kolejności pojawiają się duchy.

Zdarza się, że uczennice buntują się przeciwko temu, jak są w lekturach przedstawiane?

– Kiedy uczyłam w podstawówce, zdarzało się, że uczennice zwracały na to uwagę albo narzekały, że w lekturach jest tak mało dziewcząt. Na tym etapie wiele zależy jeszcze od tego, w jaki sposób nauczyciel prowadzi lekcje, na czym się skupia. W większości scenariuszy lekcji wątek stereotypów czy ról płciowych się nie pojawia. Owszem, nauczycielka może przygotować własny scenariusz i ja to robię, ale mogę sobie na to pozwolić. Scenariusz trzeba wymyślić, ułożyć, przećwiczyć i dopasować do konkretnej klasy. Ktoś, kto pracuje w trzech różnych miejscach, musi dorabiać korepetycjami albo ma własne małe dzieci, zwyczajnie nie ma na to czasu. Sięga więc po gotowe karty pracy, często jeszcze z lat dziewięćdziesiątych.

Taką dyskusję łatwiej prowadzić w liceum, kiedy uczniowie są merytorycznie ukształtowani, można poprosić ich, żeby coś przeczytali i przemyśleli w domu, sami proponują tematy. Duże emocje towarzyszą zazwyczaj omawianiu „Lalki" i postaci Izabeli Łęckiej – czy była potworną manipulatorką, czy taką kobietą, jaką ją uczyniły czasy i pozycja społeczna. Jestem fanką tej drugiej interpretacji, szczególnie że Prus zawarł w swojej powieści cały rozdział dotyczący tego, jak Izabela była wychowywana. Na lekcji omawiamy poszczególne bohaterki „Lalki" z perspektywy feministycznej. Pokazuję, że w powieści Prusa jedyna kobieta, która może stanowić o sobie, to Wąsowska, wdowa. Nawet pani Stawska, mądra i ciężko pracująca, bez Wokulskiego by przepadła.

Stawska to postać niemal anielska: łagodna, skromna, bezgranicznie cierpliwa, bezdyskusyjnie szlachetna. Pokazuje pani, że takie bohaterki też są problematyczne. Co złego w byciu bezgranicznie dobrą, łagodną i szlachetną?

– Nic, poza tym, że nie jest się prawdziwym człowiekiem. Człowiek w pełni swojej osobowości czasem jest dobry, czasem zły, ma prawo do negatywnych uczuć, ma prawo mieć wady. Wzorzec kobiety anioła jest pozornie bohaterkom przychylny, ale tak naprawdę dyscyplinujący. Jego przyswojenie wymaga odcięcia się od części swojego doświadczenia. Potem kobiety mają poczucie winy, gdy wyrażają gniew, zniecierpliwienie, irytację. Albo zwyczajnie nie chcą się poświęcać dla innych.

Często problemem nie jest postawa, jaką lektura pokazuje, ale jej nadmiarowość. Na przykład to szczęśliwe zakończenie rozumiane jako zakochanie się. Nie ma nic złego w byciu osobą szczęśliwie zakochaną, ale jeśli dotyczy to każdej książkowej bohaterki, to sugeruje, że kobieta bez partnera jest niepełna i nieszczęśliwa, co po prostu nie jest prawdą. Wręcz przeciwnie: współczesna epidemia samotności to problem raczej mężczyzn niż kobiet.

Podobnie jest z nastawieniem na relacje. Empatia, budowanie więzi, dbanie o innych to wartościowe postawy, które warto wzmacniać. Ale bohaterki lektur często są definiowane wyłącznie przez relacje z innymi. W „Chłopcach z placu Broni" wspomniana jest jedna dziewczynka i tylko raz: bezimienna siostra Czelego, która wyszywa chłopcom flagi. Z postaci żeńskich mamy jeszcze mamę Nemeczka. Kobiety nie są w tej książce samodzielnymi bytami, jakby w ich życiu i w nich samych nie było nic wystarczająco interesującego. „Chłopcy z placu Broni" nie są bynajmniej wyjątkiem.

To co właściwie powinniśmy zrobić? Wykreślić te lektury z listy?

– Nie uważam, że trzeba je wykreślać. Jestem za tym, żeby kanon był maksymalnie elastyczny – lektura, którą jeden nauczyciel omówi zajmująco z klasą, z innym nauczycielem albo w innej klasie może być martwa. Powinien być też interdyscyplinarny, bo taka jest współczesna kultura. Odpowiadać i na zainteresowania uczniów, i na bieżące wyzwania moralne współczesności, i na to, co dostępne jest akurat w kinach, teatrach, muzeach. W takim kanonie będzie miejsce na lektury, które pokazują alternatywne wzorce i zróżnicowane postaci. Ale trzeba też zapewnić nauczycielom narzędzia, by z nimi pracować: scenariusze, karty pracy, tematy dyskusji, a uczniom zagwarantować dostęp do tych tekstów kultury.

Przede wszystkim zaś trzeba uczynić tematem sam feminizm. Rozmawiać o tym, dlaczego bohaterki lektur są tak pisane, że współcześnie kobiety mają inne możliwości, zyskały prawa wyborcze, mogą swobodnie studiować, wybrać zawód, nie muszą zakładać rodziny. Uczyć o emancypacji kobiet, ale też innych kwestiach związanych z dyskryminacją. Lektura „W pustyni i puszczy" może być przyczynkiem do pokazania, czym są prawa człowieka, rasizm, kolonializm. Ale trzeba dać nauczycielom narzędzia, by ją w taki sposób omawiać.

A może wystarczy promować te wzorce gdzie indziej? Ja też czytałam „Anię z Zielonego Wzgórza", a wyrosłam na feministkę. Zapamiętałam Anię jako niekonwencjonalną, bystrą, z mocnym charakterem, a nie ujarzmioną.

– Nic dziwnego. Mało kto pamięta dokładnie treść lektur szkolnych po dwudziestu czy trzydziestu latach. Sama, wracając do nich, bywałam zaskoczona. Kiedy Krytyka Polityczna zapowiedziała moją książkę, ludzie komentowali, że jak to „Bezradne i romantyczne", skoro bohaterki lektur wcale nie są bezradne. A potem jako przykład wymieniali dokładnie te postaci, które opisuję.

Czy to, co czytaliśmy w dzieciństwie, wpływa na nas, nawet jeśli dziś tego nie pamiętamy? Nie da się tego do końca zweryfikować. Nie mamy narzędzi, żeby wyliczyć, jakie znaczenie w formowaniu konkretnego człowieka miały lektury szkolne. Ale wiemy, że teksty kultury, z jakimi się stykamy, mogą na nas wpływać, również w sposób nie do końca uświadomiony. Widzę to po sobie.

Nawet jeśli pewne zachowania rozpoznaję jako naddane normatywnie schematy i tak zdarza mi się czuć, że nie dość dobrze realizuję wzorzec kobiecości: nie jestem dość starannie ubrana, umalowana, nie potrafię świetnie gotować czy piec. Na poziomie racjonalnym wiem, że nie muszę tego robić, i do tego nie dążę. A jednak, kiedy moje przyjaciółki przynoszą na imprezę coś spektakularnego, a ja przychodzę z kupnym, coś mnie kłuje w sercu.

Gdy współczesna kobieta pyta siebie samą: Czy moja wartość zależy od tego, jak wyglądam? Czy mam partnera i ile on zarabia? Od tego, czy mam dzieci? – dzisiejsze normy obyczajowe zdają się krzyczeć: jasne, że nie! Ale socjalizowano nas w określony sposób, wychowywano na podstawie tych wszystkich starych patriarchalnych klisz. I jeśli też poczułaś ukłucie, to właśnie ona – szpilka stereotypu. ●

REKLAMA

Kraj/34405083

1 RP

eprasa.pl 4631607220

KRAJ

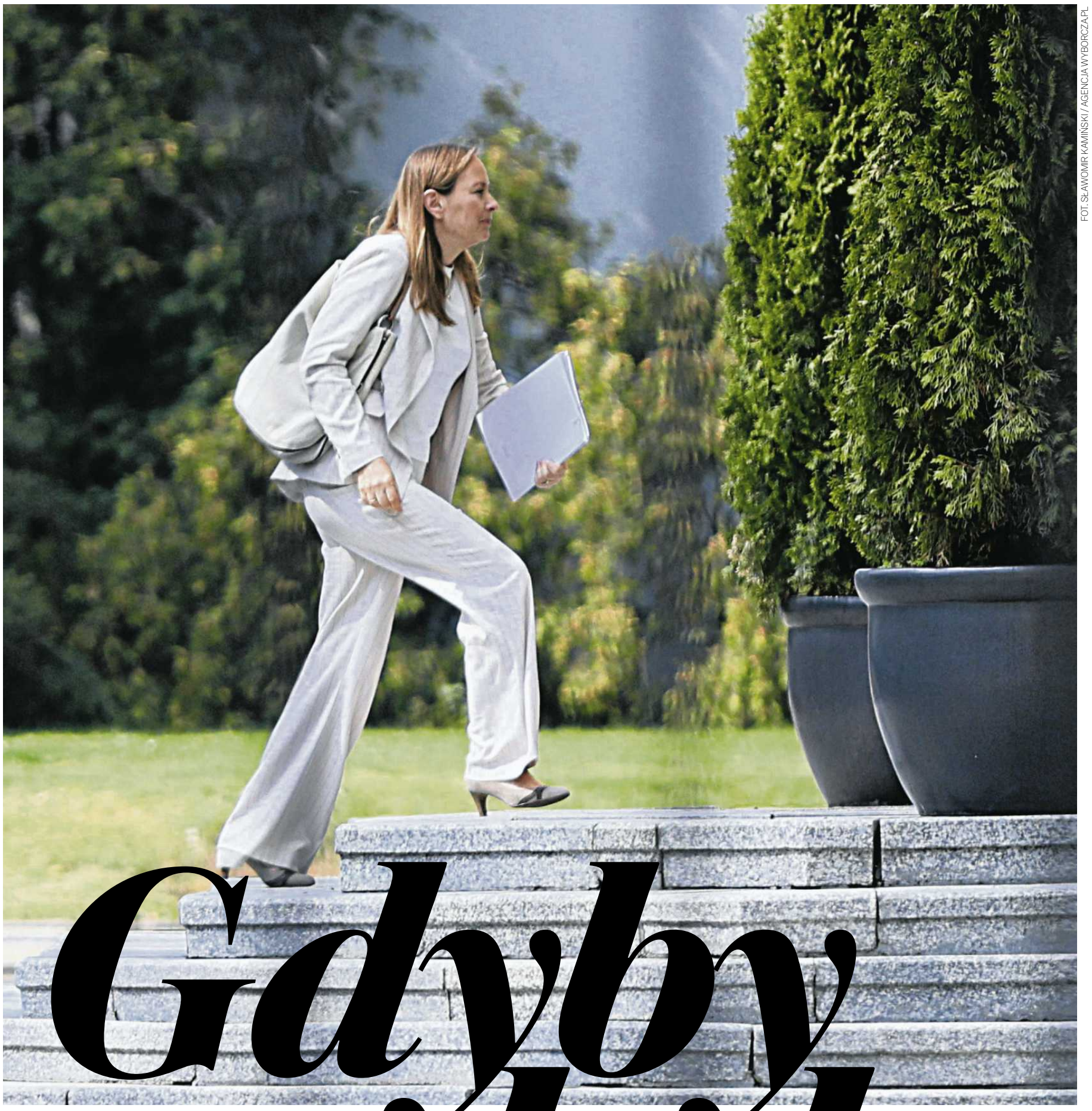

FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Gdyby była mężczyzną

– Czyli rozumiem, że nie przeczytała pani założeń ustawy – zapytał Tusk, a cały rząd zamarł. **Czy Pełczyńska-Nałęcz ma szansę zostać drugim Sikorskim?**

1 RP

eprasa.pl 4631607220

Arkadiusz Gruszczyński

Jedni mówią: intrygantka, szanuje tylko tych, którzy są jej wierni, nie pozwoli nikomu urosnąć, ponieważ w centrum ma być ona sama. Inni dodają: ma genialny polityczny zmysł, jest skuteczna i gdyby była mężczyzną, nikt by się nie zajmował jej charakterem. – A poza tym Donald Tusk, wypuszczając do mediów pogłoski, że toczy z nią spór, tylko ją wzmacnia – twierdzi nasz rozmówca. Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz przejęła pałeczkę od Szymona Hołowni w dyscyplinie „rozpalanie jaskrawych politycznych emocji".

– Gdyby nie to, że jesteśmy koalicjantami, dzisiaj wyrzuciłbym panią z rządu – usłyszała od premiera ministra funduszy i polityki regionalnej. Przy innej okazji Tusk miał powiedzieć wiceliderce Polski 2050, że nie działa na rzecz interesu państwa. – Premier nie krzyczy, nie wrzeszczy, zawsze mówi ze spokojem, ale dosadnie – mówi mi jeden z ministrów.

– Donald potrafi się zirytować na każdego, kto czegoś nie dowozi albo ma problemy medialne. Nie powiedziałbym, że Katarzyna jest jakoś szczególnie atakowana przez premiera – dodaje ten sam minister, który w ogólnokrajowej polityce działa od kilkunastu lat. – Ale proszę wierzyć: nikt nie chciałby być w skórze ministra, którego publicznie, choć za zamkniętymi drzwiami, krytykuje premier. To traumatyczne doświadczenie.

•

Dwie sprawy, które wyjątkowo zirytowały premiera, były związane z Krajowym Planem Odbudowy i odejściem od podatku od samochodów spalinowych.

Afera KPO dotyczyła wsparcia dla przedsiębiorców. Okazało się, że wielu wnioskowało o dotacje na zakup łodzi, fryzjerki chciały uruchomić solarium, a restauratorzy – cukiernie. Opozycja twierdziła, że unijne środki przeznaczone na odbudowę gospodarki po pandemii zostały rozkradzione. Rząd bronił się na dwa nieco sprzeczne sposoby – że umożliwiającą takie działania filozofię programu opracował Mateusz Morawiecki, szef rządu PiS, i że prawo nie zostało złamane, nie licząc kilku przypadków. KPO tak właśnie miało działać od samego początku: przedsiębiorcy mieli otrzymać dotacje na rozwój innych usług, żeby w momencie kryzysu – kolejnej pandemii, wojny, krachu na giełdzie, załamania bańki mieszkaniowej – mogli dywersyfikować działalność. Czyli mówiąc bardziej po ludzku: zamknąć knajpę, a zyski czerpać ze strzyżenia ludzi.

Ale fakty w 2025 roku nie mają za wiele wspólnego z odbiorem społecznym, liczą się interpretacje. I w początkowej fazie afery to opowieść PiS przebiła się do wyobraźni. Politycy, którzy wskutek własnego zamachu na niezależność sądownictwa jeszcze niedawno nie byli w stanie odblokować unijnych pieniędzy – zrobił to dopiero rząd Tuska – twierdzili, że rząd przymyka oczy na zwykłą kradzież. Po kilku dniach tłumaczenia emocje opadły, ale osoba odpowiedzialna za zarządzanie środkami płynącymi z Brukseli zdążyła oberwać. Pełczyńska-Nałęcz przebywała na wakacjach, w jej imieniu tłumaczyli się wiceministrowie. Do kraju wróciła kilka godzin przed posiedzeniem rządu i właśnie wtedy usłyszała od Tuska, że powinna wylecieć. Nie wyleciała, bo obronił ją Hołownia.

I druga sytuacja: Tuskowi udało się wykreślić z KPO podatek od korzystania z samochodów spalinowych, jednak Unia oczekiwała jakichś innych przepisów zachęcających do zakupu elektrycznych aut. – Czyli rozumiem, że nie przeczytała pani założeń ustawy? – zapytał premier, a cały rząd zamarł.

Ministra, gdy pytam ją o te dwie kłótnie w czasie posiedzenia rządu, odpowiada, że nigdy nie usłyszała podobnych słów od premiera. – Z KPO wykreśliliśmy podatek od użytkowania samochodów spalinowych. Moim zadaniem jest skoordynowanie, by ministrowie zaproponowali stosowne reformy zastępcze w ramach KPO. Rozwiązania przygotowują resorty w ramach swoich właściwości. A nie Ministerstwo Funduszy i Polityki Regionalnej. I o tym była mowa na rządzie.

Na marginesie, zwróćmy uwagę na sposób zarządzenia państwem. – Wszyscy się boją premiera – mówi jeden z polityków Nowej Lewicy. – Rady ministrów są trudnym doświadczeniem, ponieważ nie zawsze uda się dowieźć obiecane tydzień wcześniej rzeczy i przed wszystkimi trzeba się tłumaczyć z porażek. Nikogo to nie omija – opowiada jeden z wiceministrów, który od czasu do czasu chodził na posiedzenia rządu.

Z jednej strony trochę takie płaczliwe opowieści mogą dziwić, bo czy premier odpowiadający za życie 38 milionów ludzi i działający w warunkach permanentnego kryzysu – jeśli nie wojennego, to dyplomatycznego lub politycznego – powinien zajmować się zranionymi uczuciami ministrów? Tusk otrząsnął się z chwilowej depresji po porażce Rafała Trzaskowskiego w wyborach prezydenckich i wrócił do starych, skutecznych metod: lubi konkret, męczą go niekończące się dyskusje, oczekuje efektów i nie ma cierpliwości do ministrów, którzy zajmują się wszystkim, a nie kierowaniem resortami. Ale z drugiej strony – czy zarządzanie strachem w dzisiejszych realiach społecznych i w koalicji pełnej polityków obrotowych, twardych graczy walczących o pozycję własną i swoich słabszych ugrupowań oraz primadonn, jest najlepszą metodą na osiąganie celów politycznych?

W tym szerokim kontekście mechanizmów rządzenia przypadek Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz jest jednak czymś szczególnym. Przede wszystkim dlatego, że jako kobieta ma dwa razy trudniej w polityce niż jej koledzy na podobnych stanowiskach. Ale to nie oznacza, że jej metody polityczne są niewinne.

•

Pełczyńska-Nałęcz znalazła się w kręgu Szymona Hołowni w 2019 roku, kiedy znany prezenter telewizyjny i dziennikarz postanowił wejść do polityki. – Zapytał, czy dołączę do jego ekipy. Odmówiłam, ponieważ miałam zobowiązania wobec Fundacji Batorego, w której wtedy pracowałam. Ale po kilku miesiącach zmieniłam zdanie – opowiada mi Pełczyńska-Nałęcz.

> Nikt nie chciałby być w skórze ministra, którego publicznie, choć za zamkniętymi drzwiami, krytykuje premier. To traumatyczne doświadczenie – słyszę w rządzie

O tamtym okresie rozmawiam z zapleczem politycznym Hołowni. – Katarzyna była mózgiem sztabu wyborczego: Szymon nie tylko liczył się z jej zdaniem, on mówił dokładnie to, co ona mu przygotowywała. Była z nim w kontakcie przez całą dobę – wspomina były sztabowiec Hołowni. W praktyce wyglądało to tak: rano sztab podejmował decyzję, że kandydat na prezydenta pojedzie na wieś. Następnie Pełczyńska-Nałęcz we współpracy ze swoimi ludźmi robiła pogłębioną analizę, którą przekładała na treść wystąpienia. Na końcu stratedzy polityczni dopisywali kilka chwytliwych haseł. – Szymon był wtedy maszynką: raz czytał tekst, wychodził do ludzi, powtarzał go jeden do jednego – mówi sztabowiec, już bez błysku w oku, który miał, kiedy go poznałem.

– Już wtedy zauważyliśmy, że Katarzyna ma pewne cechy charakteru, które są idealne w polityce, a niekoniecznie podobają się ludziom. Wiedziała doskonale, kiedy szepnąć słówko Szymonowi w jakiejś istotnej sprawie, o którą kłóciliśmy się w sztabie. Potrafiła nas rozgrywać, a na koniec dnia Szymon mówił jej językiem – zauważa mój rozmówca.

Według niego Pełczyńska-Nałęcz już wtedy wyróżniała się wiedzą polityczną. – Ale pierwszy raz zobaczyła od kuchni, jak się kreuje przekaz, jak wypuszcza newsy, jak przekłada się wiedzę ekspercką i pomysły na opowieść, jak buduje się pozycję wewnątrz sztabu. Dowiedziała się też, jak się naprawdę robi politykę, której fundamentem jest wykreowanie wroga działającego na twoją rzecz.

No właśnie: polityka polega rzecz jasna na przekonywaniu ludzi do własnej opowieści, a potem na reformie kraju, ale w jakiejś mierze chodzi w niej o kreowanie podziałów. Tusk ma Kaczyńskiego, Kaczyński ma Tuska – a Pełczyńska-Nałęcz ma deweloperów, w których uderza od momentu wejścia do rządu. Problem w tym, że podział wykreowany przez ministrę nie porywa tłumów. – Ważne jest coś innego: Katarzyna poznała, a następnie wdrożyła mechanizm polityczny. Rzadko komu to się udaje – upiera się mój rozmówca.

•

Hołownia przegrał wybory prezydenckie w 2020 roku. Co prawda zajął trzecie miejsce, i to z dobrym – blisko 14 procent – wynikiem, ale do wyborów parlamentarnych miał trzy lata, w polityce to trzy osobne epoki. Lider Polski 2050 musiał więc wykonać kilka zadań jednocześnie: utrzymać poparcie, zbudować struktury i zadbać o stałe zainteresowanie mediów. Podkradł więc kilku posłów, w tym cieszące się rozpoznawalnością Joannę Muchę z PO, Paulinę Hennig-Kloskę z Nowoczesnej czy Hannę Gill-Piątek z Lewicy, zapewniając sobie obecność we wszystkich telewizjach i gazetach. Struktury się umacniały, ale poparcie sondażowe było niezadowalające, dlatego Hołownia zdecydował się na sojusz z PSL. Wszedł do Sejmu, został jego marszałkiem, podbudowany popularnością, jaką dały mu błyskotliwe retoryczne potyczki z opozycyjnymi pisowcami, wystartował ponownie w wyborach prezydenckich, dostał 4,99 procent i – nieco obrażony – postanowił pożegnać się z polityką.

Dzisiaj Polska 2050 może liczyć na mniej więcej 3 procent w sondażach. – Pyta pan, czy za dwa lata wejdą do Sejmu. Ja bym zapytał inaczej: jak doszło do tego, że ugrupowanie polityczne bez subwencji, z nieprzychylnymi mediami i silnym Tuskiem odbierającym tlen rozpadło się dopiero dzisiaj, a nie w 2022 roku? Wielka w tym zasługa Pełczyńskiej-Nałęcz, która spajała intelektualnie partię i ruch społeczny – mówi mi doradca polityczny.

Podchodzę z dystansem do jego opowieści, bo czy genialny zmysł polityczny zakładał powolne, żenujące obumieranie projektu Hołowni, które od miesięcy obserwuje cała Polska? A poza tym, cóż: bohaterka tego tekstu ma w partii więcej wrogów niż przyjaciół.

– Katarzyna jest osobą pozbawioną empatii, zimną i zdystansowaną kobietą, która stawia tylko na siebie. Nie pozwala nikomu urosnąć, bo każdy, kto by się za bardzo wybił, mógłby jej zagrozić. To intrygantka, która najpierw wycięła wszystkich z kręgu Hołowni, a teraz postanowiła przejąć partię, co skończy się fatalnie dla nas wszystkich – mówi jeden z posłów.

– Czyli Claire Underwood z „House of Cards" na miarę naszych możliwości – ironizuję, bo ten obraz Pełczyńskiej-Nałęcz wydaje mi się równie skrajny i nieprzekonujący, co opowieść o nieomylnej i inspirującej zarazem szarej eminencji.

– Chce pan przykłady? Proszę bardzo: ostatnio wycięła z pewnej ważnej instytucji naszą koleżankę, mówiąc jej, że musi to miejsce zaklepać dla ludzi z klubu parlamentarnego. Szymon nie miał o tym pojęcia. Kiedy szefem klubu został Paweł Śliz, a więc jej zaufany, wycięła ludzi z obsługi medialnej. A w trakcie ostatniej kampanii przekonywała Szymona, że na pewno wejdzie do drugiej tury, nie dopuszczając do marszałka żadnych osób, które uważały inaczej. Poza tym nie odbiera telefonów i nikomu nie ufa – odpowiada polityczka Polski 2050. – I proszę nie zapominać, że zatrudniła swoją własną córkę do obsługi serwisów społecznościowych.

Krytycy Pełczyńskiej-Nałęcz obawiają się, że jako liderka Polski 2050 wyprowadzi partię z rządu, co byłoby niezrozumiałe dla wyborców, których z miesiąca na miesiąc ubywa. A ubywa dlatego, że Hołownia wykonuje niezrozumiałe ruchy, które nawet dla słabo zorientowanego obserwatora polityki sugerują chęć zbliżenia się do środowiska Karola Nawrockiego. Nie chodzi tylko o słynną kolację u Adama Bielana, jednego z najbardziej wpływowych pisowskich spin doktorów, który promował i promuje nadal prezydenta, ale też o poniedziałkowy udział marszałka Hołowni na Poznańskim Kongresie Gospodarczym, na którym występował tuż po przemówieniu Nawrockiego.

Ale bądźmy uczciwi: w Polsce 2050 jest sporo zwolenników Pełczyńskiej-Nałęcz. – Pani ministra jest od samego początku w naszej organizacji i zawsze była kompetentna, nastawiona na pracę, działania programowe. Dzisiaj jest pierwszą wiceprzewodniczącą partii, zastępuje więc Szymona Hołownię na wszystkich spotkaniach z naszymi koalicjantami. I jest jedną z osób, która ma wszystkie cechy liderki i może wziąć, wspólnie z innymi politykami, odpowiedzialność za Polskę 2050 – mówi mi poseł Kamil Wnuk.

Przytaczam mu krytyczne opowieści partyjnych koleżanek i kolegów związane z cechami ministry. – Polska 2050 nie jest przedszkolem, tylko miejscem, gdzie są potrzebni ludzie o twardym charakterze, którzy potrafią walczyć o nasze postulaty. Nie mogę potwierdzić, że Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz jest trudną osobą, ponieważ

eprasa.pl 4631607220

nasza współpraca w kwestiach mieszkaniowych jest wzorcowa – odpowiada poseł.

Stan na dzisiaj wygląda następująco: w wewnętrznych wyborach na przewodniczącego Polski 2050 oficjalnie startują Ryszard Petru – ekonomista i założyciel Nowoczesnej, wolnorynkowo-liberalnej partii, w początkach rządów PiS będącej drugą siłą po stronie opozycji, który po serii kompromitujących wpadek wraca z politycznej emerytury – i Joanna Mucha, za politycznej młodości ulubienica Tuska, która odeszła z PO do Hołowni, sfrustrowana samozadowoleniem i konserwatywnym przechyłem starszych kolegów.

●

W kuluarach partyjnych mówi się, że Pełczyńska-Nałęcz namaści na nowego szefa Pawła Śliza – czterdziestoparoletniego prawnika z niewielkim politycznym stażem, który rozpoznawalność zyskał kilka lat temu jako adwokat senatora Stanisława Koguta, jednego z najwierniejszych ludzi PiS, oskarżonego o korupcję przez frakcję ziobrystów – sama zaś skupi się na pracy w rządzie.

– Wiemy, że Kaśka wygra w pierwszej turze, ale w drugiej może nie przekonać do siebie przeciwników. Na dziś wiemy, że powstanie silny, wspólny front, który będzie chciał inaczej ułożyć partię – słyszę od stronnika Pełczyńskiej-Nałęcz.

Oddajmy teraz głos samej bohaterce, która w rozmowie ze mną nie wyklucza startu i zaprzecza, że myśli nad planem awaryjnym, czyli wskazaniem Śliza na szefa ugrupowania. – Polska 2050 jest pracowitym, rzetelnym, uczciwym koalicjantem. I tego oczekuje od innych. Za działanie koalicji najbardziej odpowiada największy koalicjant. Uważam, że dobrze działający rząd złożony z kilku środowisk politycznych powinien opierać się na wzajemnym szacunku. I właśnie w takiej koalicji chcemy być i będziemy – mówi mi ministra, kiedy pytam, czy zamierza wyprowadzić Polskę 2050 z koalicji.

A czy nie obawia się, że po wewnętrznych wyborach część posłów opuści partię? – Koalicjanci nie mają się sondażowo dobrze, ale wyłącznie wokół nas pojawiają się spekulacje o rzekomych transferach do innych partii. Nic takiego się nie zdarzyło – odpowiada.

Zatrudnienie córki? To normalna sprawa w partiach, słyszę. – Polska 2050 jest partią, więc ma prawo zatrudnić ludzi według własnego, merytorycznego uznania. Jako osoba od TikToka i kręcenia filmów moja córka najpierw pracowała jako wolontariuszka w trakcie kampanii, a potem partia ją zatrudniła. Nie pełni jednak żadnych kierowniczych funkcji – twierdzi Pełczyńska-Nałęcz.

Od razu przypominam jej słowa Hołowni, który mówił w 2023 roku o pisowskich kuwetach, mając na myśli, że przez osiem lat rządów prawicy żony, dzieci i znajomi polityków dorabiali się majątków. Czy to nie jest ta sama sytuacja?

– Nie, ponieważ nie zatrudniłam córki w ministerstwie. PiS zatrudniał ludzi na posadach publicznych, a partia jest organizacją natury prywatnej, która pozyskuje pieniądze ze składek oraz subwencji i ze wszystkiego się w sposób transparentny rozliczamy. W wielu innych partiach zatrudniani są członkowie rodzin i nikt nigdy się tego nie czepiał. Czy w NGO-sach albo firmach, które otrzymują dotacje publiczne, nie można zatrudniać małżeństw? Przecież tak się dzieje – upiera się.

No i sprawa kluczowa: czy jest intrygantką, zdystansowaną i zimną koleżanką? – Nie mówię, że nie mam wad. Choć akurat nieodbieranie telefonu do nich nie należy. Każda partia ma frakcje i ideowe podziały. W zależności od tego, gdzie się przyłoży ucho, taką perspektywę się usłyszy. Wszystko robię z przekonaniem, że odniosę sukces. Nie szykuję sobie awaryjnego lądowiska.

●

Żeby zrozumieć, kim jest dzisiaj Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz, czyli polityczka, która ma szansę jako jedyna kobieta wejść do wielkiej czwórki liderów Koalicji 15 Października, wybrałem kilka wydarzeń z jej życia zawodowego.

Najpierw suche fakty: urodzona w 1970 roku, córka Rosjanki i Polaka, w 1999 roku obroniła w Polskiej Akademii Nauk doktorat o aktywności politycznej Polaków po Okrągłym Stole. Ma troje dzieci. Z jej oświadczenia majątkowego wynika, że wraz z mężem ma 230-metrowy dom, 168 tysięcy złotych oszczędności, a do tego dwa mieszkania i 65 tysięcy euro na koncie.

Jeszcze na studiach związała się z Ośrodkiem Studiów Wschodnich, elitarną instytucją badawczo-publicystyczną zajmującą się analizą sytuacji w Europie Środkowo-Wschodniej. Pełczyńska-Nałęcz kierowała tam działem rosyjskim. – Była rzetelna, pracowita, dzień po urodzenia dziecka była z powrotem w pracy – wspomina jej kolega z ośrodka.

W 2012 roku została wiceministrą spraw zagranicznych w gabinecie Tuska, a po dwóch latach z rządu PO-PSL przeniosła się do Moskwy, gdzie została ambasadorką. Wtedy w mediach pojawiły się informacje, że w tamtym czasie otoczyła się ludźmi z Ośrodka Studiów Wschodnich. Słychać było zarzuty, że „ściąga znajomych".

– Od lat dziewięćdziesiątych przepływ między ośrodkiem zatrudniającym najlepszych ekspertów od Wschodu a MSZ jest czymś naturalnym. Mój poprzednik na placówce w Moskwie też pracował kiedyś w ośrodku, a teraz jest w MSZ jako wiceminister. Gdy pojechałam na placówkę, zastałam w ambasadzie dwie osoby, które wcześniej pracowały w OSW i odznaczały się ogromnym profesjonalizmem. Bezpośrednio z OSW do ambasady za czasów mojego urzędowania przeszła jedna osoba na ponad stu pracowników. Świetna specjalistka od Rosji – wspomina Pełczyńska-Nałęcz. Ma na myśli Jadwigę Rogożę, znawczynię tematyki ukraińskiej, białoruskiej i mołdawskiej, która przez trzy lata była radczynią ambasady.

W tamtym czasie Pełczyńską-Nałęcz w roli czarnego luda obsadziła prawica, wiążąc ministrę z tak zwanym resetem w relacjach polsko-rosyjskich. Sławomir Cenckiewicz, obecny szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego, dawny mentor Karola Nawrockiego w Instytucie Pamięci Narodowej, u schyłku rządów PiS szef wymierzonej w Tuska komisji do spraw wpływów rosyjskich oraz autor propagandowych tekstów i filmów o rzekomym zbliżeniu premiera i Władimira Putina za rządów PO-PSL w latach 2007-15, twierdził jeszcze dwa lata temu, że była „panią od resetu w relacjach polsko-rosyjskich".

Jednak w 2010 roku, a więc w momencie, kiedy po katastrofie smoleńskiej również Jarosław Kaczyński jednał się z braćmi Rosjanami, to Pełczyńska-Nałęcz pisała w „Tygodniku Powszechnym", że „autorytarna i neoimperialna Rosja – a z taką mamy ciągle do czynienia – nie jest zdolna do prawdziwego historycznego pojednania z państwem, które było ofiarą stalinowskiego reżimu. Taka Rosja nie może zapewnić też modernizacji sąsiadujących z nami krajów wschodnioeuropejskich".

Dziś ministra tłumaczy mi, że rolą ambasadora jest realizacja polityki państwa i rządu. – Jako ekspertka mogłam publicznie wyrażać swoje poglądy, ale dobry dyplomata realizuje politykę swojego państwa i reprezentuje Polskę w kraju urzędowania, robiąc to najlepiej, jak potrafi. Dostaje jednak wytyczne od ministerstwa oraz ośrodka prezydenckiego i nimi musi się kierować.

Jaka to była wówczas polityka?

– Pracowałam w Moskwie po aneksji Krymu, mieliśmy więc jednoznaczne stanowisko, które wielokrotnie demonstrowałam: Krym należy do Ukrainy, a jego aneksja jest złamaniem wszystkich praw międzynarodowych i wszczęciem wojny. Walczyliśmy również o zwrot wraku samolotu, który rozbił się pod Smoleńskiem, niestety, bezskutecznie, ponieważ polityka państwa rosyjskiego była – niezależnie od tego, kto w Polsce rządził – jednoznaczna – tłumaczy. – Co do relacji ekonomicznych, to Polska z żelazną konsekwencją opowiadała się za sankcjami. Jednocześnie wspieraliśmy polski biznes działający w Rosji, którego nie obejmowały sankcje.

●

Do tego momentu relacje moich rozmówców o Pełczyńskiej-Nałęcz są zgodne: była pracowitą ekspertką, a potem urzędniczką bez ambicji politycznych.

Rok po przejęciu władzy przez PiS Pełczyńska-Nałęcz trafia do Fundacji Batorego, nobliwej i znanej organizacji, która zajmuje się rozwojem szeroko rozumianego społeczeństwa obywatelskiego. Zostaje szefową think tanku Forum Idei. Osoby z Batorego niechętnie zgadzają się na rozmowę pod nazwiskiem.

– Wymyśliła sobie, że zrobi z fundacji organizację polityczną, choć nasza misja była zupełnie inna: rozdzielamy granty, wspieramy mniejsze organizacje, pracujemy nad ekspertyzami. Ale Katarzyna jako szefowa Forum Idei chodziła po mediach, wypowiadała się w sprawach politycznych, choć nie była do tego uprawniona – słyszę w Fundacji. – Myśmy się wściekali na nią, a ona sobie nic nie robiła z naszej krytyki. Problemem był jej zdecydowanie polityczny, a nie NGO-sowy temperament, który poprzez nieuzgodnione z zarządem i zespołem teksty, wypowiedzi i wystąpienia o charakterze manifestacji politycznych popychał prowadzony przez nią program, a wraz z nim Fundację w stronę think tanku partii politycznej.

Były sztabowiec Hołowni: Katarzyna była mózgiem sztabu wyborczego. Szymon nie tylko liczył się z jej zdaniem, on mówił dokładnie to, co ona mu przygotowywała. Była z nim w kontakcie przez całą dobę

Inną osobę pytam po ludzku, czy Pełczyńska-Nałęcz była lubiana. – Na pewno była szanowana za merytorykę i zaangażowanie w obronę liberalnej demokracji. Słabą stroną były relacje międzyludzkie: chłodne, żeby nie powiedzieć zimne i wyższościowe – opowiada pracownik fundacji.

Od samej zainteresowanej słyszę nieco inną wersję. – Uważałam i dalej uważam, że strona demokratyczno-liberalna potrzebuje wyrazistego think tanku, który zabiera wyrazisty głos w ważnych sprawach publicznych i nie chowa się za parawanem apolityczności, bo to w dzisiejszych czasach oznacza brak zdania na jakikolwiek temat. Po stronie konserwatywnej mamy Klub Jagielloński, Instytut Sobieskiego, a po naszej do dzisiaj nie ma podobnej organizacji. O Fundacji Batorego nadal mało słyszymy – tłumaczy Pełczyńska-Nałęcz. – A kiedy zostałam szefową think tanku Forum Idei, cytowania naszych publikacji skoczyły o kilkaset procent. Staliśmy się widoczni w debacie publicznej. Uważałam, że przyszły zupełnie inne czasy i strona demokratyczna musi być wyrazista, poruszać ważne sprawy, być żywa w myśleniu.

Kulminacją sporu był list otwarty do Grzegorza Schetyny, lidera PO, w 2019 roku. Szefowa Forum Idei pytała w nim: „Dlaczego największa polska partia opozycyjna cztery miesiące przed wyborami wywiesiła białą flagę? Jak to możliwe, że politycy koalicji popartej przez 38 procent głosujących opuścili bezradnie ręce i uznali, że nie mają szans na zwycięstwo? Jakim cudem przywódca opozycji, od którego tak wiele przecież zależy, mógł w przełomowym momencie zatracić wolę walki?". Namawiała Schetynę do nowych propozycji gospodarczych, rozpisania referendum w sprawie aborcji i walki o zwycięstwo.

– Artykuł wywołał oburzenie prezesa Aleksandra Smolara, który uznał, że jako szefowa think tanku nie mam prawa pisać takich tekstów, mimo że wywołałam poważną dyskusję. Fundacja stwierdziła, że nie potrzebuje szefa think tanku, pod pozorem uproszczenia struktury i haseł o demokracji wewnętrznej zlikwidowano moje stanowisko. Zaproponowano mi pracę na tych samych warunkach, ale bez wpływu na kierunek Forum Idei. W konsekwencji ludzie nauki, polityki i kultury napisali list otwarty w mojej obronie. A ja postanowiłam odejść – opowiada ministra.

●

Ale mnie interesuje coś jeszcze: co sprawia, że dorosły człowiek, profesjonalista, z dobrą zawodową opinią i bogatym dorobkiem decyduje się wejść do polityki, która jest połączeniem kurnika z konkursem piękności.

– To był długi proces, jednak już w Forum Idei doszłam do głębokiego przekonania, że polskie elity liberalne potrzebują nowego myślenia i odnowy. Za długo trwały w przekonaniu, że wszystkim żyje się w Polsce świetnie. Uważano, że demokracja została nam podarowana raz na zawsze i nic jej nie zagraża, tak samo jak naszej obecności w strukturach europejskich. Ta wiara w koniec historii skutkowała marazmem intelektualnym – mówi mi Pełczyńska-Nałęcz.

Uważała, że stronie demokratycznej potrzebne są krytyczne myślenie, nowe wizje, które miały uchronić sukcesy okresu transformacji. – I właśnie dlatego dołączyłam do zespołu prezydenckiego Szymona Hołowni, chciałam z nim pracować nadal z pozycji eksperckich. Zostałam dyrektorką think tanku Forum Strategii 2050, a w 2023 roku zaproponowano mi jedynkę w Warszawie w wyborach do Sejmu – wspomina. – Odmówiłam.

Historia Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz jest dobrym symbolem tego, w jakim punkcie znalazła się klasa polityczna. Media i eksperci od lat narzekają, że intelektualiści, ludzie z konkretnymi kompetencjami, merytoryczni nie przystępują do partii. Kiedy w końcu ktoś się na to decyduje, wówczas te same media i ci sami eksperci krytykują politycznych świeżaków za brak wyobraźni, umiejętności i doświadczenia. I przypominają, że jednak tylko Tusk i Kaczyński „potrafią w politykę". A kiedy nowy polityk w dodatku jest kobietą, zaczyna się ten sam od lat spektakl. Z tą tylko różnicą, że dawne pytania o sposób uczesania, ubiór, urodę i prezencję zastąpiły rozważania o cechach charakteru.

Z trzeciej strony, w polityce niezależnie od płci liczy się również osobowość. A tu ministra rzeczywiście ma problem.

Tusk i Kaczyński mają podobne cechy – poszerzają strefy wpływów, eliminują przeciwników politycznych, wiedzą, na czym polega polaryzacja – ale w jednym różnią się od Pełczyńskiej-Nałęcz. Gdy premier i prezes PiS chcą kogoś do siebie przekonać, potrafią zaprosić posła, lidera opinii lub intelektualistę na czerwone wino lub herbatę z koniakiem. Obaj doskonale poznali psychospołeczne mechanizmy i wiedzą, że bez pozorowanej empatii, okazywania zainteresowania, spędzania czasu z działaczami nie da się budować masowej partii. A Pełczyńska-Nałęcz, jak słyszę w Sejmie, nie chodzi na partyjne popijawy, nie pojawia się w hotelu poselskim, nie zaprasza do siebie potencjalnych sojuszników. To, co jest jej siłą – chłodna kompetencja – okazuje się jednocześnie jej słabością.

I na koniec: czy Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz zostanie wicepremierką? Ona sama uważa, że tak. – Jestem zaskoczona tym, że wszelkie inne ustalenia są gładko wprowadzane w życie, a wokół nas wygenerowano dziwną atmosferę. Ustne zobowiązania obejmowały również tekę wicepremiera dla Radosława Sikorskiego, na którą się zgodziliśmy. I podczas tej samej rozmowy ustaliliśmy, że po wymianie marszałka Sejmu Polska 2050 otrzyma podobne stanowisko w rządzie. ●

1 RP

eprasa.pl 4631607220

Nie wolno „tylko pytać”

Dzisiaj ludzie nie cierpią na nadmiar cenzury, lecz na nadmiar szumu. Nie trzeba więc uciszać prawdy - wystarczy ją zagłuszyć tysiącem bzdur.

Marcin Matczak

Takie sytuacje: W programie o zdrowiu dzieci gość twierdzi, że zamiast podawać antybiotyki lepiej przykładać dziecku do gardła kryształ ametystu. Prowadzący kiwa głową i mówi: „Najważniejsze, żeby rodzice mieli wybór”.

W materiale o bezpieczeństwie na drodze dziennikarz przepytuje kierowcę, który od lat jeździ po pijaku, bo – jak tłumaczy – alkohol zwiększa czujność. „Nie możemy go cenzurować” – tłumaczy gospodarz programu – „W demokracji każda hipoteza zasługuje na głos”.

I wreszcie debata: „Czy grawitacja to teoria spiskowa?”. Po jednej stronie fizyk, po drugiej – influencer, który udowadnia, że gdyby grawitacja istniała, balony by nie latały. „My tylko zadajemy pytania” - podsumowuje prowadzący.

Absurd? Oczywiście. Ale dokładnie tak wygląda dziś znaczna część publicznego dyskursu, w którym wolność słowa została pomylona z dezorientacją słowa.

Format wielu programów dzisiaj, w tym programu Bogdana Rymanowskiego, w którym przeprowadził niesławny wywiad z prof. Grażyną Cichosz, opiera się na złudzeniu równoprawności opinii. Widz ma sam „odkryć prawdę” i „wyrobić sobie zdanie”. To brzmi demokratycznie, ale jest katastrofalnie antyintelektualne. Nie będę wykazywał licznych przekłamań, które w tym wywiadzie się pojawiły. Świetnie zrobił to portal „Demagog”. Interesuje mnie szerszy kontekst tej sprawy.

Urynkowienie informacji

Dzisiaj ludzie nie cierpią na nadmiar cenzury, lecz na nadmiar szumu. Nie trzeba więc uciszać prawdy – wystarczy ją zagłuszyć tysiącem bzdur. I nie chodzi o to, żeby komuś nie pozwalać mówić, ale o to, żeby – gdy już mówi – nie pozwalać mu dezorientować. Bo tak właśnie działa dezorientacja słowa: zamiast zakazywać mówienia, pozwala mówić wszystkim – aż w szumie nikt już nie słyszy niczego.

Wolność słowa miała chronić przed przemocą władzy. Dziś coraz częściej sama jest narzędziem przemocy poprzez dezinformację – cichej, miękkiej, podawanej jako „rozmowa bez oceniania”. Ale w demokracji dziennikarz nie jest podtykaczem mikrofonu pod nos, lecz sitem. Ma odcedzać bzdury, odsiewać ziarno od plew. Kiedy przestaje to robić, demokracja nie rozkwita, ale głupieje.

Wersja wolności słowa a la Rymanowski przypomina supermarket idei: gigantyczne centrum handlowe, gdzie fakty i urojenia stoją na tej samej półce. W tym markecie wszystkiego jest pełno: trochę Darwina obok antyszczepionkowców, fizyka kwantowa w tej samej alejce, co homeopatia. Uśmiechnięty sprzedawca zapewnia: „Nie oceniamy, niech klient sam zdecyduje, czy woli witaminę C na raka, czy czapkę z folii aluminiowej na promieniowanie 5G”.

To już nie jest wolny rynek idei, ale urynkowienie informacji. Produkuje się treści nie według ich wartości, lecz według tego, jak się sprzedadzą. A najlepiej sprzedaje się plotka, skandal i zarzut, że naukowcy nas oszukują.

Gdy przekazywanie informacji oddziela się od odpowiedzialności, dziennikarstwo, które kiedyś było aktem zaufania między nadawcą a odbiorcą, staje się sutenerstwem. Sutenerzy informacji żyją z jej eksploatacji, nie z jej przekazu.

A im bardziej kłamstwo jest podniecające, tym mają wyższe obroty.

Nie wolność słowa, ale dezorientacja słowa. Nowy model dezinformacji: nie trzeba palić książek – wystarczy, by nikt nie miał ochoty ich czytać, bo łatwiej obejrzeć filmik o tym, że soja wywołuje depresję.

„My tylko pytamy”, „nie oceniamy”, „zostawiamy decyzję widzowi” – te wygodne formuły brzmią, jakby ktoś deklarował neutralność, podczas gdy w istocie to abdykacja z odpowiedzialności. To nie wolność słowa, lecz obojętność wobec prawdy. I fałszywa niepokorność, narcystyczny bunt przeciwko mainstreamowi, w tym przeciwko czemuś, co nazywa się „mainstreamem naukowym”. Jakież to jest wredne, manipulacyjne określenie!

To akceptacja, nie pluralizm

„Mainstream naukowy” to coś, co opiera się na weryfikacji, a więc na metodzie empirycznej. To jeden z największych wynalazków ludzkości – nie dlatego, że pozwala budować mosty i wynaleźć szczepionki, lecz dlatego, że uczy pokory wobec rzeczywistości. To pierwszy system etyczny, który nie zaczyna się od objawienia ani autorytetu, ale od zdania: „sprawdźmy”. W obserwacji, w eksperymencie, w falsyfikacji zawiera się cała humanistyczna wiara w człowieka: że może się mylić, ale też, że potrafi to rozpoznać.

Bez empiryzmu nie mamy już punktu odniesienia, tylko morze opinii, w którym wszystko ma takie samo prawo do istnienia, niezależnie od tego, czy jest wodą, czy ściekiem. Wtedy już nic nie można sprawdzić, można jedynie „czuć” i „wierzyć”.

Bez empirycznej weryfikacji każde kłamstwo i manipulacja mogą uchodzić za alternatywny punkt widzenia, a każda bzdura za „odważne pytanie”.

Walczący z „nauką głównego nurtu” (jakby była inna!) oskarżają naukowców o pychę i chęć kontrolowania rzeczywistości. Tymczasem empiryzm to akt pokory wobec świata, nie chęć jego kontroli. To uznanie, że świat nie jest projekcją naszych przekonań, lecz czymś, co istnieje niezależnie od nas – i że dlatego właśnie możemy o nim sensownie rozmawiać. To ten, kto zaprzecza idei weryfikacji, promuje pychę i chce manipulować innych swoim kłamstwem.

Dlatego dziennikarstwo musi weryfikować. Powstało jako profesja stojąca na straży prawdziwego oglądu rzeczywistości: by w świecie emocji, propagandy i mitów ktoś sprawdzał, co się naprawdę wydarzyło. Stąd dziennikarz, który mówi, że „tylko pyta”, przestaje być dziennikarzem, bo istotą tego zawodu nie jest zadawanie pytań – tylko sprawdzanie odpowiedzi. Danie platformy do głoszenia poglądów bez krytycznego spojrzenia na nie jest akceptacją, nie pluralizmem.

Kiedy więc dziennikarz mówi: „Nie oceniam”, jego obecność traci sens. Zostaje tylko studio, kamera i głos, który może mówić wszystko – bo już nikt nie pilnuje granicy między wiedzą a brednią. To już nie jest dziennikarstwo. To przestrzeń do wynajęcia, w której prawda i fałsz występują w tych samych kostiumach, dlatego nie sposób ich odróżnić.

Zwłaszcza gdy nie chodzi o uzdrawiający kryształ ametystu czy balony kwestionujące grawitację – absurdy, które prawie każdy potrafi rozpoznać – lecz o kogoś, kto zaciemnia prawdę autorytetem profesorskiego tytułu. ●

Prisonety, podceliki i mamrorymy

Popisy polityków przewidziała Wisława Szymborska w dwuwierszu: „Mając wzgląd na czas poety/ sam za niego pisz, niestety”.

Michał Rusinek

We wczesnych latach 60., a może nawet pod koniec 50., w szarej i siermiężnej peerelowskiej przestrzeni publicznej pojawił się wesoły plakacik. Przedstawia on uśmiechnięte dziecko siedzące przy stole i usiłujące nabić na widelec długi i gruby zwój makaronu. Pod obrazkiem znajduje się napis: „Oszczędzając pracę żony/ jedz gotowe makarony” oraz dopisek: „Do nabycia we wszelkich sklepach spożywczych handlu uspołecznionego”.

Nie wiem, czy Polacy zaczęli kupować gotowe produkty i odciążać w ten sposób gospodynie domowe, co byłoby chwalebne. Wiem natomiast, że część poetycka owego quasi-reklamowego komunikatu zadziałała na Polaków inspirująco, bo Polak – wychowany w tradycji romantycznej – nie tylko wierzy poezji (jeśli coś jest rymowane, to musi być prawdziwe), nie tylko uważa poezję za profetyczną (patrz: Wernyhora), ale i odbiera ją jako bodziec do działania. Pisarze mieszkający w słynnym Domu Literatów w Krakowie dziarsko wzięli się do roboty i napisali ciąg dalszy poematu zapoczątkowanego przez anonimowego peerelowskiego copywritera.

●

Niestety, ich dzieła w większości się nie zachowały. Poza jakimiś notatkami jednej z mieszkanek Domu, Wisławy Szymborskiej, która później odtworzyła je z pamięci i dopisała nowe, np.: „Oszczędzając trud kochanki/ pij herbatę z brudnej szklanki”, „Oszczędzając wstydu damie/ lepiej cicho siedź, ty chamie”, „Oszczędzając sił buldoga,/ sam za niego podnoś noga” (śląskie), „Odpoczynek daj królicy:/ sam się rozmnóż w kamienicy”, „Ulżyj trawie w obowiązkach:/ sam wybujaj na Powązkach”, czy też: „Troszcząc się o zdrowie wieszcza/ proś go, błagaj – niech się streszcza”.

Są to przykłady twórczej trawestacji oryginału, zachowujące wątek oszczędzania lub ulżenia komuś w czymś, a przede wszystkim – trzymające się rygorystycznie formy reklamowego dystychu, czyli tetrapodii trocheicznej: oba wersy oryginału mają po osiem sylab, czyli cztery trocheje (dwusylabowe stopy metryczne, w których pierwsza sylaba jest akcentowana, a druga nieakcentowana). Żeby zabawa, także intertekstualna, była prawdziwą zabawą, musi mieć swoje reguły. W przeciwnym wypadku nie ma sensu.

●

Zabawę w trawestację uprawiają ostatnio politycy – co przewidziała zresztą Szymborska w dystychu: „Mając wzgląd na czas poety/ sam za niego pisz, niestety”. Zabawa zaczęła się od dystychu autorstwa Donalda Tuska, który skomentował za jego pomocą wizytę na Węgrzech Zbigniewa Ziobry (według prokuratury istnieją „uzasadnione podejrzenia”, że jako minister sprawiedliwości popełnił 26 przestępstw, w tym kierował grupą przestępczą). Dystych ów brzmi: „Albo w areszcie,/ albo w Budapeszcie”. Nie jest on równie kunsztowny jak peerelowski slogan: pierwszy wers liczy pięć, a drugi sześć sylab. Pierwszy składa się z dwóch daktyli, przy czym jeden z nich jest niepełny (dypodia hipokatalektyczna), drugi z trzech, znanych już nam, trochei (tetrapodia trocheiczna). Rym na szczęście jest pełny.

●

Taką mniej regularną formę nieco trudniej poddawać trawestacji, co nie zniechęciło jednak samego Zbigniewa Ziobry, który zaraz odpowiedział premierowi: „Najpóźniej za dwa lata pakuj manatki –/ albo do Berlina, albo za kratki”. Trawestacja polega tu głównie na umieszczeniu w pozycji rymowej synonimu słowa „areszt”; autor nie zdecydował się na naśladowanie formy. Jego forma (12 sylab w pierwszym, 11 w drugim) albo sugeruje subtelne nawiązanie np. do pieśni Jana Kochanowskiego (pisanych jedenastozgłoskowcem), albo jest wyrazem pewnej nieudolności i chęci – za wszelką cenę – do zrymowania „manatków” z „kratkami”, co wymaga dłuższych wersów, żeby całość była w miarę logiczna. Nota bene za czasów Ziobry urzędniczka Funduszu Sprawiedliwości oceniła wniosek o pieniądze związanej z PiS instytucji jako „szajsik za duży chajsik” – pokazując, że poezja jest jej bliska, ortografia zaś już nieszczególnie.

●

Wróćmy jednak do poezji współczesnej. Poseł PiS Michał Wójcik, były wiceminister sprawiedliwości, także postanowił spróbować swych sił w sztuce trawestowania: „Albo w Brukseli, albo w celi” – napisał. W tym przypadku widzimy nie tylko nawiązanie tematyczne – zmianę „Budapesztu” na „Brukselę” i „aresztu” na „celę” – ale i formalne: pierwszy wers Wójcika zbudowany jest identycznie jak wers Tuska. Drugi – o jedną sylabę krótszy – ma formę czystej dypodii trocheicznej. Cóż, brawo!

Ale czyżby to już wszystko? Panowie i panie! Przecież oto narodził nam się nowy podgatunek literacki, który nie ma jeszcze nazwy, ale proponuję „mamrorymy”, „podceliki”, albo – z angielska, więc modnie – „prisonety”. Jest jeszcze przecież do wykorzystania rym „tamże”/”mamrze”, „chałupie”/”ciupie”, „Ałmaty”/”kazamaty”, „kudła”/”pudła”, „pajace”/”w pace”, „tłuściochy”/”lochy” – i wiele innych. Uprawianie poezji jest naszym narodowym obowiązkiem, bo Polska jest szeroko znana w świecie jako kraj poetów. Akademia Szwedzka aż dwie nagrody Nobla przyznała polskim poetom: Czesławowi Miłoszowi i Wisławie Szymborskiej. Która zresztą w 2003 roku napisała dystych brzmiący w dzisiejszym kontekście niebywale profetycznie: „Oszczędź znoju biednej matce,/ sam zrób sweter na odsiadce”. ●

eprasa.pl 4631607220

Liczmy się jak prawicowi przedsiębiorcy medialni. – Nie idzie o idee, tylko o pieniądze – słyszę, gdy pytam o rozstanie Jacka i Michała Karnowskich.

KOCHAJMY SIĘ JAK BRACIA...

Piotr Głuchowski

Dobiegający pięćdziesiątki bracia bliźniacy Jacek i Michał Karnowscy, niemal identyczni fizycznie, zawsze eleganccy i jak dotąd nierozłączni twórcy tygodnika „Sieci", serwisu wPolityce.pl oraz telewizji wPolsce24 – rozstali się zawodowo we wrześniu, kiedy Michał został odwołany z zarządu spółki Fratria, właściciela wymienionych mediów – a do tego dyscyplinarnie zwolniony z pracy.

Z Michałem „polecieli" dziennikarze TVP z czasów prezesury Jacka Kurskiego, którzy po grudniu 2023 r. zaczęli pracować dla Fratrii: dyrektor programowy Michał Adamczyk i redaktor-reporter Marcin Tulicki.

Pierwszy o swojej dymisji dowiedział się, jak mówi, „z komunikatów prasowych". Drugiego zwolnił osobiście prezes spółki Romuald Orzeł, szef TVP z czasów, gdy w pierwszej dekadzie nowego stulecia rządziły tam PiS, Liga Polskich Rodzin i Samoobrona, a do tego wieloletni współpracownik założyciela sieci Spółdzielczych Kas Oszczędnościowo-Kredytowych senatora Grzegorza Biereckiego. Obecnie Bierecki jest większościowym udziałowcem Fratrii.

Z początkiem listopada trzej wyrzuceni uruchomili kanał na YouTube – konkurencję dla Kanału Zero. Nazwali go TAK! – od swoich inicjałów. Wydawcą programu jest ich nowa spółka Trzej Muszkieterowie z siedzibą w Domu Dziennikarza przy stołecznej ulicy Foksal. Prezesem został Tulicki, który wedle mych informacji był pomysłodawcą przedsięwzięcia.

Mało kto wie, że w firmie jest jeszcze czwarty muszkieter – jej beneficjent rzeczywisty Artur Chodziński, były reporter miejski z wrocławskiej „Wyborczej", a potem funkcjonariusz CBA, który opuścił służbę w efekcie skandalu.

•

Gdy dziennikarz prosi dziennikarzy o opinię na temat innych dziennikarzy – sytuacja jest delikatna. Stąd wyjaśnienie: o genezie i kulisach rozwodu u Karnowskich rozmawiałem • z byłym prezesem TVP **Mateuszem Matyszkowiczem**; • z redaktorem naczelnym „Rzeczpospolitej" **Bogusławem Chrabotą**; • z byłym dyrektorem radiowej Trójki **Jakubem Strzyczkowskim**; • z szefem nieistniejącego już prawicowego tygodnika „Uważam Rze" **Janem Pińskim**; • z byłym naczelnym „Newsweeka", później szefem działu opinii „Wyborczej" **Wojciechem Maziarskim**; • z dziennikarzem Onetu **Jackiem Harłukowiczem**: * z byłą naczelną „Wyborczej" we Wrocławiu **Barbarą Piegdoń-Adamczyk**. A także z posłem KO **Romanem Giertychem,** współwłaścicielem „Rzeczpospolitej" **Grzegorzem Hajdarowiczem** i dwojgiem reporterów z Republiki oraz wPolityce.pl. Większość wypowiadała się nieoficjalnie, dlatego będą występować jako A, B, C... i tak dalej.

Wedle słów A., pierwsze kwasy między braćmi Karnowskimi (przede wszystkim Michałem) a Biereckim i Orłem miały się pojawić w związku z przegranym wyścigiem o przejęcie szacowanej na ponad pół miliona osób publiczności „kurwizji", czyli Telewizji Polskiej pod rządami Kurskiego, a później Matyszkowicza.

Kiedy w grudniu 2023 r. krótkotrwały minister kultury Bartłomiej Sienkiewicz postawił TVP w stan likwidacji, a sygnał TVP Info został wyłączony, do boju o konserwatywnych widzów stanęły dwa ośrodki medialne: jeden skupiony wokół Tomasza Sakiewicza i jego TV Republiki, drugi to właśnie Karnowscy.

Sakiewicz, współzałożyciel liczącego się w latach 90. Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego, stał od początku na lepszej pozycji. Jak mówi mi A.: „Upasł się już na Smoleńsku". Miał i ma nadal ukazujący się od wczesnych lat dziewięćdziesiątych tygodnik „Gazeta Polska" oraz dziennik o podobnym tytule stworzony po katastrofie smoleńskiej z myślą o rozpowszechnianiu teorii zamachowych; do tego rozsiane po Polsce i USA zrzeszające czytelników obu tych pism Kluby Gazety Polskiej; portal informacyjny Niezalezna.pl; a co najważniejsze: założoną wspólnie ze znanym konserwatywnym publicystą Bronisławem Wildsteinem i dokumentalistą Piotrem Barełkowskim internetowo-kablową telewizję Republika, która już przed 2023 r. mimo śladowego udział w rynku dorobiła się własnych gwiazd i pieniędzy.

W Republice przed grudniem 2023 r.pracowali: • **Anita Gargas** – dziennikarka śledcza i autorka filmów o katastrofie smoleńskiej; • **Cezary Gmyz** – wyrzucony z „Rzeczpospolitej" autor newsa „Trotyl na wraku tupolewa"; • **Ewa Stankiewicz** – prezeska „smoleńskiego" Stowarzyszenia Solidarni 2010 i wykładowczyni w szkole medialnej ojca Tadeusza Rydzyka; • **Dawid Wildstein** – syn Bronisława, dekadę temu zaliczany do „prawych hipsterów" mających odmłodzić i zmienić image polskiego konserwatyzmu; • wreszcie **Rafał Ziemkiewicz i Tomasz Terlikowski**, których przedstawiać nie trzeba.

Przychody tego środowiska z umów reklamowych i sponsorskich ze spółkami skarbu państwa za rządów „dobrej zmiany" są szacowane na 35 do 50 milionów złotych.

Ośrodek Karnowskich i senatora Biereckiego pod koniec roku 2023 był jeszcze bogatszy. Wedle sporządzonej przez medioznawcę i profesora UW Tadeusza Kowalskiego „Analizy wydatków reklamowych spółek Skarbu Państwa w latach 2015-19" tylko w trakcie pierwszej kadencji rządów PiS i Solidarnej Polski Fratria dostała od podmiotów państwowych przeszło 100 milionów. Według ustaleń Jacka Harłukowicza z Onetu w ciągu całej ośmiolatki „dobrej zmiany" spółki skarbowe wykupiły tylko na łamach „Sieci" reklamy za ponad 142 miliony.

Pieniądze płynęły przez zakup reklam i umowy na patronaty, m.in.dotyczące corocznej gali „Człowiek Wolności tygodnika »Sieci«". Płaciły: Orlen, Enea, Totalizator Sportowy, banki Pekao i PKO BP, Lasy Państwowe, PGNiG, Tauron, PZU, KGHM, Grupa Lotos, Agencja Rozwoju Przemysłu, Polski Fundusz Rozwoju... Zarabiała – na tych podmiotach – też witryna wPolityce.pl mająca zasięgi o połowę większe od Sakiewiczowej Niezależnej. Karnowscy nie mieli jednak porządnej telewizji. Serwis wPolsce.pl, poprzednik TV wPolsce24, był dwa lata temu jedynie bazującym na gadających głowach wideododatkiem do portalu informacyjnego. Brakowało cenionych przez prawicową publiczność nazwisk na miarę Ziemkiewicza.

Przed kluczową batalią o schedę po TVP Bierecki, Orzeł i Karnowscy mieli na telewizyjnym pokładzie jedynie duet dziennikarski **Marek Pyza** i **Marcin Wikło**, a prócz nich jeszcze **Stanisława Janeckiego**, dawnego dziennika-

FOT. JAKUB PORZYCKI / AGENCJA WYBORCZA.PL (2)

1 RP

eprasa.pl 4631607220

rza śledczego i naczelnego „Wprost", który równolegle pracował w TVP Info, prowadząc tam „W tyle wizji", prawicową odpowiedź na „Szkło kontaktowe" TVN. Pozostałe nazwiska ze stajni Michała i Jacka to już pod względem rozpoznawalności drugi szereg: Maja Narbutt, Marzena Nykiel, Dorota Łosiewicz, Jakub Maciejewski, Krzysztof Feusette, Grzegorz Górny...

W dodatku dzień po zaprzysiężeniu rządu Donalda Tuska Sakiewicz zdobył emocjonalną i wizerunkową przewagę nad braćmi i ich mediami. 14 grudnia 2023 roku Kluby Gazety Polskiej zorganizowały pod siedzibą Telewizyjnej Agencji Informacyjnej na stołecznym placu Powstańców Warszawy kilkusetosobową manifestację przeciwko spodziewanym zmianom w publicznej telewizji. Pracujący w tym miejscu dziennikarze TVP od polityki (bo to stamtąd, a nie z ulicy Woronicza, nadaje się serwisy informacyjne) mogli zobaczyć przez okna, że „Sakiewka" jest gotów ich bronić. Szybko też usłyszeli, że jakby linie obronne pękły – chętnie weźmie do siebie przynajmniej największe nazwiska.

•

Tydzień później, 20 grudnia 2023 roku, nowy zarząd TVP pojawił się w siedzibie przy Woronicza, by przejąć władzę nad spółką. Doszło do przepychanek, ucierpiała broniąca status quo posłanka PiS, interweniowała policja.

W tym czasie na placu Powstańców trwała okupacja. W siedzibie Telewizyjnej Agencji Informacyjnej zabarykadowali się m.in.jej dyrektor i prezenter Michał Adamczyk, który w kończącym się podówczas roku zarobił w TVP ponad milion złotych, oraz reporterzy Samuel Pereira (pół miliona) i Marcin Tulicki, który później nakręci poświęcony tym wydarzeniom film dokumentalny „Przejęcie". Mimo wyłączenia sygnału odmówili wyjścia. Czegoś takiego jeszcze nie grano – wszystkie najważniejsze serwisy informacyjne od Wyborcza.pl po Wirtualną Polskę poświęciły awanturze czołówki.

Tymczasem w publicznej telewizji 20 grudnia w ogóle nie pokazano wieczornych „Wiadomości". Zamiast gorących scen z obu siedzib TVP widzowie wysłuchali o wpół do ósmej wieczorem suchego komunikatu Marka Czyża, wcześniejszego dyrektora informacji Radia Zet. Nowy prezenter zapowiedział równie nowy serwis informacyjny o nazwie „19.30", który nazajutrz zastąpił prowadzone dotąd przez główną gwiazdę TV PiS Danutę Holecką, Edytę Lewandowską i Michała Adamczyka wieczorne „Wiadomości". Po ósmej wieczorem okazało się, że nie ma również drugiego ważnego programu propagandowego – „Minęła dwudziesta", gdzie wcześniej prezentowali się Adrian Klarenbach (niegdysiejszy doradca Janusza Korwin-Mikkego, potem gorący zwolennik PiS), a także nieprzejednany wróg Tuska, zaczepiający go regularnie na sejmowym korytarzu reporter Miłosz Kłeczek. Zdezorientowani widzowie publicznej telewizji, chcąc wiedzieć, co się dzieje z ich ulubieńcami, przełączali kanały – TVP Info już jednak nie nadawała, a w TVN 24 przedstawiano interpretację wydarzeń, która miłośnikom dotychczasowych „Wiadomości" nie mogła odpowiadać. Do wyboru zostały Republika i wPolsce.pl.

Oczywiście nie wszyscy mieli taki wybór. Telewizja Sakiewicza dostępna była w tym czasie dla mniej więcej połowy widowni. Mogli ją oglądać odbiorcy kablówek UPC, Vectra i Toya, posiadacze pakietów satelitarnych Canal+ i Orange oraz ci ze zwykłymi antenami w Warszawie, Katowicach i we Wrocławiu. W listopadzie 2023 roku oglądalność Republiki wahała się między 0,25 a 0,30 procent ogólnego rynku.

Telewizję Karnowskich technicznie mogła śledzić jeszcze mniejsza publiczność – jedynie posiadacze pakietu Polsat Box i użytkownicy kablówek Play, Netia, T-mobile, Magenta. Mimo to przed 20 grudnia 2023 roku oglądalność wPolsce.pl – w internecie i telewizorach – była tak samo duża (albo tak samo mała) jak oglądalność Republiki.

Rozjazd wykresów nastąpił właśnie w gorących dniach między 20 grudnia a Wigilią. Przez pierwsze dwa dni po „odbiciu" TVP przez koalicję rządzącą, której Adamczyk właśnie wtedy nadał obowiązujące do dziś na prawicy miano „koalicji 13 grudnia" (by się kojarzyła z datą ogłoszenia stanu wojennego w 1981 roku), widownia Sakiewicza skoczyła dziesięciokrotnie, do ponad trzech procent całej liczby oglądających wszelkie telewizje. To poziom równy TVN 24 i wyższy od osiąganego przez Polsat News. Po świętach Bożego Narodzenia główny program informacyjny Republiki „Dzisiaj" śledziło średnio 400 tysięcy osób.

A telewizja Karnowskich urosła ledwo dwukrotnie: z ćwierci do połowy procentu. – To wywołało napięcia między Biereckim i Orłem a braćmi – mówi A. – Szukano winnego temu, że Republika wskoczyła na falę, a wPolsce została z tyłu o kilka długości. Jesteśmy nie dość ostrzy? Czy niedostatecznie merytoryczni? Michał, który ma łagodniejszy charakter, o dziwo uważał, że należy zradykalizować przekaz, iść na wojnę i się napierdalać. Jacek był zdania, że można się odróżnić od Republiki robiąc telewizję silnie antytuskową, ale nie koncentrującą się tylko na walce o przyszłe zwycięstwo PiS.

Spory trwały, tymczasem ruszył zakup gwiazd TVP i tu Michał z Jackiem znów okazali się drudzy. Opływający w zlecenia reklamowe Sakiewicz oszczędzał na własnych dziennikarzach, płacił im z opóźnieniem i skąpił podwyżek, więc zebrał wystarczająco dużo kasy, by wystąpić wobec najbardziej rozpoznawalnych twarzy z ofertą finansową, jakiej jego dotychczasowi podwładni nigdy nie dostali. Od 50 tysięcy miesięcznie wzwyż. Fratria i bracia Karnowscy nie umieli (albo nie zdążyli) tego przebić. „Sakiewka" zdołał „kupić": • **Michała Rachonia**, któremu zaoferował (przyjętą) posadę dyrektora programowego stacji; • **Danutę Holecką**, której debiut w roli prezenterki programu „Dzisiaj" wieczorem 29 grudnia obejrzało 600 tysięcy osób; • drugą obok „cioci Danki" ulubienicę widzów zlikwidowanych „Wiadomości" – **Edytę Lewandowską**; • wreszcie **Miłosza Kłeczka** – ten niemal od razu dostał własny program.

Bierecki, Orzeł i Karnowscy, których telewizję przed Sylwestrem oglądało około 50 tysięcy Polaków, zdołali nabyć jedynie zmagającego się właśnie z oskarżeniami Onetu o niegdysiejsze pobicie kobiety w Toruniu prezentera Michała Adamczyka oraz dwóch reporterów – Marcina Tulickiego i współpracującego już wcześniej z tygodnikiem „Sieci" Samuela Pereirę. Korzyści z dokooptowania gwiazd okazały się wprost proporcjonalne do ich blasku: oglądalność Republiki w kolejnym roku 2024 wyniosła średnio cztery procent, a w 2025 przekroczyła sześć. W lipcu tego roku „Sakiewka" miał lepszy wynik niż TVN 24, Polsat News i TVP Info razem wzięte. Większość konserwatywnej publiczności uważa, że to Republika jest godną kontynuatorką TVP Kurskiego i dają temu wyraz w ulicznych sondach, które przeprowadzają podwładni Sakiewicza.

Tymczasem Karnowscy dwa lata zmagali się z pułapem jednego procentu. B: – Bierecki z Orłem byli bardzo niezadowoleni. Jackowi niewiele mogli zrobić, bo jest współwłaścicielem Fratrii, podlega mu tygodnik i portal, zaczęli więc mobbować Michała, który się zajmował głównie telewizją. Kazali jemu i Tulickiemu zmieniać w programie raz jedno, a raz drugie, efektów w postaci oglądalności nie było, atmosfera gęstniała. W dodatku Jacek nie chciał jednoznacznie bronić bliźniaka.

Poziom jednoprocentowej oglądalności został trwale przebity dopiero w połowie 2025. W październiku Marcin Wikło z dumą poinformował, że wPolsce24 z wynikiem „prawie dwuprocentowym" jest „trzecią najchętniej oglądaną telewizją informacyjną w Polsce", za Republiką i TVN 24. Do tego 11 listopada telewizja Orła i jednego już tylko Karnowskiego będzie „oficjalnym patronem medialnym" Marszu Niepodległości 2025.

•

Moi rozmówcy, którzy znają Michała i Jacka osobiście, twierdzą, że obaj są „politycznie giętcy", przy czym ten drugi „jest większym cynikiem".

Po ukończeniu socjologii na Uniwersytecie Warszawskim obronił u sławnej konserwatywnej wolnomyślicielki profesor Jadwigi Staniszkis pracę magisterską na temat Akcji Wyborczej Solidarność – wywodzącego się ze związkowej „Solidarności" ugrupowania sejmowego, które w latach dziewięćdziesiątych połączyło Porozumienie Centrum, pierwszą partię braci Kaczyńskich z ZChN, z kilkoma mniejszymi partiami ówczesnej rozdrobnionej prawicy. Karierę dziennikarską zaczął w 1998 roku jako pracownik polskiej sekcji radia BBC. W roku 2005, po pierwszym wyborczym zwycięstwie PiS i powstaniu koalicji z Ligą Polskich Rodzin Romana Giertycha oraz Samoobroną Andrzeja Leppera, dostał posadę reportera szykującego newsy dla głównych „Wiadomości" publicznej Jedynki, i to wówczas zwrócił nań uwagę nowy prezes TVP Bronisław Wildstein. Sprawny i „myślący po polsku" trzydziestoletni Jacek dostał do prowadzenia poranny program komentujący politykę o nazwie „Kwadrans po ósmej".

– Choć był już wówczas żonaty z Justyną, która zresztą po 2015 roku dostała posadę w pisowskiej TVP, bardzo podobał się kobietom – wspomina tamte czasy B. – Dobrze ubrany, ładnie pachnący, z czarującym uśmiechem i legendą ideowego konserwatysty, której zresztą sprostał, gdy przyszło co do czego.

Chodzi o to, że w lutym 2007 roku Wildstein senior został odwołany z gabinetu przy Woronicza – głównie za to, że nie odbierał telefonów od premiera Jarosława Kaczyńskiego. Jacek odszedł wówczas razem z szefem, którego uważał za swego politycznego guru. Po blisko dwudziestu latach moi rozmówcy pamiętają tamte wydarzenia różnie: jedni twierdzą, że mający serce po prawej reporter rzucił papierami w geście solidarności z prezesem, inni – że nie mając serca w ogóle, za to mając równoległą pracę w Polskim Radiu, spokojnie przeszedł na kierownicze stanowisko w doinwestowanej właśnie przez medialnego magnata Ruperta Murdocha Telewizji Puls. Choć Murdoch w świecie szedł od sukcesu do sukcesu – posiadał szacowny „The Times", brukowy „The Sun" i telewizję Fox News – to w Polsce rodzinno-chrześcijańska stacja się nie przyjęła. Jacek wrócił do telewizji publicznej.

Było już po wyborach wygranych pierwszy raz przez Platformę, lecz w TVP rządził wciąż wspomniany układ z poprzedniego rozdania (PiS, liga Romana Giertycha i Lepper). Pełniącym obowiązki prezesa był wówczas dawny neonazista, polityk Narodowego Odrodzenia Polski, a później LPR – Piotr Farfał. B.: – Poseł, senator i ludowy minister Artur Balazs, który wówczas rozdawał karty w Samoobronie, zażyczył sobie, żeby Jacek Karnowski kierował „Panoramą", czyli głównymi wiadomościami telewizyjnej Dwójki. Spotkaliśmy się wtedy na Woronicza i Jacek się pożalił, że głupio zrobił, odchodząc za Wildsteinem. Że teraz, kiedy wrócił, jest już mądrzejszy. Dla mnie w tym okresie przestał być dziennikarzem, a stał się członkiem z ramienia wysuniętym na czoło. I takim już pozostał... politrukiem.

W roku 2009 awansował na szefa „Wiadomości" TVP 1. Zdaniem B. władza go trochę zepsuła: – Potrafił już być opryskliwy i świadomie niegrzeczny. Na wewnętrznych zebraniach zdarzało mu się orać ludzi.

Kariera w Telewizji Polskiej dość szybko urwała się po raz drugi. W roku 2010 przewodnicząca nadzorującej media publiczne Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, wcześniejsza posłanka PiS Elżbieta Kruk, ustąpiła miejsca politykowi Platformy Janowi Dworakowi. W drugiej połowie roku, po prezydenckiej porażce Jarosława Kaczyńskiego w starciu z Bronisławem Komorowskim, z budynków na Woronicza i Powstańców Warszawy zaczęli wylatywać konserwatywni dziennikarze. Pracę stracili między innymi: Adrian Klarenbach, Edyta Lewandowska, Rafał Ziemkiewicz i wreszcie Jacek, który przeszedł do tworzonego przez brata Michała tygodnika „Uważam Rze".

•

Przebieg kariery Michała Karnowskiego może zaskakiwać, bo przez pierwszą połowę życia zawodowego pracował w mediach dalekich od prawej strony.

Po ukończeniu dziennikarstwa na UW zaczynał jako reporter miejski w „Gazecie Olsztyńskiej", dawnym organie PZPR, by na przełomie wieków zahaczyć się w telewizyjnej Dwójce; prezesem TVP był polityk postkomunistycznej lewicy Robert Kwiatkowski. Przez kilka miesięcy Michał współprowadził program „Jazda kulturalna", a w 2001 r. został przyjęty jako liniowy reporter w „Newsweek Polska".

Maziarski: – Byłem w tym czasie redaktorem działu społecznego, młody Michał pisał w krajowym. Sprawiał wrażenie chłopaka bardzo inteligentnego i umiarkowanego w poglądach, chociaż wyczuwałem, że to wyważenie nie jest do końca szczere. Redaktorem i poniekąd mentorem Karnowskiego był Piotrek Zaremba.

Ten ostatni to pisarz polityczny, krytyk teatralny, a przede wszystkim konserwatywny komentator o rozległych zainteresowaniach, publikujący w mediach od „Gazety Polskiej" po „Tygodnik Powszechny". – Karnowski był w niego wpatrzony – mówi mi dalej Maziarski. – Zaremba go pilotował. Kiedy powstał „Dziennik", nowe pismo naszego wydawcy Axela Springera, bardziej prawicowe towarzystwo z „Newsweeka" odeszło właśnie tam. Między innymi Zaremba i Karnowski.

W „Dzienniku" (później „Dzienniku Gazecie Prawnej") Michał był publicystą, szefem dzia-

Polska jest im droga

35 do 50 mln zł

• wyniosły przychody środowiska Sakiewicza z umów reklamowych i sponsorskich ze spółkami Skarbu Państwa za rządów PiS

Przeszło 100 mln zł

• dostała od podmiotów państwowych za pierwszej kadencji PiS spółka Fratria braci Karnowskich

Od 50 tys. zł

• miesięcznie dostały w TV Republika największe gwiazdy TVP z czasów PiS

Około 5 mln zł

• dywidendy wypłaciła spółka Fratria braciom Karnowskim w okresie rządów Zjednoczonej Prawicy

Ponad 17 tys.

• brutto zarabiał Jacek Karnowski, a Michał prawie 10 w czasie, gdy średnia krajowa wynosiła 3300

Grzegorz Hajdarowicz, współwłaściciel „Rzeczpospolitej" i „Uważam Rze": Projektowali „w Sieci" na moich komputerach, w godzinach pracy, za które ja płaciłem. Wykorzystywali moich informatyków, moich grafików... za to ich wyrzuciłem, a nie za prawicową pisaninę

eprasa.pl 4631607220

łu politycznego, wreszcie zastępcą naczelnego. Po zwycięstwie PiS w roku 2005 objawił się niespodziewanie jako wielki zwolennik Jarosława i Lecha. Dorobił się nawet określenia „bard IV RP".

Czwarta Rzeczpospolita była hasłem, które zapowiadało ostateczne zerwanie z „postkomunistyczną" III RP, budowę nowych elit i nowego porządku społecznego. Projekt upadł wraz z dramatycznym końcem koalicji PiS-LPR-Samoobrona latem 2007. Jarosław Kaczyński wpadł w pułapkę przyspieszonych wyborów, którą sam zastawił, władzę przejęły Platforma z PSL, a Michał przeszedł z „Dziennika" do trzeciej już „niemieckiej gazety dla Polaków" (określenie zaczerpnąłem od publicystów wPolityce.pl), czyli pisma „Polska The Times". Jego wydawcą była spółka Passauer Neue Presse pod marką Polska Press.

– Przechodząc do Passauera w latach szczytowej popularności Platformy Obywatelskiej, skwapliwie usunął z archiwum poprzedniego pracodawcy swoje wiernopoddańcze teksty o braciach Kaczyńskich – mówi mi C. i podsyła zachowany w repozytorium Niniwa22cba.pl artykuł Michała pod tytułem „Jarosław Kaczyński chce być żelaznym kanclerzem IV RP" („Dziennik", 19 stycznia 2007).

Fragmenty: „Na pokładzie rządowego samolotu, w saloniku przy dziobie premier Jarosław Kaczyński odpoczywa po kilkugodzinnej wizycie w Małopolsce. Wizycie, którą najlepiej oddaje określenie: gospodarska. Kończy się pierwsza od miesiąca wyprawa poza Warszawę. Ale Kaczyński myślami wydaje się już być w swoim gabinecie. W krótkiej rozmowie stwierdza, że nie wie, jak jego poprzednikom udawało się tak dużo podróżować po kraju i zarazem solidnie pracować. – Tak dużo jak teraz pracowałem tylko na początku lat dziewięćdziesiątych. Czuję różnicę wieku. To ciężki urząd. Rozumiem, dlaczego Piłsudski mówił, że tak można tylko przez rok. Stewardesa podaje ciepły posiłek. Ale Jarosław Kaczyński zdąży połknąć tylko kilka kęsów. Za chwilę samolot podchodzi do lądowania. Jest 18.40. Dla premiera to mniej więcej środek dnia, który zakończy się dwie-trzy godziny po północy. Czeka go jeszcze lektura wieczornych raportów dziennych, kilka spotkań i potwierdzenie harmonogramu na jutro. Na sam koniec, już w domu, lektura książki...".

Tego tekstu nie ma już w archiwum internetowym „Dziennika", ponieważ w 2007 roku „poglądy Michała zmieniły się o 180 stopni. Nagle zapałał miłością do Donalda Tuska i Platformy Obywatelskiej" – pisał 12 lat temu autor portalu naTemat.pl Grzegorz Jakubowski, który wytknął „bardowi IV RP" także słodki wywiad z Jerzym Urbanem, naczelnym antyklerykalnego „NIE". Karnowski przedstawił cynicznego rzecznika komuny w stanie wojennym, a w wolnej Polsce wydawcę prowokatora, jako niegdysiejszego „dziennikarza niepokornego" szukającego we władzach PRL „ochrony przed nacjonalistyczną, klerykalną, roszczeniową dziczą", do której należały wszelkiej maści „solidaruchy".

Ruch Michała w lewo dobiegł końca wraz z katastrofą smoleńską. Po kwietniu 2010 roku dziennikarz pożeglował w powrotną stronę, czyli – jak to określa złośliwie C. – „wrócił pod fotel Prezesa".

●

Na fali posmoleńskich emocji powstała nie tylko „Gazeta Polska Codziennie" Sakiewicza. W tym samym czasie Paweł Lisicki, pisarz katolicki i ówczesny naczelny „Rzeczpospolitej", założył bardziej prawicowy od samej „Rzepy", sprzężony z nią tygodnik „Uważam Rze". Do pracy przy nim ściągnął Rafała Ziemkiewicza, Wildsteina seniora, Roberta Mazurka oraz Michała Karnowskiego, którego uczynił swoim zastępcą. Ten szybko sprowadził do redakcji brata.

Jak pisał później w książce „Nowi barbarzyńcy" lewicowy kulturoznawca Jakub Dymek, wychodzące od lutego 2011 roku pismo „kwestionowało liberalną demokrację i zasadność przystąpienia do Unii Europejskiej", „atakowało liberalnych dziennikarzy" ze szczególnym uwzględnieniem tych z „Wyborczej" i TVN, wreszcie „promowało światopogląd konserwatywny, kładąc nacisk na rolę tradycyjnego małżeństwa". Pisano tam również oczywiście o „zamachu smoleńskim". Zdaniem Dymka tygodnik był „jednym z najwcześniejszych polskich pism tożsamościowych".

Prędko się okazało, że istnieje potężne zapotrzebowanie na takie dziennikarstwo: „niepokorny" tygodnik Lisickiego w parę miesięcy osiągnął ponadstutysięczną sprzedaż, wyprzedzając „Newsweek" i dorównując „Polityce". Jak mówi mi D., **Michał z Jackiem zarabiali jeden prawie 10, a drugi ponad 17 tysięcy brutto,** podczas gdy **średnia krajowa wynosiła trzy tysiące trzysta**. Mazurek i Ziemkiewicz – jako medialni gwiazdorzy z dużym „współczynnikiem niepokorności" brali jeszcze więcej.

Karnawał skończył się po roku, gdy większościowym, a potem już jedynym udziałowcem „Rzeczpospolitej", a więc i „Uważam Rze" została spółka Gremi Media przedsiębiorcy i producenta filmowego Grzegorza Hajdarowicza. Były opozycjonista i podziemny drukarz, w latach dziewięćdziesiątych członek piłsudczykowskiej Konfederacji Polski Niepodległej, nie podzielał posmoleńskiego uniesienia panującego w obu nabytych redakcjach. Gdy w listopadzie 2012 roku Cezary Gmyz opublikował w „Rzepie" swój słynny „Trotyl na wraku tupolewa", który miał być koronnym dowodem na zamach, Hajdarowicz uznał, że tego już za wiele, i kazał zwolnić zarówno autora tekstu, jak i Tomasza Wróblewskiego, naczelnego po Pawle Lisickim. Ten ostatni kierował w tym czasie już tylko zespołem „Uważam", którego także nie ominęła czystka. Polecieli wszyscy najważniejsi: prócz Lisickiego Wildstein, Mazurek i Karnowscy. Ale bracia mieli dokąd pójść. Zdążyli założyć wcześniej jeszcze bardziej prawicowy tygodnik o tytule „W Sieci", do którego ściągnęli między innymi Piotra Zarembę.

Hajdarowicz mówi mi teraz, że Michał i Jacek go okradli: – Projektowali „W Sieci" na moich komputerach w godzinach pracy, za które ja płaciłem. Wykorzystywali moich informatyków, moich grafików... za to ich wyrzuciłem, a nie za prawicową pisaninę, jak później twierdzili.

Ta „pisanina" jednak zawojowała rynek: pomiędzy listopadem 2012 a marcem 2013 roku sprzedaż „Sieci" wciąż rosła, natomiast „Uważam Rze" spadała: ze 130 do 20 tysięcy w ciągu niecałego pół roku. Rozeźlony Hajdarowicz próbował zablokować braciom interes. Złożył w stołecznym Sądzie Okręgowym wniosek o zakazanie wydawcy tygodnika (czyli powołanej latem 2012 roku Fratrii) używania tytułu, ponieważ w wersji internetowej „Rzeczpospolitej" znajduje się już rubryka o nazwie „W sieci opinii". W trakcie rozpoznawania sprawy Karnowscy zmienili tytuł, usuwając literę „w", i to wówczas ich pismo zaczęło być złośliwie nazywane „tygodnikiem rybackim". Określenia tego szczególnie chętnie używali felietoniści powstałego równolegle nowego tygodnika Lisickiego – „Do Rzeczy". Z czasem oba pisma wraz z trzecim – „Gazetą Polską" – podzieliły między siebie rynek konserwatywnych tygodników. „Uważam Rze" wyzionęło ducha w roku 2016.

●

Właściciel „Sieci", wPolityce.pl i wPolsce24 – czyli Fratria – to spółka należąca w większości do Spółdzielczego Instytutu Naukowego i agencji PR o nazwie Apella, w której przed rokiem 2015 zatrudniona była żona Zbigniewa Ziobry – Patrycja Kotecka. Oba te podmioty są z kolei kontrolowane przez wieloletniego senatora PiS, przebogatego Grzegorza Biereckiego, twórcy systemu Spółdzielczych Kas Oszczędnościowo-Kredytowych. W 2015 roku sejmowa podkomisja próbująca prześwietlić parabankowe imperium polityka po głośnym upadku SKOK Wołomin orzekła, że Bierecki wykorzystywał SKOK-i „do prywatnego bogacenia się". Jego ostatnie oświadczenia majątkowe zdradzają zasoby przekraczające 50 milionów złotych.

Senator, który w 2019 roku stwierdził, że nie ustanie, aż nie doprowadzi „do pełnego oczyszczenia Polski z ludzi, którzy nie są godni należeć do naszej wspólnoty narodowej", jest znany z ostrych zagrań. Kilkanaście razy pozywał piszących o nim dziennikarzy (w tym mnie, ale bezskutecznie) i – jak twierdzi E. – „rządzi we Fratrii twardą ręką". Pozwala jednak zarabiać tym, którzy go słuchają. W okresie rządów Zjednoczonej Prawicy (jak to ustalił Jacek Harłukowicz) spółka **wypłaciła braciom Karnowskim około pięciu milionów tylko z tytułu dywidendy**, nie licząc pensji ani honorariów za publikacje. Do tego trzeba jeszcze doliczyć **wynagrodzenia za zasiadanie w zarządzie i radzie nadzorczej** firmy oraz podległej jej agencji reklamowej Syssitia – **co najmniej 50 tysięcy rocznie**. – Dlatego obecny rozwód Jacka i Michała postrzegam nie jako kłótnię, lecz próbę dywersyfikacji działalności medialnej, aby zarabiać jeszcze więcej – mówi z kolei F. – Chcą się choć częściowo wyzwolić spod władzy senatora.

C: – Moim zdaniem poszło o to, że tak, jak kiedyś Karnowcy zakładali „w Sieci" w redakcji „Uważam Rze", tak teraz Michał pichcił na boku swój projekt pracując nominalnie dla Biereckiego. Lecz cwany Orzeł go przejrzał, ustalił: kto jeszcze kręci lewe lody z Michałkiem? A mianowicie Tulicki. Bo Adamczyk, z tego co wiem, dołączył jako ostatni.

■

Po wyrzuceniu ludzi PiS z TVP w grudniu 2023 roku widownia TV Republika skoczyła dziesięciokrotnie, doganiając TVN 24. Telewizja Karnowskich urosła ledwo dwukrotnie: z ćwierci do połowy procenta. „To wywołało napięcia między braćmi. Szukano winnego"

– Tak naprawdę bracia nie są ideowymi pisowcami, a szczególnie Michał i Bierecki to jakoś wyczuwa – dopowiada A. – Tak samo Adamczyk z Tulickim. Znam ich obu trochę, znam ich życiowe wybory, to w ogóle nie są żadni konserwatyści, lecz koniunkturaliści, którzy lubią pieniądze. Teraz jeden skąpi drugiemu. Kiedy Tulicki z Adamczykiem opuścili pokład, Jacek nie wypłacił im całej należnej kasy za wcześniejszą pracę. Michał nic na to nie poradził. Złej krwi zrobiło się dużo. W dodatku ten cały Artur Chodziński... skąd oni go wytrzasnęli!?

Czwarty muszkieter w spółce stojącej za kanałem TAK! jest rzeczywiście kłopotliwy dla dziennikarzy prawicowych mediów, i to co najmniej z dwóch powodów.

Po pierwsze dlatego, że pracował w „Wyborczej", chociaż nie od razu. Karierę zaczynał w połowie lat 90. we wrocławskim „Słowie Polskim" – dawnym organie PZPR przejętym najpierw przez norweską Orklę, a potem przez Passauera. W redakcji miał ksywkę „Kurtka", ponieważ przychodząc do pracy, odpalał komputer, wieszał kurtkę na oparciu – i znikał. – Pozostawione okrycie miało sugerować, że Artur pracuje, tylko jest w toalecie albo na papierosie – mówi mi teraz G. Drugim, krótkotrwałym miejscem zatrudnienia „Kurtki" był nowo otwarty w 1997 roku dziennik „Puls Biznesu", a trzecim – wrocławski oddział naszej gazety mieszczący się przy placu Solnym. Dawni koledzy i koleżanki słabo jednak go stamtąd pamiętają: „Raczej niepozorny, pisał notki, kryminałki, miejską drobnicę". H: – Nie wzbudzał zaufania. Co innego mówił w oczy, a co innego za plecami. Taki cwany gapa. Tu cię przytulił, tu ci jakąś wiadomość sprzedał, węszył za korzyściami. Rozstaliśmy się z nim bez żalu.

Po drugie, były dziennikarz stał się bohaterem komicznego skandalu w swej kolejnej pracy – Centralnym Biurze Antykorupcyjnym, do którego przyszedł razem ze słynnym „agentem Tomkiem" i resztą tak zwanego pierwszego zaciągu Mariusza Kamińskiego – u schyłku PRL studenckiego opozycjonisty, we wczesnych latach 90. lidera radykalnie antykomunistycznej Ligi Republikańskiej, potem polityka PiS i faktycznego twórcy struktury CBA. Wiecznie ponury „Mario", nazywany niekiedy „Robespierre'em", zatrudnił Chodzińskiego w Biurze Prasowym „firmy". Jak podał później serwis Służby Specjalne, „były dziennikarz szybko stał się jednym z najbardziej zaufanych ludzi szefostwa CBA, Macieja Wąsika i Ernesta Bejdy, który w tamtym czasie kierował wrocławską delegaturą".

Kłopoty „Kurtki" w Biurze zaczęły się po zmianie władzy, gdy na czele służby stał już nie Kamiński, ale związany z Platformą inspektor Paweł Wojtunik. Około roku 2014 kierownictwo Biura zorientowało się, że ktoś wynosi wrażliwe materiały do prawicowych mediów. G.: – Przecieki, w tym stenogramy podsłuchanych w restauracji rozmów polityków Platformy oraz informacja, że organizator podsłuchów Marek Falenta, biznesmen handlujący rosyjskim węglem, to człowiek CBA, poszły do Cezarego Gmyza i Piotra Nisztora. Ten drugi potem zrobił na tych materiałach nagrodę Grand Press.

Biuro wszczęło szeroko zakrojone polowanie na kreta. Przeprowadzony w jego ramach przegląd nocnego monitoringu w delegaturze wrocławskiej wykazał, że źródłem przecieków był prawdopodobnie Chodziński, który po cichu ściągał z bazy danych Biura informacje niezwiązane z dochodzeniami, jakimi się zajmował. Przy okazji ujawniono, że sprowadził do willi CBA „bliżej nieustaloną kobietę", najprawdopodobniej prostytutkę (twierdził, że to siostra, ale nie potrafił przedstawić przełożonym dowodów na to tłumaczenie). W efekcie postępowania dyscyplinarnego został wydalony ze służby.

Sprawa była również zgłoszona do prokuratury, jednak gdy po wygranych przez „dobrą zmianę" wyborach 2015 na czele CBA stanął mecenas Ernest Bejda (poprzednio pracownik pisowskiej spółki Srebrna, kandydat tej partii na posła oraz obrońca Chodzińskiego w prokuratorskim śledztwie), „Kurtka" triumfalnie wrócił w szeregi agentów. Otrzymał szybki awans i został przeniesiony do centrali w Warszawie, jego sprawę w prokuraturze – już pod rządami Ziobry – zaś umorzono. A ci, którzy wcześniej zrobili byłemu dziennikarzowi dyscyplinarkę, po kolei popadali w zawodowe kłopoty. Przykładowo: stanowisko stracił szef delegatury wrocławskiej Przemysław Kwiecień. Tymczasem przywrócony do służby były reporter z Wrocławia po pracy (albo w jej ramach) zaczął hejtować nieprzyjaciół PiS z twitterowego (obecnie X) konta John Bingham (co wykryli dziennikarze serwisu Służby Specjalne).

„Mimo skrywania się za pseudonimem, Bingham, który zajmował się głównie oskarżaniem przeciwników PiS o związki ze służbami PRL oraz z WSI, uzbierał ponad 25 tysięcy obserwujących, a jego tweety masowo podawali dalej prawicowi publicyści i politycy partii Kaczyńskiego" – pisała jesienią 2017 roku Wirtualna Polska.

Obecnie John ma na portalu X prawie 50 tysięcy fanów. Przejrzałem jego tweety i wybrałem cytaty: • o Donaldzie Tusku: „to jest szajbus i mały, pizgnięty nienawiścią człowiek"; • o jego rządzie: „w niecałe dwa lata rządów zaorali krajową gospodarkę"; • o Karolu Nawrockim: „to perfekcyjna prezydentura, która dała potężny oddech Rzeczpospolitej, a proniemiecki salon III RP jest nią przerażony"; • o rosyjskich wpływach: „najbardziej udaną operacją propagandową Rosji po II wojnie światowej było przekonanie 30 procent społeczeństwa

eprasa.pl 4631607220

Polski, że prorosyjscy politycy PO są antyrosyjscy, zaś antyrosyjscy politycy PiS są prorosyjscy – typowo kremlowska robota"; • o sytuacji w resorcie sprawiedliwości: „przy Alei Róż minister Zbigniew Ziobro wyczekiwany jest jak wybawiciel, ponieważ pracownicy, zmęczeni i wściekli, krztuszą się już Żurkiem i jego prymitywnymi atakami".

Po roku 2019 Chodziński prowadził – jako oficer CBA – sprawę operacyjnego rozpracowania Romana Giertycha o kryptonimie „Okser", w trakcie której nielegalnie przeszukano dom adwokata we Włoszech; zaś w roku 2020 nadzorował zatrzymanie polityka, które skończyło się jego omdleniem (Giertych był podejrzanym w śledztwie tyczącym się wyprowadzania pieniędzy ze spółki Polnord milionera Ryszarda Krauzego – sprawa miała ewidentny podtekst polityczny i skończyła się umorzeniem). – Pisowscy szefowie Biura dali mą sprawę Chodzińskiemu, bo to jest człowiek o niskim morale i tylko on był na tyle pozbawiony skrupułów, żeby to poprowadzić – mówi mi teraz obecny poseł Platformy.

Po ostatnich wyborach, gdy szefem CBA został daleki od PiS były policjant Tomasz Strzelczyk, Chodzińskiego ponownie zwolniono ze służby. Oficjalnie przeszedł na wcześniejszą emeryturę. H.: – Został doradcą zarządu spółki córki KGHM, gdzie wcześniej miał przykrywkowy etat jako funkcjonariusz. – Zdążył jednak zgromadzić bogate archiwum i – jak sądzę – z tego powodu Karnowski, Tulicki i Adamczyk połączyli siły właśnie z tym panem – mówi mi tajemniczo G. – Chodziński to niebezpieczny człowiek. Karnowski mówi na mieście, że „muszkieterowie" połączyli siły z „Kurtką" ze względu na finansowanie nowego przedsięwzięcia, ale to się kompletnie nie klei. Owszem, Artur jeździ ładnym SUV-em, postawił dom pod Wrocławiem, lubi drogie zegarki i garnitury, ale jego największym zasobem i przepustką do ważnych towarzystw jest przede wszystkim wiedza – ta, którą wyniósł z CBA.

W „ważnym towarzystwie" Chodziński bawił się na przykład pod koniec października w Katowicach. Przy okazji kongresu programowego PiS nocną imprezę w jednym z apartamentowców zorganizowali tam pochodzący z Wrocławia przedsiębiorcy, w tym Radosław Tadajewski. Przyszli między innymi: szef kancelarii premiera Mateusza Morawieckiego Michał Dworczyk, były rzecznik jego rządu Piotr Müller i dawny wiceminister sprawiedliwości w rządzie PiS Sebastian Kaleta. A do tego Michał Karnowski, Michał Adamczyk i „Kurtka".

Dlaczego ta popijawa jest ważna? Bo za rządów Zjednoczonej Prawicy należące do Tadajewskiego spółki dostawały sute zlecenia na prowadzenie rządowych kampanii (między innymi StopRussiaNow), brały też idące w dziesiątki milionów dotacje z Narodowego Centrum Badań i Rozwoju. Jak pisze Harłukowicz, część tych pieniędzy wsparła potem kampanię reelekcyjną Andrzeja Dudy. W drugiej czterolatce rządów „dobrej zmiany" interesy Tadajewskiego – oraz jego kontakty z niesławnym „złotym chłopcem Antoniego Macierewicza" Bartłomiejem Misiewiczem, który za pieniądze załatwiał przedsiębiorcom wizyty w MON – stały się przedmiotem dochodzeń CBA o kryptonimach „Argon" i „Ksenon". Te dochodzenia współprowadził... Artur Chodziński.

– Kanał TAK! wyrasta z takiego właśnie towarzystwa – mówi mi dalej A. – Podwiązany pod środowisko pisowców biznes, pisowskie służby specjalne i tacy też dziennikarze, którzy zapowiadają, że nowy przekaz będzie „twardszy" niż produkcje Fratrii. Czyli należy się spodziewać czegoś w stylu Johna Binghama.

•

Czas włączyć serwis TAK!, by porównać twardość przekazu Jacka i Michała.

U tego pierwszego – czyli w TV wPolsce24 – leci z grubsza to samo, co kiedyś w TV PiS, a dziś w Republice, zatem tylko krótko: główny serwis informacyjny prowadzony przez Martę Kielczyk na przemian z Marcinem Wikłą nazywa się „Wiadomości" i podobnie jak tamte – „kurskie" – opatrzony jest „paskami grozy"; redaktorzy Janecki, Łosiewicz i Feusette wyśmiewają rządzącą koalicję wraz ze sprzyjającymi jej mediami w programie „Polityka na deser" będącym kopią „W tyle wizji" (próbka: „strona Tuska nazywa się obozem demokratycznym z tęsknoty za obozami"); dodatkową porcję satyry zapewnia coś na kształt serialu Roberta Górskiego „Ucho Prezesa" z odwróconym wektorem – akcja dzieje się w gabinecie premiera Tuska, a tytuł kabaretu w odcinkach brzmi „Rudy i brudy" (najgorszym „brudem" jest Giertych).

Poza tym cały dowcip polega na sprawdzonym już przez Kurskiego i Sakiewicza codziennym powtarzaniu tych samych archiwalnych wypowiedzi nielubianych polityków z coraz to nowym komentarzem: Tusk mówi: „to są biedni ludzie, którzy szukają swego miejsca na ziemi", a kamera pokazuje migrantów podpalających samochody; Tusk mówi: „PiS nigdy tego muru nie zbuduje", a na ekranie widzimy ciągnący się po horyzont płot na granicy z Białorusią; Tusk mówi: „te sto dni, sto konkretów doprowadzą do tego, że ludzie w Polsce będą mieli więcej w kieszeni i będzie taniej w polskich sklepach", a dziennikarz rozmawia z przechodniami skarżącymi się na drożyznę oraz pogorszenie warunków życia po roku 2023.

Wiadomości z zagranicy czy ze świata kultury praktycznie nie ma. Chyba że jakiś spektakl obraża katolików lub można odnotować sukces Donalda Trumpa. Maziarski: – Telewizja wPolsce24 i szerzej: działalność medialna Karnowskich to klasyczny przykład, jak z pisowskiego zakapiorstwa można zrobić cnotę.

Tymczasem na kanale TAK! ruch zaczął się już przed oficjalną premierą 2 listopada. Najpierw pojawiły się tak zwane shorty: • Zbigniew Ziobro mówił o „przestępczej szajce, która dziś rządzi Polską"; • Michał Adamczyk ujawnił, że „Tusk chce sprzedać w obce ręce nie tylko Polskie Koleje Linowe, ale i cały kraj"; • Marcin Tulicki założył się zaś z widzami, że Platforma „nie zbuduje ani Centralnego Portu Komunikacyjnego, ani atomu, bo nie pozwolą na to, sami wiecie kto". W kolejnym shorcie wszyscy „muszkieterowie" przybili sobie piątki z prezydentem Karolem Nawrockim, którego zaprosili na wywiad – a on zaproszenie przyjął.

W ostatnią niedzielę materiałem-debiutem nie była jednak rozmowa z głową państwa, lecz wspólny występ „muszkieterów", którzy ubrani w jednakowo skrojone bluzy z kapturami, siedząc za biurkiem z plakietą „Miejsce na twoją reklamę" żalili się: • na dyscyplinarkę Michała Karnowskiego („wyrzucony tak, jak koalicja 13 grudnia wyrzucała dziennikarzy TVP"); • na narastający w minionym roku mobbing we Fratrii; • wreszcie na to, że gdy rozstanie było już nieuchronne, nie pozwolono im nawet na dalszą życzliwą współpracę z firmą-matką. A przecież są tam „świetni dziennikarze", z którymi trójka T. A. i K. nadal „utrzymuje towarzyskie kontakty" i dobrze im życzy. „Muszkieterowie" zapowiedzieli, że będą przynajmniej dwa razy na dobę wrzucać do YouTube'a swe refleksje na temat najważniejszych wydarzeń. I zaserwowali pierwszy komentarz – na temat „Wyborczej". Dowiedziałem się z niego, że moja firma, która „kiedyś zabijała", obecnie „stoi w miejscu" a nawet upada, czego naocznym dowodem jest fakt, że Adam Michnik chodzi w znoszonej kurtce.

Wczesnym poniedziałkowym popołudniem, gdy oddaję ten tekst, Kanał TAK! ma sześć tysięcy subskrybentów. ●

REKLAMA

Kraj/34404240

ZNAMY LAUREATÓW KONKURSU NA NAJLEPSZY PRODUKT TURYSTYCZNY

Certyfikat POT 2025

Twierdza Srebrna Góra zdobyła Złoty Certyfikat Polskiej Organizacji Turystycznej 2025. To najważniejsza nagroda w polskiej branży turystycznej. POT uhonorowała łącznie 14 atrakcji na terenie całego kraju.

Konkurs na Najlepszy Produkt Turystyczny, realizowany przez POT we współpracy z regionalnymi organizacjami turystycznymi, ma na celu podnoszenie jakości i konkurencyjności polskiej oferty. Przyznane Certyfikaty są dowodem uznania dla miejsc i inicjatyw, które łączą tradycję, nowoczesność oraz pasję do odkrywania piękna i historii Polski, budując wizerunek kraju jako niezwykłego kierunku podróży.

Uroczysta gala rozstrzygnięcia 22. edycji konkursu odbyła się podczas Targów Tour Salon 2025 w Poznaniu. Uczestniczyli w niej: Jakub Rutnicki, Minister Sportu i Turystyki, Rafał Szmytke, prezes Polskiej Organizacji Turystycznej oraz Małgorzata Wilka-Grzywna, wiceprezes Polskiej Organizacji Turystycznej.

– To już dwudziesta druga edycja konkursu na Najlepszy Produkt Turystyczny – Certyfikat POT 2025. Przyznane nagrody i wyróżnienia niewątpliwie są bardzo ważne dla poszczególnych laureatów, jednak mają one także nieocenione znaczenie dla rozwoju

polskiej branży turystycznej – powiedział Rafał Szmytke, prezes Polskiej Organizacji Turystycznej.

Najlepsi z najlepszych

Niekwestionowanym zwycięzcą tegorocznej edycji została Twierdza Srebrna Góra, która znajduje się na Dolnym Śląsku, w powiecie ząbkowickim. Jest unikatowym obiektem w skali dziedzictwa kulturowego Europy i jedną z najważniejszych atrakcji Dolnego Śląska. Jej historia sięga XVIII wieku. Twierdza otrzymała Złoty Certyfikat 2025.

Tytuł Turystyczne Odkrycie 2025 trafił do Muzeum Fabryka Czekolady E. Wedel, a wyróżnienie w tej kategorii otrzymała Świętokrzyska Zagroda Kultury - Harmonia.

Certyfikaty Polskiej Organizacji Turystycznej dla Najlepszego Produktu Turystycznego w 2025 roku otrzymały: Opole Stolica Polskiej Piosenki, Skansen w Sierpcu Przygoda z Folklorem Mazowsza, Festiwal Fantastyki Pyrkon, Sztolnia Czarnego Pstrąga w Tarnowskich Górach, Muzeum Polskiej Wódki, Kompleks Hali Stulecia, Swołowo – Stolica Krainy w Kratę, Arche Nałęczów Dawne Sanatorium Milicyjne, Centrum Turystyki Aktywnej i Sportu Bieszczad.ski Wańkowa, Centrum Św. Jana w Gdańsku.

Wyróżnienia w konkursie otrzymały także: Aflopark – Ogrody Grażyny i Andrzeja Furmanów oraz Koronacja Królewska – Festiwal Kultury Słowiańskiej. Certyfikat internautów powędrował do Aflopark – Ogrody Grażyny i Andrzeja Furmanów.

– Liczba zgłoszeń oraz wspaniały poziom, jaki reprezentują wszystkie zgłaszane do Konkursu atrakcje turystyczne, są doskonałym dowodem na różnorodność i wysoką jakość polskiej oferty turystycznej. Certyfikaty POT trafiają w ręce inicjatyw, które stanowią wzorcowe przykłady atrakcji godnych uwagi i promocji na rynku krajowym oraz międzynarodowym – mówił prezes Szmytke.

Wyboru zwycięzców dokonała kapituła powołana przez prezesa Polskiej Organizacji Turystycznej, złożona z wybitnych specjalistów z dziedziny turystyki, marketingu, promocji, środowisk naukowych oraz mediów. Certyfikaty POT przyznawane są w kategoriach takich jak: wydarzenie cykliczne, pakiet usług turystycznych, obiekt, szlak czy miejsce/obszar.

1 RP

eprasa.pl 4631607220

ŚWIAT

GDZIE SIĘ NIE RUSZYSZ, TAM UKRAIŃCY

Putin wymyślił, skąd wziąć nowe surowce i gdzie pozbyć się niebezpiecznych weteranów. Wysłannicy Kijowa już tam czekają.

Mateusz Mazzini

Oficjalnego punktu widzenia słynna Grupa Wagnera już nie istnieje. Choć trudno podać precyzyjną datę jej śmierci, w przeciwieństwie do zgonu jej założyciela i szefa Jewgienija Prigożina – który 23 sierpnia 2023 r., niedługo po chwilowym buncie i marszu na Moskwę na czele swoich najemników, zginął w katastrofie samolotu. Wagnerowcy jako zwarta jednostka nie są już aktywni.

Formalnie tych, którzy służyli w Afryce, znacjonalizowało rosyjskie ministerstwo obrony. Powołało do życia nową formację nazwaną – żartobliwie, w nawiązaniu do hitlerowskiej afrykańskiej armii generała Rommla – Africa Corps.

Badacze rosyjskich działań zbrojnych poza granicami kraju, którzy opierają się na przeciekach oraz białym wywiadzie, np. śledzeniu kanałów na Telegramie i rosyjskich serwisów społecznościowych, szacują, że pomiędzy 70 a 80 proc. wszystkich najemników służących w Grupie Wagnera przeszło pod komendę nowych szefów – czyli w istocie pod dowództwo Kremla.

Problem z tą opowieścią jest jeden: to prawda tylko w części.

Działania Grupy Wagnera na innych kontynentach to jedna z najbardziej zmitologizowanych opowieści we współczesnej geopolityce. Co nie dziwi, bo materiał wyjściowy jest niesamowicie atrakcyjny.

Oto Prigożin, niepozorny petersburski gastronom, powoli, acz zdecydowanie przekształca się w potężnego oligarchę z miliardowym majątkiem, prywatną armią i dostępem do ucha przywódcy swojego kraju. Jest połowa drugiej dekady XXI wieku, Zachód nie boi się Putina tak jak dzisiaj, wręcz jeszcze go lekceważy, ale wagnerowcy już sieją popłoch.

Z jednej strony są wielką tajemnicą, z drugiej – symbolem rodzącego się na nowo rosyjskiego imperializmu, nostalgii za czasami zimnej wojny, kiedy opłakiwany przez Putina Związek Radziecki wysyłał broń i instruktorów wojskowych na wszystkie kontynenty. Typowa dla Zachodu, podszyta orientalizmem fascynacja wagnerowcami generuje kakofonię i tworzy obraz grupy, która była znacznie potężniejsza w ludzkiej wyobraźni niż w rzeczywistości.

•

W 2023 r. „The Wall Street Journal" publikuje mapę, z której wynika, że Grupa Wagnera jest aktywna w ponad 40 krajach w Afryce. Później Bloomberg z hukiem zapowiada premierę śledztwa dotyczącego szczegółów działalności wagnerowców w Republice Środkowoafrykańskiej, gdzie ludzie Prigożina zbudowali sobie solidny przyczółek. Materiał multimedialny pełen zdjęć satelitarnych i efektownych animacji budzi poruszenie w sieci – także dlatego, że zawiera popularny w zachodnim imaginarium na temat Rosji element groteski.

Otóż okazuje się, że Grupa Wagnera w Republice Środkowoafrykańskiej prowadzi browar i gorzelnię, na której zarabia krocie, bo zmonopolizowała sektor produkcji mocnych alkoholi w tym kraju. Mnożą się komentarze, że wagnerowcy, jak typowi Rosjanie, siedzą w Afryce i piją na umór wódkę, bo niczego innego nie potrafią. Na fakt, że w stolicy kraju, Bangui, powstał też Russia House, sponsorowane przez Kreml centrum kultury rosyjskiej, uwagi nie zwrócił prawie nikt.

Tymczasem tylko w 2024 r. tzw. Rossotrudniczestwo, czyli Federalna Agencja ds. Wspólnoty Niepodległych Państw, Rodaków Mieszkających za Granicą i Międzynarodowej Współpracy Humanitarnej, kremlowski odpowiednik rozwalonej niedawno przez administrację Trumpa USAID, zawarł porozumienia z Czadem, Gwineą Równikową, Gwineą, Nigerią, Sierra Leone i Somalią. Wszędzie tam powstaną lub już powstały kolejne placówki pod szyldem Russia House.

Na temat rosyjskiej obecności militarnej i najemniczej oraz działalności propagandowej w Afryce od lat krążą legendy. Jedne mocno wyolbrzymiają zdolności najpierw Wagnera, potem Africa Corps, inne redukują je do anegdot o pijaństwie i niekompetencji.

Tymczasem Rosja w krajach Sahelu zaczyna prowadzić bardzo zaawansowaną, wielopłaszczyznową grę przy użyciu coraz większych zasobów, nie tylko wojskowych. Buduje przyczółki, obserwuje zmieniającą się sytuację polityczną. A przede wszystkim znajduje źródła zarobku, bo Rosja Putina nie prowadzi innej polityki zagranicznej niż ekstraktywna, wręcz rabunkowa gospodarka, z przyzwyczajenia tylko nazywana dyplomacją.

Inna rzecz, że w Afryce przychodzi jej to łatwo, bo z tamtych okolic wycofali się – w oszałamiającym tempie – wszyscy pozostali ważni gracze.

Sahel, rozciągający się od Oceanu Atlantyckiego do Morza Czerwonego region stanowiący naturalną barierę pomiędzy Saharą a żyznymi terenami Afryki Subsaharyjskiej, jest dzisiaj beczką prochu. W czterech krajach leżących na tym obszarze: Burkina Faso, Mali, Nigrze i Czadzie rządzą wojskowe dyktatury. W Sudanie trwa brutalna wojna domowa, z powodu której 15 mln ludzi musiało opuścić swoje domy.

Ile ten dwuletni – a to tylko kolejna odsłona niekończącej się tragedii – konflikt przyniósł ofiar śmiertelnych, nie wiadomo, bo bez stałej obecności ONZ i międzynarodowych organizacji humanitarnych nie ma sposobu, żeby podać choćby szacunki.

Humanitarian Research Lab mówi o 150 tys., podobnie amerykańskie Council on Foreign Relations. ONZ podwyższa liczbę do 200 tys., inne podmioty wspominają nawet o 300 tys. Wszyscy biorą korektę, pisząc, że prawdziwa liczba zgonów od maja 2023 roku może być kilka razy wyższa.

W pasie Sahelu szaleje też terroryzm. Wg badania Global Terrorism Index (GTI) w państwach regionu pochłonął więcej ofiar niż w całej reszcie świata. I to właśnie tam znajduje się niekwestionowany lider chaosu – Burkina Faso, państwo rządzone przez wojskową dyktaturę, które w 2022 r. doświadczyło dwóch zamachów stanu w zaledwie 9 miesięcy. Na terenie tego kraju szaleją islamscy separatyści wręcz niewyobrażalnie brutalni. Porwania dla okupu, masowe gwałty, obcinanie kończyn – to typowe zbrodnie dokonywane przez dżihadystów w tej części świata. Są nimi często bardzo młodzi mężczyźni, wręcz chłopcy, od wczesnego dzieciństwa szprycowani silnymi substancjami odurzającymi.

Separatyści, bojówki i terroryści na napływ rekrutów narzekać nie mogą, bo mają z czego wybierać – dwie trzecie całej populacji Sahelu ma dzisiaj mniej niż 25 lat i desperacko poszukuje zajęcia, które zapełniłoby czymkolwiek żołądek.

Burkina Faso weszło na szczyt GTI w 2023 r. i już tam zostało, odbierając niechlubną palmę pierwszeństwa Irakowi i Afganistanowi, obszarom w zachodniej wyobraźni od dekad kojarzonym z powszechnym terroryzmem. To państwo symbol, w którym splatają się wszystkie ważne narracje o Sahelu: wewnętrzna niestabilność, upadek struktur państwowych, terroryzm, wycofywanie się sił europejskich i rosnąca, niekoniecznie militarnie, siła Rosji.

Z małym przypisem, że Rosja, choć coraz bardziej wpływowa w Afryce, działa tu jak pasożyt. To dość prozaiczny powód, dla którego wszystkie wielkie narracje o tęsknocie za zimnowojenną strefą wpływów i powrocie do podziału świata między Amerykanów i Sowietów można od razu wrzucić do kosza.

eprasa.pl 4631607220

• **Prezydent Putin podejmuje na Kremlu prezydenta Burkina Faso Ibrahima Traora, który przyleciał do Moskwy na obchody 80. rocznicy zwycięstwa w Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej (10.05.2025)**

FOT. SERGEY BOBYLEV / RIA NOVOSTI/ANADOLU VIA GETTY IMAGES

Chińczycy, też występujący w roli dobroczyńców – choć uzależniają od siebie Afrykanów i znakomicie zarabiają, przejmując cenne złoża oraz kredytując inwestycje, które budują ich firmy i ich chińscy pracownicy – przynajmniej coś po sobie zostawiają: sieci komórkowe, nowe drogi, lotniska, porty, montażownie, wyszkolonych przez chińskich specjalistów policjantów, urzędników, żołnierzy.

Tymczasem Moskwa nie wysyła najemników, instruktorów wojskowych czy dyplomatów, po to żeby zbudować sobie w Sahelu sieć sojuszników. Putinowi i Siergiejowi Ławrowowi, cynicznemu erudycie, który od czterech dekad reprezentuje Rosję w świecie, chodzi tylko o to, żeby odpowiednio szybko położyć łapę na wszystkim, co leży pod powierzchnią afrykańskiej gleby. A potem jak najszybciej sprzedać to Chińczykom.

•

Żeby jednak móc grzebać w ziemi we względnym spokoju, najpierw trzeba oczyścić sobie pole.

Dlatego najpierw Moskwa zaczęła wysyłać do Afryki wagnerowców, początkowo wyłącznie w roli instruktorów dla miejscowych sił zbrojnych, potem już jako regularne jednostki biorące udział w działaniach militarnych. Potem zaczęła się ofensywa logistyczna przeprowadzana na dwie nogi w ramach „soft power" i „hard power" jednocześnie.

– Rosjanie próbują zbudować w Afryce system baz wojskowych po to, żeby stworzyć iluzję siły w regionie, a nie tylko w pojedynczym państwie. Te bazy nie muszą być wielkie ani specjalnie dobrze przygotowane, chodzi o to, żeby było ich wiele w różnych miejscach. Dzięki temu tworzy się wrażenie, że Rosja jest godnym rywalem USA, bo nikt inny baz wojskowych w Sahelu nie buduje.

Sahel to grząski grunt i czasami trzeba się tam sprzymierzyć z nieprzyjemnymi sojusznikami. Tuaregom, prawdopodobnie przy wsparciu ukraińskich operatorów dronów, zdarza się stawać ramię w ramię z bojownikami grupy Jama'at Nasr al-Islam wal-Muslimin

Sahel w Afryce

Region ten stanowi naturalną barierę pomiędzy Saharą a żyznymi terenami Afryki Subsaharyjskiej.

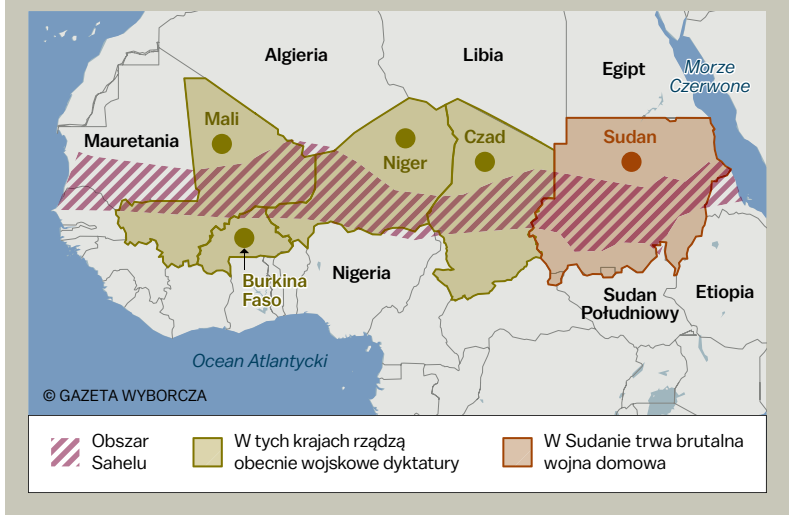

Chińczycy ich za granicą w ogóle nie mają – tłumaczy mi Raphael Parens, analityk z think tanku Foreign Policy Research Institute, który na co dzień mieszka w Brazzaville, stolicy Konga.

I wylicza rosyjskie placówki: Port Sudan w Sudanie, Niamey w Nigrze, Loubmila w Burkina Faso, Gao w Mali plus w przygotowaniu baza w Maaten al-Sarra w Libii.

Parens dodaje, że nie chodzi już tylko o rywalizację z Amerykanami, których taktyka wobec Sahelu stała się w ostatnich miesiącach, delikatnie mówiąc, ambiwalentna. Z jednej strony ludzie Donalda Trumpa próbują rozwiązać konflikty i podpisać umowy pokojowe, a z drugiej – wycofują się z projektów rozwojowych, pomocowych i prodemokratycznych, pogarszając warunki życia i zwiększając prawdopodobieństwo kolejnych wojen.

Ustawiać pionki na afrykańskiej szachownicy chce teraz masa innych graczy, zwłaszcza tych średniego rozmiaru: Turcja, aktywnie zaangażowana w konflikt w Libii, Arabia Saudyjska i Zjednoczone Emiraty Arabskie mające interesy w wojnie w Sudanie, Katar, nazywany coraz częściej w kręgach dyplomatycznych „nową Norwegią" z racji wysiłków na rzecz budowania procesów pokojowych w różnych częściach świata.

Ze wszystkimi tymi krajami Putin ma mniej lub bardziej poprawne stosunki, choć Turcja, jeśli może, nie waha się Rosjanom sprzedać kuksańca. Dlatego Sahel jest dzisiaj areną rywalizacji nie bi-, ale multilateralnej, wszystkich ze wszystkimi.

– Moskwa chce podporządkować sobie kraje środka Afryki także po to, żeby zwiększyć liczbę państw, które na forum ONZ będą wspierać jej agendę – kończy Parens, malując obraz kraju, który próbuje oszukać dosłownie wszystkich. I świat, mówiąc mu w siedzibie Narodów Zjednoczonych, że to Moskwa jest prawdziwą stolicą de-

eprasa.pl 4631607220

mokracji, i swoich afrykańskich partnerów, mydląc im oczy, że w oferowanych im „gwarancjach bezpieczeństwa" chodzi o coś więcej niż tylko o wydobycie zasobów naturalnych.

•

Byłaby to układanka w gruncie rzeczy bardzo przewidywalna, gdyby nie to, że niedawno w Sahelu pojawił się nowy, całkiem nieoczywisty gracz: Ukraina.

Na pierwszy rzut oka wydaje się to absurdalne – co poharatane przez rosyjską agresję państwo miałoby osiągnąć na odległym kontynencie, który w kwestii wojny siedzi okrakiem na barykadzie, a też niespecjalnie jest w stanie komukolwiek pomóc w działaniach militarnych. Okazuje się jednak, że Ukraińcy po raz kolejny dowodzą, że inwazja zmusiła ich do myślenia kilka kroków do przodu.

Z tą częścią opowieści problem jest jeden: o tym, co Ukraińcy naprawdę robią w Afryce, moi rozmówcy niespecjalnie chcą rozmawiać pod nazwiskiem. Jeden z nich, analityk w prestiżowym brytyjskim think-tanku, regularnie publikujący na tematy związane z Sahelem, prosi o anonimowość, ale w zamian oferuje konkrety. Tłumaczy mi, że ukraińska obecność jest wielowątkowa, nie zawsze związana z oficjalnymi działaniami państwa.

Ukraińska armia jest w tej chwili – nie licząc Rosjan, którzy też się uczą, ale coraz bardziej polegają na najemnikach i mięsie armatnim wypożyczanym np. z Korei Północnej – najbardziej doświadczoną w boju na świecie. Tamtejsi żołnierze zyskali ogromny prestiż za granicą nie tylko dlatego, że od ponad trzech lat twardo bronią ojczyzny przed silniejszym, świetnie uzbrojonym i dysponującym dużymi zasobami najeźdźcą.

Są cenieni, bo – jak zauważa Vera Bergengruen z magazynu „Time" – walczą w „pierwszej wojnie sztucznej inteligencji". Liczba i różnorodność innowacji technologicznych wprowadzonych z sukcesem w życie w ostatnich trzech latach są bezprecedensowe. To w połączeniu z ostrzelaniem na prawdziwym froncie sprawia, że Ukraińcy mają cechy najbardziej pożądane u żołnierza: wiedzą, co działa, a co nie, co daje przewagę na polu tradycyjnej, ciężkiej bitwy, w walce miejskiej i w rozproszonych, na poły partyzanckich działaniach; umieją sobie radzić w różnych warunkach terenowych i atmosferycznych; nie trzymają się sztywno tej czy innej doktryny; potrafią improwizować i działać pod presją nawet wtedy, gdy klasyczna taktyka i wiedza wyniesiona z ćwiczeń, manewrów czy szkół wojskowych nie przystaje do nowych realiów.

Nic dziwnego, że i do Kijowa, i indywidualnie do weteranów zaczynają spływać komercyjne oferty ze wszystkich zakątków świata. Od miesięcy coraz głośniej mówi się o obecności ukraińskich najemników w Rwandzie znajdującej się w konflikcie z Demokratyczną Republiką Konga. Na pewno byli tam Rumuni, ale kilka poważnych tytułów, m. in. „The Wall Street Journal", informowało o rekrutowaniu Ukraińców.

Postępująca prywatyzacja to zresztą kolejna cecha dzisiejszych konfliktów międzypaństwowych. Jeszcze niedawno udział w wojnach był raczej domeną państw narodowych, ewentualnie sił międzynarodowych złożonych z żołnierzy narodowych armii. Owszem, w wojnach domowych w Afryce czy na Bliskim Wschodzie mnożyły się różne bojówki i partyzantki, ale one też mieniły się „armiami", występując jako zbrojna – lub jedyna – emanacja bytów parapaństwowych: separatystycznych regionów, grup etnicznych czy religijnych.

Dzisiaj w regularnych wojnach coraz częściej walczą kontraktowi najemnicy, którzy często nie są nawet włączani do regularnych struktur militarnych i nie zawsze podlegają oficjalnej strukturze dowodzenia.

I tak w Ukrainie po stronie Kijowa walczą coraz liczniejsi Kolumbijczycy chcący dowiedzieć się jak najwięcej o wykorzystaniu dronów na polu walki – żeby te umiejętności przeszczepić do karteli i wykorzystać choćby w przemycie narkotyków wzdłuż granicy amerykańsko-meksykańskiej. Po stronie Moskwy zaś, oprócz regularnych wojsk Korei Północnej, spotkać można dzisiaj najemników z Kuby, Filipin, Nepalu, Pakistanu, a nawet z Chin.

W Rwandzie walczyli Rumuni, zapewne Ukraińcy, ale sporo do powiedzenia mieli Amerykanie – specjalnym wysłannikiem Białego Domu Trump mianował Erica Prince'a, który, tak się składa, jest założycielem grupy najemniczej Blackwater – wcześniej angażowanej, by ograniczyć straty regularnych „naszych chłopców", przez Pentagon w Iraku. Tak dziś wygląda wojna i ważne, żeby ta obserwacja przebiła się też do świadomości Europejczyków.

•

– Ukraińcy na pewno byli w Sudanie, ale raczej na początku konfliktu. W 2023 r., może trochę też w 2024. W większości najemnicy, choć dla wielu motywacją nie były pieniądze, tylko chęć pogonienia Rosjan, którzy też tam walczyli, głównie pod flagą Africa Corps. Dzisiaj już ich tam raczej nie ma – mówi mi proszący o anonimowość analityk.

Ale dodaje zaraz, że Ukraińcy przenieśli się do Mali, gdzie walczą w szeregach separatystycznych bojówek Tuaregów. Żaden z moich rozmówców nie był w stanie ze stuprocentową pewnością powiedzieć, czy to indywidualni ochotnicy, czy wojskowi wysłani mniej lub bardziej formalnie przez Kijów – choć jedno nie musi wykluczać drugiego. Ważne, że po drugiej stronie barykady znowu są Rosjanie.

Prawie nikt nie zwraca uwagi na fakt, że w kolejnych afrykańskich stolicach powstają Russia House, sponsorowane przez Kreml centra kultury rosyjskiej

Siły zbrojne Mali od lat próbują zwalczyć separatyzm Tuaregów, a pomaga im w tym Africa Corps, pogrobowiec wagnerowców. Teoretycznie, jak tłumaczą Filip Bryjka i Jędrzej Czerep z Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych, separatyści na mocy Porozumienia Algierskiego z 2015 r. powinni mieć zagwarantowaną częściową autonomię i udział w państwowej administracji, ale praktyka mocno mija się z teorią, zwłaszcza od kiedy wyproszono stamtąd siły ONZ i francuską misję stabilizacyjną. Walki w północnym Mali między wojskiem wspomaganym Rosjanami a Tuaregami wybuchają coraz częściej – a Ukraińcy chętnie oferują tym drugim wsparcie.

Jest też jednak inny aspekt ich obecności w Afryce, o którym opowiada mi wysoki rangą członek ukraińskiego wywiadu wojskowego. – Prezydent Zełenski bardzo chciałby, żeby Ukraina była obecna, widoczna i zaangażowana w Afryce w stopniu znacznie większym niż teraz. Problem w tym, że nie mamy zasobów.

– Militarnych? Nic dziwnego, w końcu walczycie w wojnie o przyszłość waszego kraju.

– Nie, dyplomatycznych – poprawia mnie. – Widzisz, Rosjanie wysyłają do Afryki najlepszych ludzi. Naprawdę ogarniętych, zdolnych. Ich ambasady w krajach afrykańskich świetnie funkcjonują, a u nas nie ma takiego personelu. Trzeba chodzić, szukać po poszczególnych częściach administracji, a i tak niewiele z tego potem wychodzi.

Powody takich życzeń Zełenskiego – tłumaczy mój rozmówca – są dwa. Po pierwsze, chodzi o wzmocnienie ukraińskiej soft power, zrobienie tego samego, co od lat robią Rosjanie. Więcej zwolenników na forum ONZ i nagłośnienie ukraińskiej narracji o wojnie w innych częściach świata. Znacznie ważniejszy jest jednak inny powód, który jednoznacznie dowodzi, że Ukraina pod względem strategicznym zaczyna grać w innej lidze niż większość państw europejskich.

– Ta wojna kiedyś się skończy, relatywnie niedługo – mówi oficer wywiadu. – W tym roku jeszcze nie, ale w 2026 już tak. Setki tysięcy Rosjan wrócą do domu i Putin będzie musiał natychmiast jakoś ich zagospodarować. Nie może pozwolić, żeby ci zdemoralizowani ludzie, którzy gwałcili i robili demolkę w Ukrainie, panoszyli mu się po kraju. A jednocześnie będzie za wcześnie, żeby uderzył w NATO. Więc zacznie ich wysyłać w inne części świata, na przykład do Afryki. Dlatego Ukraina buduje tu swoją obecność – chcemy przekazać wiedzę i doświadczenie tym, którzy Putina tu nie chcą.

– Skąd przekonanie, że pojawią się akurat tutaj?

– Bo wojna jest dzisiaj dla Rosji sposobem na zarabianie, a tutaj można zarobić relatywnie łatwo. Złoto, srebro, diamenty, ropa – wszystko czeka, żeby zacząć to eksportować. Przecież po to Rosjanom była baza w Port Sudan nad Morzem Czerwonym. Spójrz na mapę, Sahel to wąski, ale długi pasek rozciągający się od Atlantyku aż po wschodnie wybrzeże kontynentu. Jeśli przejmiesz nad nim kontrolę, możesz ładować rzeczy na statki w Port Sudan i wysyłać je dalej. Czyli do Chin.

Ukraińskie władze wiedzą, że rosyjska gospodarka ledwo zipie mimo napędzania wzrostu i produkcji zamówieniami dla armii. Moskwa nie chwieje się na nogach wyłącznie dzięki chińskiej kroplówce, która dawno zamieniła się w uzależniającą pępowinę. Jednocześnie odpływ siły roboczej, emigracja utalentowanej klasy średniej i ustawienie gospodarki w jednym kierunku spowodowało, że jej pozostałe gałęzie leżą. Nawet gdyby wojna w Ukrainie nagle się skończyła, Rosjanie szybko nie wróciliby do produkowania samochodów, suszarek czy mebli. Żeby utrzymać się na nogach, muszą dalej plądrować. Najwygodniej byłoby im w Donbasie, bo jest relatywnie blisko i mają tam już wojska. Dlatego Putin w rozmowach z Trumpem nalega, by właśnie ten region przekazać mu w całości, i to natychmiast.

Tyle tylko, że Zełenski Donbasu nie odda. A nawet jak odda na papierze, to w Ukrainie jest wystarczająco dużo nacjonalistów, żeby życie – czyli eksploatację zasobów naturalnych przez Rosjan – zamienić tam w piekło na ziemi. Putin to wie, więc metali ziem rzadkich i surowców szuka gdzieś indziej.

Padło na Sahel, gdzie od jakiegoś czasu Rosjanom idzie całkiem dobrze. Ukraińcy próbują ich jednak odciąć także od tego źródła, stąd ich misje wywiadowcze, walka w szeregach Tuaregów i masa innych operacji, które dla postronnych obserwatorów nie mają najmniejszego sensu poza czystym awanturnictwem czy tragikomicznymi ambicjami.

Sahel sam w sobie jest beczką prochu. A teraz staje się frontem zastępczym w wojnie Rosji z Ukrainą. Czy raczej w tym wypadku – Ukrainy z Rosją.

Dla Ukraińców to bardzo wygodna pozycja. U siebie walczą głównie w defensywie, trudno im zadać bolesny cios Rosjanom bez ryzyka eskalacji, a więc większych zniszczeń we własnym kraju i zaniepokojenia Ameryki. Dlatego próbują kąsać rosyjskie oddziały w innych częściach świata albo wręcz rosyjskich partnerów, jak w Sahelu – bo za coś takiego Rosjanie nie będą eskalować. W dodatku brak jakiejkolwiek oficjalnej misji, umundurowanych żołnierzy oznacza brak dowodów. Kijów może się wszystkiego wyprzeć, jeśli zajdzie potrzeba.

A zajść może, bo Sahel to grząski grunt i czasami trzeba się tam sprzymierzyć z nieprzyjemnymi sojusznikami. Jak choćby w północnym Mali, gdzie Tuaregom, najprawdopodobniej przy wsparciu ukraińskich operatorów dronów, zdarza się stawać ramię w ramię z bojownikami grupy Jama'at Nasr al-Islam wal-Muslimin, w skrócie JNIM. Czyli islamistycznej organizacji terrorystycznej identyfikującej się jako zachodnioafrykańskie skrzydło Al-Kaidy, z oddziałami w Burkina Faso i Nigrze.

Teoretycznie więc mogłoby się okazać, że Ukraina w Afryce wspiera islamskich terrorystów, co byłoby olbrzymią skazą na wizerunku tego kraju. Dlatego lepiej nie przyznawać się, że robi się tam cokolwiek poza dyplomatycznym lobbingiem na rzecz lepszych wyników głosowania w ONZ.

•

W tej układance najdziwniejsza staje się rola mocarstwa, które przez dekady miało jasno określone cele w Afryce. Nie do końca wiadomo, co w Sahelu chcieliby osiągnąć Amerykanie. I szybko okazuje się, że to nie jest łatwy temat do rozpracowania, bo prawie wszyscy potencjalni rozmówcy nabierają wody w usta.

Czwórka byłych dyplomatów z Departamentu Stanu, w tym jeden były ambasador USA w dużym kraju afrykańskim, eufemistycznie odpowiada, że amerykańska dyplomacja jest teraz prowadzona zbyt chaotycznie, żeby doszukiwać się w niej głębszej strategii.

Analitycy z Waszyngtonu w ogóle odmawiają wypowiedzi, choć wcześniej rozmawialiśmy wielokrotnie, także o bieżącej administracji Trumpa. Wreszcie udaje mi się namówić jednego eksperta, także pod warunkiem anonimowości.

– Moim zdaniem dla obecnych władz Afryka nie jest specjalnie ważna. Widać to nawet niekoniecznie po działaniach czy ich braku Białego Domu i Departamentu Stanu – znacznie więcej powie ci to, co dzieje się w resortach i instytucjach siłowych: w Pentagonie, Homeland Security i NSC, Narodowej Radzie do spraw Bezpieczeństwa – słyszę. – Na potęgę tnie się tam etaty w komórkach zajmujących się terroryzmem międzynarodowym i jego zwalczaniem. Walka z takimi grupami jak Al-Kaida przestała być priorytetem. Jedyne, na czym potencjalnie zależy Trumpowi, to wyciśnięcie z Sahelu maksymalnie dużo korzyści materialnych, dając w zamian absolutne minimum. Jakieś śladowe gwarancje bezpieczeństwa, wsparcie dla dyktatur wojskowych, może malutkie inwestycje. Nic więcej. Demontaż całego USAID wpisuje się w ten plan.

W tym wszystkim łatwo zgubić z pola widzenia fakt, że mowa o regionie zamieszkanym przez 340 milionów ludzi. Jeżeli będą musieli nieustannie uciekać przed wojną, terroryzmem, zmianami klimatycznymi, głodem – prędzej czy później skierują się do Europy, wywołując kryzys znacznie większy od tego z 2015 roku.

Lecz Rosja, Stany Zjednoczone i pośrednio Chiny nie zamierzają przejmować się tym, że zwiększą presję migracyjną na nieobecną już prawie w ogóle w Afryce Unię Europejską.

140 lat po konferencji berlińskiej, na której ówczesne europejskie mocarstwa dokonały podziału Afryki, następuje kolejna kolonizacja tego kontynentu – tylko że Europa na pewno nie będzie jej beneficjentem. Za to może stać się ofiarą. ●

1 RP

eprasa.pl 4631607220

Robert Stefanicki

UKŁAD XI

Przebiegunowanie to proces, w którym bieguny magnetyczne Ziemi odwracają się miejscami – północny staje się południowym i odwrotnie, podczas gdy bieguny geograficzne pozostają bez zmian. To naturalne zjawisko zdarza się średnio co kilkaset tysięcy lat.

Przebiegunowanie geopolityczne wydarza się częściej, lecz pozostaje fenomenem rzadkim i bywa, że z perspektywy czasu okazuje się iluzoryczne. Weźmy koniec zimnej wojny i nadzieje na wciągnięcie Rosji do grona państw cywilizowanych. Albo manewr Nixona-Kissingera ze zbliżeniem do Chin, żeby przestraszyć Moskwę, który był ciekawym wydarzeniem z dziedziny antropologii imperiów i psychologii ich narcystycznych przywódców, ale nie przyniósł istotnej zmiany w układzie sił.

Teraz publicyści usiłujący tłumaczyć sobie i innym słabość Trumpa do Putina wykoncypowali, że może chce on dokonać manewru odwrotnego – zawrzeć sojusz z Rosją, żeby osłabić Chiny. To jednak pomysł z gatunku fikcji politycznej, bo inaczej niż w latach 70.przyjaźń chińsko-rosyjska kwitnie.

Przebiegunowanie ma dziś inną postać: USA wchodzą w buty agresywnej, nacjonalistycznej i niegodnej zaufania autokracji, podczas gdy Chiny, choć wewnętrznie to bezwzględna dyktatura, rozszerzają wpływy przy użyciu miękkiej siły, pieniędzy i PR-u, a nie gróźb i szantażu. Tak to wygląda w oczach wielu mieszkańców globalnego Południa.

Hegemon czy papierowy tygrys?

Dominują dwie narracje na temat rywalizacji obu największych mocarstw.

Pierwsza, że sukces Chin zagraża prymatowi liberalnej demokracji będącej chyba najważniejszym wyznacznikiem przynależności do świata zachodniego. Chiny zbroją się, chcąc zastąpić USA w roli światowego hegemona, należy więc dać im odpór poprzez strategię powstrzymywania. Była ona skuteczna podczas zimnej wojny i polegała na wiązaniu sojuszników paktami wojskowymi, intensyfikacji zbrojeń, stosowaniu sankcji i innych utrudnień wobec członków bloku przeciwnego, a także wspieraniu sił antykomunistycznych w krajach wahadłowych i satelickich.

Druga narracja, że Chiny to papierowy tygrys. W rywalizacji mocarstw demokracje są skazane na sukces, bo autokracje mają systemowe wady. „Agresywni dyktatorzy mają trudności z budowaniem głębokich i opartych na zaufaniu sojuszy, zamiast tego prowokują inne narody do tworzenia silnych koalicji równoważących ich działania. Dyktatorzy bardziej boją się własnego narodu niż wrogów zagranicznych i poświęcają więcej uwagi represjom wewnętrznym niż zwycięstwu w konfliktach międzynarodowych", przekonują analitycy.

A teraz w miejsce „dyktatorzy" podstawmy „Donald Trump" i przeczytajmy jeszcze raz.

Lecz fałszywie brzmi także ta pierwsza, alarmistyczna narracja, która kształtowała politykę USA wobec Chin w ostatnich kilkunastu latach: że celem Pekinu jest zastąpienie Ameryki w roli światowego lidera.

Na uzasadnienie tej tezy przywoływane są wypowiedzi Xi Jinpinga, np. ta wygłoszona na wrześniowej paradzie z okazji zwycięstwa nad Japonią w II wojnie światowej. Chiny – powiedział Xi – są „nie do zatrzymania". To wielki naród, który „nigdy nie daje się zastraszyć żadnym tyranom". U jego stóp maszerujący pod linijkę żołnierze, nowoczesne wyrzutnie i myśliwce zdolne przenosić rakiety balistyczne z głowicami nuklearnymi. U jego boku – Władimir Putin i Kim Dżong Un. Jak się nie bać?

Słowa Xi odczytywane przez komentatorów jako obnażenie hegemonistycznej natury reżimu w Pekinie są tylko opisem rzeczywistości i wyrazem pewności siebie chińskiego przywódcy. Powtarza on np. frazę: „Wschód rośnie, a Zachód upada" – to nie zapowiedź globalnej ekspansji, ale przekonanie, że potęga Chin jest na fali wznoszącej, podczas gdy Ameryka i Europa słabną. W przeciwieństwie do Trumpa Xi starannie unika agresywnego tonu, lubi za to krytykować Waszyngton za „myślenie z czasów zimnej wojny, w kategoriach konfrontacji bloków i zastraszania". Po czym dodaje, że „Chiny nie mają zamiaru zmieniać Stanów Zjednoczonych ani ich zastępować".

Wolno w to nie wierzyć, choć w nieodległej historii jest wiele przykładów na to, że warto było słuchać tego, co mówią dyktatorzy, bo często nie kryją się oni ze swoimi zamiarami.

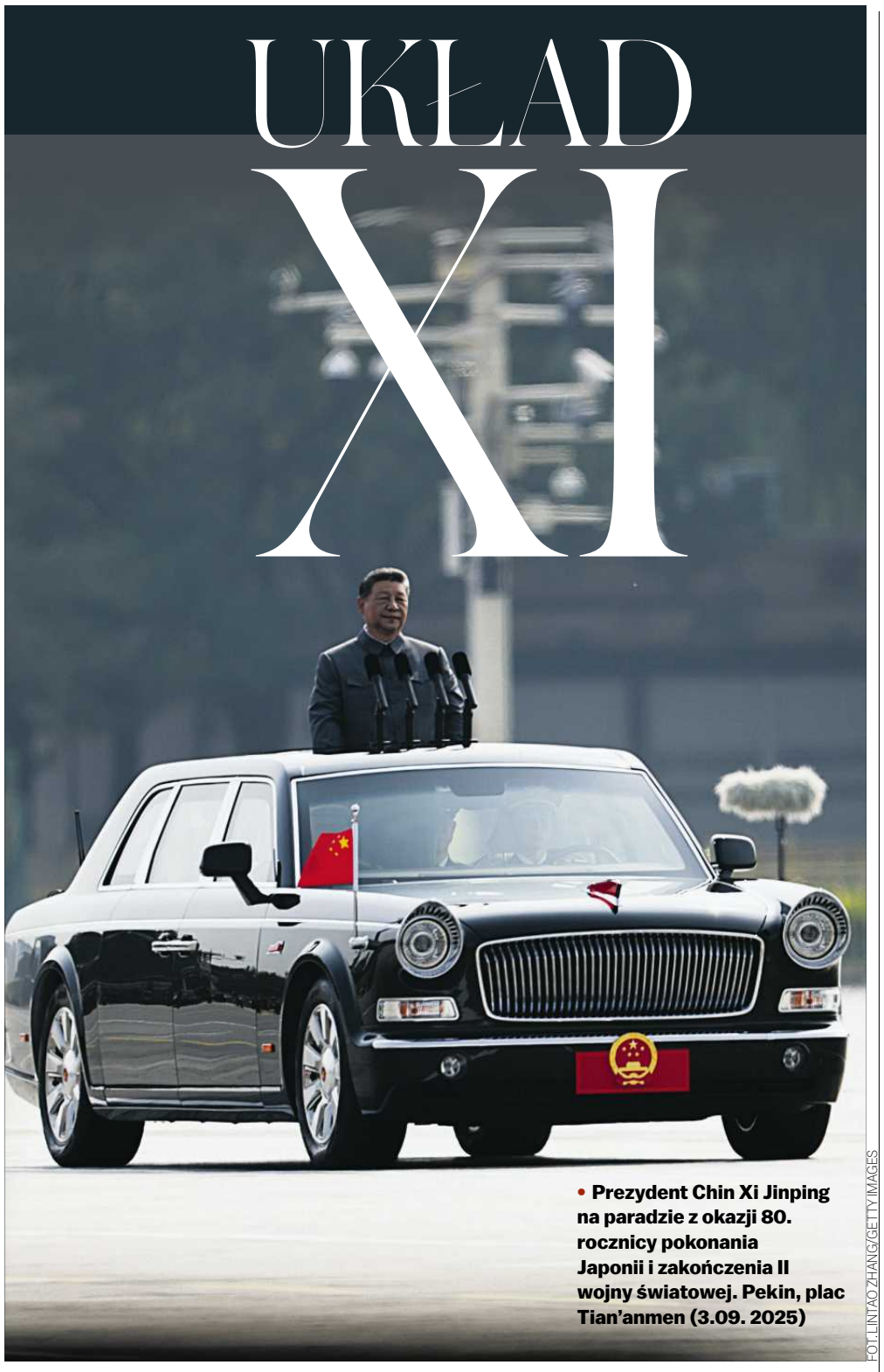

• Prezydent Chin Xi Jinping na paradzie z okazji 80. rocznicy pokonania Japonii i zakończenia II wojny światowej. Pekin, plac Tian'anmen (3.09. 2025)

FOT. LINTAO ZHANG/GETTY IMAGES

Wpływy Chin rosną nie dlatego, że ich system okazał się lepszy od liberalnej demokracji. One tylko konsekwentnie wykorzystują błędy popełniane przez Stany Zjednoczone.

Xi czeka na dogodny moment

„Dokładna analiza chińskich deklaracji i pragnień pokazuje, że Chiny są mocarstwem status quo o ograniczonych celach globalnych, a nie państwem rewizjonistycznym, dążącym do drastycznego rozszerzenia swojej potęgi i przekształcenia porządku światowego", piszą w „Foreign Affairs" David Kang, Jackie Wong i Zenobia Chan, politolodzy zatrudnieni na amerykańskich uczelniach.

Ich zdaniem chińscy przywódcy bardziej koncentrują się na stabilności swojego reżimu, a polityka zagraniczna Chin jest odpowiedzią na problemy wewnętrzne. Jak Inicjatywa Pasa i Szlaku (BRI) uruchomiona, aby przekierować za granicę nadwyżkę mocy produkcyjnych w branżach związanych z infrastrukturą. Celem Pekinu – przekonują Kang, Wong i Chan – nie jest szerzenie chińskich wartości ani zachęcanie innych krajów do przyjęcia chińskich systemów politycznych i gospodarczych. Pekin wykorzystuje nacisk ekonomiczny, aby zdobyć poparcie dla konkretnych roszczeń, zwłaszcza wobec terytoriów uznawanych za chińskie: Hongkongu, Tybetu, Sinciangu oraz Tajwanu. Pierwsze trzy już zostały siłą „włączone do macierzy", z czwartym sprawa jest trudniejsza, Xi czeka na dogodny moment. Jednak ambicje Chin rzadko sięgają dalej.

Dla odmiany retoryka urzędników amerykańskich jest pełna odniesień do niezastąpionej roli Stanów Zjednoczonych w roli globalnego hegemona. Trump deklarował się jako izolacjonista, ale szalenie pociąga go dyktowanie warunków reszcie świata, co pokazuje polityka karnych ceł i gróźb nawet wobec wiernych sojuszników USA. W tym świetle trzeba patrzeć na budowanie przez Pekin sojuszy i stref wpływów. Mają one dwie nakładające się warstwy – militarną i ekonomiczną. Zachód bardziej przejmuje się tą pierwszą, dla Chin ważniejsza jest druga. Do wyobraźni przemówiło wspólne zdjęcie Xi, Putina i Kima, którzy we wrześniu po raz pierwszy spotkali się we trójkę niczym liderzy nowej „osi zła" (do tej oryginalnej prezydent George W. Bush w 2002 roku niezbyt fortunnie zaliczył Irak, Iran i Koreę Północną).

Dr Seong-Hyon Lee, ekspert do spraw relacji amerykańsko-chińskich w Fundacji George'a H.W. Busha, przypomniał w analizie dla australijskiego Lowy Institute, że 75 lat temu ten sam układ sił przekształcił się w koalicję wojskową, która wywołała wojnę w Korei. „Obraz z Pekinu nie powinien zatem być postrzegany jako zwykła fotografia, lecz jako trzeźwe przypomnienie, że funkcjonalny sojusz nie wymaga formalnej nazwy, aby był realny, spójny i głęboko niebezpieczny".

To nie nowy Układ Warszawski

Pekin unika formalizacji sojuszy militarnych, by nie usłyszeć zarzutów, że chce siłą wpływać na sytuację poza swoimi granicami, i żeby nie dać się wciągać w cudze konflikty. Dlaczego wspiera Rosję? Xi po prostu uznał, że to korzystniejsze niż stanięcie po stronie USA. Wojna w Ukrainie wiąże uwagę i siły Zachodu, dając Chinom większą swobodę w rejonach, którymi są bardziej zainteresowane. Poza tym Chińczycy mogą słabnącej Rosji dyktować warunki, kupować tanio jej surowce. W zamian Xi nie udziela Putinowi bezpośredniego wsparcia militarnego, lecz głównie wizerunkowe.

Miejsce u boku chińskiego przywódcy jest dla Putina antidotum na próby jego izolacji przez Zachód.

Również dla Kima wizyta w Pekinie oznaczała przemianę z odizolowanego wyrzutka do cenionego partnera niższego szczebla. Xi, zapraszając obu dyktatorów, uciął spekulacje, że ich sojusz wojskowy jest mu nie na rękę. Ale trudno sobie wyobrazić, że niesprowokowany urządzi na spółkę z nimi jakąś drugą wojnę koreańską czy to w Korei, czy gdziekolwiek indziej. Ten sojusz może być potencjalnie groźny z innego powodu: uważa się, że w zamian za wsparcie w sprawie Ukrainy Rosja dzieli się z Chinami i Koreą Północną swoimi najcenniejszymi technologiami wojskowymi, jak systemy napędu okrętów podwodnych i obrony przeciwrakietowej.

Chińska armia jest widoczna na manewrach z Rosją i Białorusią, z Serbią, z RPA. Ćwiczyła też z żołnierzami z Mongolii, Kambodży, Laosu, Wietnamu, Malezji i Tajlandii. Nie jest to zalążek nowego Układu Warszawskiego, ale demonstracja chińskich wpływów, solidarności z Putinem oraz sposób na budowę zaufania z krajami Azji, które mają z Chinami (i ze sobą) otwarte spory terytorialne. Pekin nie oczekuje wsparcia wojskowego od tych państw w razie konfliktu, chińskich żołnierzy nie zobaczymy też na odległym froncie, chyba że w ramach sił międzynarodowych, bo byłoby to sprzeczne z narracją Pekinu o jego pokojowej naturze.

Chińska armia przechodzi szybką modernizację nie po to, by stała się globalną siłą ekspedycyjną, lecz aby rządzić w bliskim sąsiedztwie. To zła wiadomość głównie dla Tajwanu. Analiza opublikowana tego lata w „International Security" dowodzi, że równowaga militarna między USA a Chinami zmieniła się tak wyraźnie na korzyść Pekinu, że coraz trudniej sobie wyobrazić, w jaki sposób Waszyngton mógłby bronić niezależności tej wyspy.

Pytanie, czy w ogóle będzie chciał. W pierwszej kadencji Trumpa USA wprowadziły sankcje na chińskie firmy technologiczne i zakazały inwestycji w firmy powiązane z chińskim wojskiem, ale w drugiej kadencji jastrzębie są na bocznym torze. Trump, jak to on, pohukuje na Chiny, ale widać, że obawia się zrobienia czegokolwiek, co mogłoby zagrozić zawarciu umowy handlowej z Pekinem. Tej jesieni Chiny

eprasa.pl 4631607220

przypomniały, że mają asa w rękawie – wprowadziły drastyczne restrykcje w eksporcie metali ziem rzadkich, na które mają niemal monopol. Trump zagroził cłami odwetowymi, ale szybko dogadał się z Xi Jinpingiem.

Przystał też na korzystną dla chińskiego właściciela sprzedaż TikToka bez algorytmu – aplikacja przejdzie w ręce biznesmenów wspierających Trumpa, którzy pewnie uczynią z niej to, co z Twitterem zrobił Elon Musk, czyli narzędzie prawicowej propagandy. Rząd USA podobno opracowuje nową strategię obronną, w której priorytetem będzie już nie Azja, lecz Ameryka Łacińska. Groźby wobec Wenezueli sugerują, że USA wracają do doktryny Monroego. Pasuje to do kreślonej przez niektórych publicystów tezy, że Trumpowi miła jest wizja ponownego podziału świata na wyłączne strefy wpływów wielkich mocarstw.

Trump odpuszcza Azję

Najbardziej uderzającym przykładem lekceważenia Azji przez Trumpa jest zerwanie z Indiami. Premier Narendra Modi miał wcześniej dobre relacje z Trumpem i spodziewano się, że Indie będą jednym z pierwszych krajów, które osiągną z nim porozumienie handlowe. Nadzieje zniweczył atak terrorystyczny w Kaszmirze, o który Indie obwiniły Pakistan. Sąsiedzi przez kilka dni wymieniali ogień, po czym obaj ogłosili sukces i zawiesili broń. Według doniesień „New York Timesa" 17 czerwca Trump zadzwonił do Modiego i powiedział mu, jak bardzo jest dumny z tego, że doprowadził do zakończenia konfliktu i że Pakistan nominuje go za to do Pokojowej Nagrody Nobla, a Indie mogłyby zrobić to samo. Poirytowany Modi odparł, że Amerykanie nie mieli wpływu na zawieszenie broni.

Wkrótce Trump obłożył import z Indii zaporową 50-procentową stawką celną, rzekomo za to, że kupują rosyjską ropę. Chiny też to robią, ale dostały niższe cła. Trump zgodził się też na umowę handlową z Pakistanem, klientem Pekinu, obniżając mu stawkę celną z 29 do 19 proc. Oprócz nominacji do Nobla Islamabad poparł partnerstwo między państwową radą do spraw kryptowalut a World Liberty Financial, firmą kryptowalutową założoną przez synów Trumpa. Widać tu schemat uzależniania polityki USA wobec poszczególnych państw od tego, ile dadzą zarobić otoczeniu prezydenta. Niektóre rządy potrafią wykorzystać słabość Trumpa do pochlebstw i pieniędzy. Na przykład Wietnam ekspresowo zrobił miejsce pod ośrodek golfowy budowany przez Trump Organization i dostał obniżoną stawkę celną. Ale w szerszej perspektywie utrata powabu przez Amerykę najbardziej sprzyja Chinom.

Podczas gdy USA likwidują swoją agencję do spraw rozwoju międzynarodowego USAID, a kraje Europy Zachodniej przesuwają fundusze z budżetów pomocowych na zbrojenia, chińskie inwestycje w ramach BRI rosną. Trump sieje chaos w światowej gospodarce i szantażuje rządy cłami, a Pekin ogłasza zniesienie ceł dla 53 krajów afrykańskich. Prezydent USA na forum ONZ nazywa walkę ze zmianami klimatycznymi oszustwem i sabotuje projekty ograniczenia emisji gazów cieplarnianych, na co Chiny, światowy lider zielonych technologii, wychodzą z inicjatywą współpracy międzynarodowej w osiąganiu celów zrównoważonego rozwoju ONZ, jak łagodzenie ubóstwa i przeciwdziałanie zmianom klimatu. To rezonuje w krajach biednych, które, choć ponadprzeciętnie wierzą w teorie spiskowe, to globalne ocieplenie uznają za fakt. Tam wolą chińskie zapewnienia o „wspólnej przyszłości" i „wzajemnym szacunku" od programu Trumpa „Ameryka przede wszystkim" – i przeciw wszystkim. Waszyngton atakuje i opuszcza wielostronne instytucje i inicjatywy, Pekin w to miejsce wchodzi. Nie bez znaczenia jest też sytuacja w Palestynie: Izrael jest powszechnie uważany za zbrodniarza, a USA za jego patrona, więc jakie ma prawo czepiać się postępowania Chin w Sinciangu czy gdziekolwiek?

„Ameryka nie straciła miękkiej siły dlatego, że Chiny przebiły demokrację. Przegrała, ponieważ przestała podejmować ciężką pracę polegającą na wczesnym, częstym i empatycznym reagowaniu", napisali w waszyngtońskim think tanku Responsible Statecraft eksperci do spraw Chin James Borton i Sherry Chen.

FOT. REUTERS/NATHAN HOWARD

• **Prezydent USA Donald Trump i premier Indii Narendra Modi na wspólnej konferencji prasowej po spotkaniu w Białym Domu (13.02.2025)**

USA wchodzą w buty agresywnej autokracji, podczas gdy Chiny, choć wewnętrznie to bezwzględna dyktatura, rozszerzają wpływy przy użyciu miękkiej siły, pieniędzy i skutecznego PR-u, a nie gróźb i szantażu.

Podczas gdy Chińczycy budują na globalnym Południu mieszkania i porty, układają kable podmorskie i organizują fora młodzieżowe, Zachód często przekazuje swoje wartości z dystansu, w formie pouczeń, a najbardziej zainteresowany jest kwestią bezpieczeństwa. Tymczasem Pekin usiłuje wykreować się na światowego lidera multilateralizmu i rządów prawa, podkreśla brak kolonialnej przeszłości. Wprawdzie Chiny są zamordystyczną autokracją i powszechnie gwałcącą prawa człowieka, ale robią to „u siebie". Zresztą Ameryka pod rządami Trumpa idzie w tym samym kierunku i nawet nie udaje, że dba o wartości, które kiedyś wyznawała.

W pułapce długów

Chińskie partnerstwa obronne – realizowane pod sztandarem Globalnej Inicjatywy Bezpieczeństwa – nie koncentrują się na armii i geopolityce, jak w przypadku USA, lecz na wsparciu działań policji i budowaniu systemów nadzoru (które potem wykorzystują także do monitorowania chińskiej diaspory). Kolejną różnicą jest strategia bezpośredniego zaangażowania na szczeblu lokalnym. Dla przykładu, kiedy rząd argentyńskiej prowincji Ziemi Ognistej podpisał list intencyjny z chińską grupą przemysłu chemicznego Shaanxi w sprawie budowy portu, elektrowni i zakładu produkcji chemicznej o wartości 1,25 miliarda dolarów, armia USA wymogła na rządzie Javiera Milei, aby skłonił władze prowincji do wycofania się z umowy.

W wielu przypadkach Chiny i globalne Południe znajdują się po przeciwnych stronach stołu. Przykładem jest sprzeciw Pekinu w G20 wobec propozycji restrukturyzacji zadłużenia krajów o niskich dochodach, dopóki na umorzenie pożyczek nie zgodzą się Bank Światowy i regionalne banki rozwoju. Chiny są największym pożyczkodawcą krajów rozwijających się. W ciągu ostatniej dekady wydały ponad 1,3 biliona dolarów na projekty infrastrukturalne BRI, co znacznie przewyższa inwestycje w ramach konkurencyjnych programów, takich jak europejska inicjatywa Global Gateway czy amerykańskie Indo-Pacyficzne Ramy Gospodarcze.

Sceptycy argumentują, że chińskie pożyczki wciągają biorców w pułapkę zadłużenia. Projekty BRI bywają krytykowane za łamanie praw pracowniczych, degradację środowiska, wysiedlenia ludności. Według Biura Narodów Zjednoczonych do spraw Narkotyków i Przestępczości wraz z inwestycjami do Afryki weszły chińskie mafie parające się cyberprzestępstwami, handlem narkotykami, przemytem ludzi i minerałów, działające niekiedy pod płaszczykiem wymiany kulturalnej i organizacji gospodarczych. Gigantyczna autostrada ukończona cztery lata temu przez chińską firmę zmniejszyła korki uliczne w Nairobi, ale inny projekt realizowany w Kenii, linia kolejowa Nairobi-Mombasa, jest mocno krytykowany jako zbyt drogi i nieefektywny.

Chiński plan Marshalla

Nie wszystko Chińczykom rzecz jasna wychodzi. William Ruto wygrał wybory prezydenckie w Kenii w 2022 roku po części dzięki populistycznym hasłom antychińskim. W tym samym roku zadłużona po uszy Sri Lanka ogłosiła niewypłacalność i została zmuszona do restrukturyzacji 4,2 miliarda dolarów długu wobec Chin, po czym rewolta uliczna zmiotła rząd Ranila Wickremesinghe.

Jednak takie zawirowania są chwilowe. W kwietniu tego roku Ruto podczas wizyty w Pekinie podpisał nowe umowy infrastrukturalne i handlowe i publicznie pochwalił rolę Chin w „nowym porządku świata". A jeszcze w zeszłym roku USA uznały Kenię za swojego głównego sojusznika spoza NATO. W styczniu Sri Lanka uzgodniła zacieśnienie współpracy gospodarczej z Chinami; chińskie banki państwowe udzielą jej gwarancji, co pozwoli na restrukturyzację zadłużenia. Nowy przywódca lankijski Anura Dissanayake pochwalił Chiny za „cenny wkład rozwój w infrastruktury" i zapewnił o kluczowym partnerstwie obu krajów.

W Afryce Pekin jest największym deweloperem i inwestorem, łącznie firmy z Chin zainwestowały tam w infrastrukturę ponad 700 miliardów dolarów, wybudowały ponad 10 tysięcy kilometrów linii kolejowych, 100 tysięcy kilometrów dróg oraz dziesiątki portów i linii energetycznych. Niektórzy zauważają, że Chiny realizują dziś prawdziwie globalną wizję, jaka była domeną amerykańskiej polityki zagranicznej w ubiegłym stuleciu. Inicjatywa Pasa i Szlaku, centralny element tej wizji, bywa nawet przesadnie porównywana do planu Marshalla. Oczywiście Chiny na tym zarabiają, tak jak wspieranie rozwoju powojennej Europy per saldo opłacało się Waszyngtonowi. Większość pożyczek jest powiązana z kontraktami dla chińskich firm, które realizują chińscy pracownicy, więc pieniądze wracają do Pekinu.

Anulowanie ceł dla Afryki to janusowy prezent, bo z tego kontynentu do Chin idą głównie potrzebne im surowce, a w drugą stronę wszelakie dobra konsumpcyjne, co tworzy chroniczny deficyt handlowy u biedniejszych partnerów Chin i tłumi miejscową produkcję. Z wyjątkiem Ameryki świat pochłania dziś więcej chińskich towarów niż kiedykolwiek wcześniej. Od czerwca do sierpnia ich eksport do Afryki wzrósł o jedną trzecią rok do roku, do Azji Południowo-Wschodniej – o jedną piątą, a do Europy – o jedną dziesiątą.

Pieniądz na obłaskawienie

Najtrudniej Pekin ma w Azji. Japonia i Korea Południowa są w sojuszach wojskowych z USA, z Chinami mają historyczne zaszłości, mimo to ich relacje, także handlowe, są coraz lepsze. W Azji Południowo-Wschodniej Waszyngton wykorzystuje niezadowolenie Filipin, Wietnamu i Malezji z ekspansji Chin na Morzu Południowochińskim. Pekin rości sobie prawo do 90 procent tego akwenu, buduje sztuczne wyspy i stawia na nich pasy startowe, radary, baterie rakietowe. To pozwala Amerykanom rozszerzać zakres porozumień z sojusznikami i prowadzić z nimi ćwiczenia wojskowe. Tylko nie wiadomo, jak długo to potrwa, bo sojusze w Azji, takie jak AUKUS i QUAD, po nastaniu Trumpa podlegają podobnym napięciom, jak NATO w Europie. Mogą przestać się liczyć, jeśli w Białym Domu górę weźmie izolacjonistyczna frakcja MAGA, albo gdyby doszło do porozumienia Waszyngtonu z Pekinem. Mogą nawet paść ofiarą urażonego ego prezydenta USA.

Chiny tymczasem koją obawy sąsiadów pieniędzmi. Aby uniknąć ceł, przenoszą kierowaną na Zachód produkcję do innych krajów azjatyckich. Wietnam został „wszechstronnym partnerem strategicznym" Pekinu, wartość jego importu z Chin wzrosła o ponad 30 procent. Podobnie w Malezji. „Z perspektywy malezyjskich przywódców bardziej życzliwym mocarstwem i zaufanym partnerem są dziś nie Stany Zjednoczone, lecz Chiny. I to mimo licznych wyzwań, zwłaszcza na Morzu Południowochińskim", pisze malezyjski dyplomata Murni Abdel Hamid w świeżej analizie dla Lowy Institute. „Zrozumiałe jest, że żadne niepodległe państwo nie lubi, gdy inne państwo mu narzuca, z kim ma się przyjaźnić, zwłaszcza gdy osoby wygłaszające te wykłady ani nie postępują zgodnie z tym, co głoszą, ani nie były nigdy godnymi zaufania przyjaciółmi".

W południowej Azji Chiny dzięki Trumpowi osiągnęły reset z Indiami. Ich relacje były mocno napięte od starć na spornej granicy w 2020 roku. Po spotkaniu Xi i Modiego na wrześniowym szczycie Szanghajskiej Organizacji Współpracy (SzOW) w Tianjinie oba państwa wydały oświadczenia, w których przekonują, że chcą być partnerami, a nie rywalami, i planują rozszerzenie dwustronnych więzi handlowych i inwestycyjnych. Powołano też grupę ekspertów w celu rozwiązania sporu granicznego.

Fundamentalne sprzeczności pozostają na razie nierozwiązane. Przede wszystkim Pekin wspiera Pakistan, gospodarczo i militarnie, sprzedając mu broń, której ten używa przeciwko Indiom. Na razie uścisk z Xi wygląda więc na manewr taktyczny Modiego, a nie strategiczną reorganizację, niemniej komentatorzy w USA słusznie załamują ręce nad utratą kluczowego sojusznika w Azji.

Zapraszają amerykosceptycznych

Indie nie są jedynym azjatyckim partnerem, którego zraziła administracja Trumpa. W Seulu zgrozę wywołało aresztowanie przez służbę migracyjną ICE 300 Południowych Koreańczyków, którzy legalnie wjechali do USA, żeby budować fabrykę akumulatorów Hyundaia. Trump wprowadził też zaporowe opłaty za wizy dla zagranicznych specjalistów, co bije głównie w Azjatów.

1 RP

eprasa.pl 4631607220

W Azji Środkowej Chiny zajęły miejsce Rosji. Wartość ich wymiany handlowej z Kazachstanem, Uzbekistanem, Turkmenistanem, Kirgistanem i Tadżykistanem w ciągu ostatnich dwóch lat wzrosła o 116 procent. Budują tam korytarze transportowe i energetyczne, sprzedają technologie pomagające satrapom utrzymać kontrolę nad społeczeństwem, a w zamian zasysają turkmeński gaz, kazachski uran oraz mongolski węgiel, który wywożą nową linią kolejową zbudowaną zgodnie z chińskim standardem rozstawu szyn (innym niż rosyjski i takim samym jak w Europie).

Szanghajska Organizacja Współpracy (SzOW), w założeniu będąca forum bezpieczeństwa dla krajów Azji Środkowej, powiększyła się o kraje Bliskiego Wschodu i Azji Południowej w roli „partnerów" i „obserwatorów". Xi Jinping reformuje SzOW według wzoru BRICS – bloku, który początkowo zrzeszał największe niezachodnie gospodarki świata, ale w ostatnich latach rozszerzył skład o kolejne kraje „amerykosceptyczne". W obu tych grupach Chiny są siłą dominującą, obie przede wszystkim pełnią funkcje wizerunkowe dla zaangażowanych w nie rządów. Na wrześniowym szczycie chiński przywódca ogłosił plany utworzenia banku rozwoju zarządzanego przez SzoW, wprowadził platformę współpracy dla sektora ekologicznego i energetycznego oraz zobowiązał się do udzielenia państwom członkowskim pożyczek. Dodatkowo dał im możliwość korzystania z chińskiego systemu satelitarnego BeiDou, alternatywy dla GPS kontrolowanego przez USA.

Dla krajów Zatoki Perskiej Amerykanie pozostają czołowym partnerem w dziedzinie bezpieczeństwa, ale Chiny są największym partnerem handlowym. Ich relacje wyszły poza kupowanie surowców energetycznych i są rozszerzane kolejne obszary, jak na przykład sztuczna inteligencja. W 2023 roku chińscy dyplomaci udanie mediowali między Teheranem a Rijadem, co może sygnalizować większe ambicje Chin na Bliskim Wschodzie, jednak na razie skupiają się one na wymianie gospodarczej oraz bezpieczeństwie szlaków żeglugowych – temu ma służyć pierwsza zagraniczna baza chińskiej armii w Dżibuti.

Dyplomacja kanonierek

Dezynwoltura Trumpa umacnia wpływy Pekinu także w Ameryce Łacińskiej. Szczególnie wyrazisty jest przypadek Brazylii, na którą USA nałożyły 50-procentową stawkę celną za to, że nie poddała się naciskom i osądziła byłego prezydenta Jaira Bolsonaro, przyjaciela Trumpa, za próbę przewrotu po przegranych przez niego wyborach w 2022 roku.

W sierpniu, kiedy weszły w życie amerykańskie cła, Chiny kupiły od Brazylii o 31 procent towarów więcej niż rok wcześniej, z naddatkiem rekompensując spadek eksportu do USA. Kiedy Trump ostrzegł, że każdy kraj „podążający za antyamerykańską polityką BRICS" zostanie ukarany dodatkowymi cłami, Celso Amorim, główny doradca Luli, powiedział, że te groźby „wzmacniają nasze relacje z BRICS, ponieważ chcemy mieć je zdywersyfikowane i nie być zależnym od żadnego kraju". Opinia publiczna jest tego samego zdania. Odsetek Brazylijczyków deklarujących pozytywne zdanie o USA spadł do 44 procent w sierpniu z 58 procent w lutym, a pozytywnie postrzegających Chiny wzrósł z 38 do 49 procent.

Trumpowa dyplomacja kanonierek przynosi mieszane rezultaty. Groźbą inwazji i ruiny gospodarczej Panamy Waszyngtonowi udało się przejąć zarządzanie Kanałem Panamskim, ale z Wenezuelą nie będzie tak łatwo. Groźby pod adresem Nicolasa Maduro oraz nielegalne w świetle prawa międzynarodowego zatapianie łodzi z domniemanymi przemytnikami sugeruje, że Waszyngton pod pretekstem wojny z narkotykami zamierza przeciwdziałać rosnącej roli Chin w Ameryce Łacińskiej. Balansująca na krawędzi upadku Wenezuela jest najmocniej uzależniona od wsparcia Pekinu, który ratuje reżim Maduro pożyczkami i inwestycjami. Chińskie firmy mają udziały w wenezuelskiej ropie naftowej, sieciach energetycznych i infrastrukturze.

Teraz Pekin wykorzystuje okazję, by pokazać się w roli gołąbka pokoju usiłującego powstrzymać agresywnego amerykańskiego jastrzębia. W reakcji na doniesienia o presji wywieranej z Waszyngtonu na rządy Ameryki Łacińskiej, aby zdystansowały się od Chin, rzecznik MSZ w Pekinie zakomunikował: „Wzywamy Stany Zjednoczone, by przestały przymuszać [te kraje] do wybierania stron, zaprzestały ingerencji w ich sprawy wewnętrzne i dołożyły większych starań, aby przyczynić się do ich rozwoju i dobrobytu, zamiast wtrącać się i siać niezgodę".

Chiny jako wzór?

„Kraje globalnego Południa nie chcą, aby chinocentryczny porządek świata zastąpił istniejący. Obawiają się, że gdy Chiny osiągną status supermocarstwa (jeśli jeszcze go nie mają), ulegną syndromowi hegemonii, jaki często dotyka mocarstwa. Martwią się również o przyszłość chińskiego nacjonalizmu – czy, podobnie jak w Stanach Zjednoczonych, nie przekształci się on w formę reakcyjną", napisali w magazynie „Foreign Policy" Galip Dalay z brytyjskiego think tanku Chatham House i Dino Patti Djalal, były wiceminister spraw zagranicznych Indonezji.

Mimo to niemal cały świat niezachodni z zapałem rozszerza współpracę z Pekinem. Mniejsze kraje nie widzą lepszej opcji; żadna inna potęga nie jest w takim stopniu bezpośrednio obecna na globalnym Południu jak Chiny. Większe kraje robią to w ramach dywersyfikacji i maksymalizowania zysków – są gotowe kooperować z każdym, jeśli się to im opłaci, i alergicznie reagują na żądania, aby wybrały stronę. Tą drogą idą Indie, Turcja, Brazylia, Arabia Saudyjska, Pakistan. Jest to więc powrót do XIX-wiecznej polityki równowagi sił, a nie początek nowego porządku świata, któremu przewodzić miałby Pekin.

Kraje te siadają pod chińskim parasolem w ramach BRICS albo SzOW, ale poza rozczarowaniem Ameryką Trumpa niewiele mają ze sobą wspólnego.

W przeciwieństwie do Zachodu Chiny nie próbują eksportować swojego systemu, niemniej ich model rządów może stanowić gotowy wzór nie tylko dla dyktatorów, ale także populistów, kiedy już wykorzystają niedoskonałości demokracji, aby dojść do władzy. „Chiński system polityczny jest bardziej uczciwy wobec obywateli niż zachodni, demokratyczny model wielopartyjny. Partia Komunistyczna ponosi odpowiedzialność za los kraju, w przeciwieństwie do Zachodu, gdzie nie jest jasne, kto stoi za wieloma partiami" – powiedział szef białoruskiej komisji wyborczej Igor Karpenko kilka dni po styczniowych „wyborach", w których Aleksandrowi Łukaszence przypisano 87-procentowe poparcie. Zwolennicy Trumpa w USA podżegający do delegalizacji Partii Demokratycznej wydają się z nim zgadzać.

W Europie, poza Białorusią, najbliższymi partnerami Chin są Węgry, Słowacja i Serbia – tylko ich przywódcy (w przypadku Węgier szef MSZ) uczestniczyli we wrześniowej paradzie wojskowej w Pekinie. Chińczycy liczą na więcej. Próbowali mocniej wejść do Europy Środkowo-Wschodniej, tworząc tak zwaną Grupę 17+1, ale bez powodzenia, bo nie dowozili obietnic inwestycyjnych i ociągali się z otwarciem swojego rynku. Jednak najważniejsza była presja ze strony Waszyngtonu. Tylko Viktor Orbán się nie ugiął i w ciągu ostatnich dwóch lat Węgry przyciągnęły więcej chińskiego kapitału niż Niemcy, Francja i Wielka Brytania razem wzięte.

Wyzwanie, nie katastrofa

Teraz jednak wobec nieprzewidywalności i łamania zasad przez Trumpa rządy na całym świecie są zmuszone zmniejszać zależność gospodarczą od USA i śmielej otwierać się na inne regiony. Przykładem jest zawarcie umowy handlowej przez UE z południowoamerykańską grupą Mercosur.

Z czasem Europa może się stać niezależną potęgą gospodarczą i militarną, z innymi celami niż USA – bardziej skłonną do konfrontacji z Rosją, niechętną wspieraniu Izraela i być może bardziej otwartą na Chiny. Administracja Trumpa zastrasza Europejczyków, aby nie współpracowali z Pekinem, uległość nie gwarantuje jednak, że Waszyngton będzie wspierał nas w sprawie Ukrainy ani że USA same wywrą znaczącą presję ekonomiczną na Chiny.

Przywódcy europejscy już zaczęli wychodzić ze stanu: „może Trump się zaraz opamięta", i będą musieli na nowo zdefiniować politykę zagraniczną swojego bloku, również – a może przede wszystkim – wobec Pekinu. Iść w silniejszy protekcjonizm, aby chronić własnych producentów przed nieuczciwą konkurencją ze Wschodu, czy lepiej odpuścić wojnę handlową i wspólnie z Azjatami opracować strategię ratowania globalnego ładu ekonomicznego? Zaakceptować chińskie zielone technologie, bo bez nich niemożliwa jest transformacja energetyczna, czy też starać się zmniejszyć zależność od Chin za cenę wyższych wydatków lub rezygnacji z ambitnych celów?

W tle pojawiają się bardziej fundamentalne kwestie. Czy przebiegunowane mocarstwa będą potrafiły współpracować w globalnym interesie, takim jak walka ze zmianami klimatu, zanieczyszczeniem środowiska i zagrożeniami pandemicznymi? Czy uda się zażegnać nabrzmiewające konflikty w cyberprzestrzeni, przestrzeni kosmicznej, Arktyce i oceanach? Czy wyrównywanie nierówności i pomoc ludziom dotkniętym wojnami, katastrofami naturalnymi i nędzą pozostanie globalnym paradygmatem?

Odpowiedzi na razie nie widać, przynajmniej pozytywnych. Naukowcy jednak uspokajają, że choć przebiegunowanie może powodować pewne zakłócenia i wymagać dostosowania systemów zależnych od pola magnetycznego, to nie stanowi bezpośredniego zagrożenia dla życia na Ziemi. Dzięki naturalnym mechanizmom ochronnym naszej planety oraz zdolności organizmów do adaptacji skutki tego procesu będą raczej wyzwaniem niż katastrofą. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34400479

W PONIEDZIAŁEK W „WYBORCZEJ"

POWIĘKSZONE WYDANIE „WYBORCZEJ" i „DUŻEGO FORMATU"

- Rozmowa z Donaldem Tuskiem
- Mateusz Morawiecki i harcerska grupa przestępcza
- Czy Roman Dmowski zasłużył na tytuł „ojca niepodległości" ex aequo z Józefem Piłsudskim?

1 RP

eprasa.pl 4631607220

ORBÁN SZUKAŁ 135 ODWAŻNYCH

Reżim przeżywa kryzys. A w kryzysie nikt nie jest panem sytuacji, nawet autokrata – mówi János Kis.

FOT. REUTERS/MARTON MONUS

• **Peter Magyar, lider opozycyjnej partii TISZA, na demonstracji zorganizowanej przez opozycję w Budapeszcie z okazji 69. rocznicy Powstania Węgierskiego z 1956 roku (23.10. 2025).**

Z **JÁNOSEM KISEM*** ROZMAWIAJĄ **JÁNOS DOBSZAY, MÁRTON GERGELY:**

Rozmowa ukazała się w czerwcu 2025 roku w tygodniku „Heti Világgazdaság".

Czy możemy być pewni, że do urn Węgrzy pójdą zgodnie z wyborczym kalendarzem w kwietniu 2026 roku?
– Nikt tego dzisiaj nie wie, nawet Viktor Orbán.

W demokracji taka niepewność jest czymś dramatycznym.
– Owszem, w demokracji tak. Ale nie żyjemy w demokracji, tylko na razie w elekcyjnej autokracji. „Na razie", bo to zależy od Orbána. Jeśli tylko będzie mieć taką możliwość, nie da się odsunąć od władzy.

Jakie ma na to szanse?
– Reżim przeżywa kryzys. A w kryzysie nikt nie jest panem sytuacji, nawet autokrata. Jeśli podejmie próbę zamachu stanu, łatwo może to starcie przegrać. Albo w ogóle nie zdoła do niego doprowadzić, bo okaże się, że jego machina władzy się zacina.

Ten zamach stanu mógłby wyglądać tak, że wybory wprawdzie się odbędą, ale Tisza – opozycyjna partia Pétera Magyara – nie zostanie dopuszczona do startu.
– Tak, to jedna z możliwości. Ale wtedy wszystkie liczące się partie będą zmuszone do ogłoszenia bojkotu. W grze pozostanie tylko Fidesz Orbána i nacjonalistyczny Ruch Naszej Ojczyzny (Mi Hazánk Mozgalom). To byłaby taka dzisiejsza wersja Frontu Jedności Narodu z epoki komunizmu. Koniec nawet pozoru wolnych wyborów.

Jest jednak inna możliwość: rząd może wprowadzić stan wojenny lub wyjątkowy. Wtedy parlament nie może zostać rozwiązany i nie można przeprowadzić wyborów. Wprowadzony przez rząd stan nadzwyczajny może trwać do trzydziestu dni, ale parlament większością dwóch trzecich głosów może go przedłużyć o kolejne trzydzieści dni. A potem o kolejne trzydzieści – i tak dalej, jak długo wódz uzna to za niezbędne.

Na razie Węgrzy siedzą w domach. Ten, który mógłby wyciągnąć ich na ulice – Péter Magyar – do tej pory tego nie zrobił. Ale to może się zmienić...
– Zamach przeciwko wyborom to byłoby wydarzenie dramatyczne. Dojdzie do niego, jeśli Orbán uzna, że grozi mu poważna porażka, której nie da się uniknąć w inny sposób. A więc właśnie wtedy, gdy wśród wyborców będzie panować poruszenie, atmosfera nadziei i wielkich oczekiwań. I wyobraźcie sobie: właśnie w takim momencie znienawidzony despota, którego wszyscy mają dość, zakazuje wyborów. Napięcie sięgnęłoby zenitu, czegoś takiego w węgierskiej historii nie było od 1956 roku. Tłumy mogą wyjść na ulice nie na kilka godzin, ale na wiele dni, a nawet tygodni. Czy w takiej sytuacji siły porządkowe będą w stanie stłumić opór? Jakie będzie ich morale?

Antyterroryści i oddziały prewencji prawdopodobnie będą do końca wspierać Orbána. Jednak same te jednostki nie będą w stanie na dłuższą metę powstrzymać setek tysięcy demonstrantów w Budapeszcie i dziesiątek tysięcy na prowincji. Potrzebni będą także zwykli policjanci, a być może nawet żołnierze. Tymczasem ich determinacja jest wątpliwa. Na ich zachowanie decydujący wpływ może mieć to, co będą słyszeć w swoim otoczeniu. Za czym opowie się większość pozostająca w domach – czy poprze siły porządkowe, czy demonstrantów? W tym sensie o ostatecznym rezultacie zadecyduje opinia publiczna.

Dyktatorzy wykorzystują chaos polityczny, aby wystąpić w roli zbawców narodu. Czy zatem zamieszki uliczne nie byłyby korzystne dla Orbána?
– Gdyby doszedł do władzy niedawno, mógłby mówić: „albo ja, albo chaos". Ale on rządzi już od piętnastu lat. Przez pierwsze dziesięć lat rzeczywiście potrafił stworzyć wrażenie, że jest gwarantem porządku i bezpieczeństwa materialnego. Ale to wrażenie już od sześciu lat się rozwiewa. Żelazny elektorat nadal popiera Orbána, ale stanowi mniej-

1 RP

eprasa.pl 4631607220

szość. Natomiast ci mniej zaangażowani przestają mu ufać i są coraz bardziej zirytowani. Widzą chaos na kolei, chaos w służbie zdrowia, oświatę w ruinie, ograbione samorządy, których funkcjonowanie jest zagrożone, widzą zalegalizowane kradzieże, ostentacyjną rozrzutność nowobogackich elit władzy. To jest ten porządek, który miałyby przywrócić siły zbrojne.

Wątpliwe, by opinia publiczna stanęła po stronie sił porządkowych – zwłaszcza gdyby rząd pozbawił ją możliwości odwołania go w wyborach. Dlatego stłumienie oporu siłą jest mało prawdopodobne, a porażka oznaczałaby dla Orbána całkowitą polityczną zagładę. Mógłby tylko uciec do Moskwy, tak jak Janukowycz i Asad.

Wiosną rządzący skierowali do parlamentu projekt „ustawy o przejrzystości" [miałaby być węgierską wersją putinowskiej ustawy o agentach zagranicy i uderzałaby w prodemokratyczne organizacje społeczne]. Jednak w czerwcu uchwalenie jej przesunięto na jesień. To wskazuje, że Orbán nie ma dość sił, by przeforsować swoją wolę nawet we własnej partii lub wśród najwyższych urzędników państwowych.
– Faktycznie, w partii i aparacie rządowym wyraźnie rośnie niepokój. Orbán przez długi czas był otoczony nimbem nieomylności. Jednak to się zmieniło, zwłaszcza po tym, gdy musiał się tłumaczyć i wycofywać z nazistowskiej wypowiedzi z 15 marca, w której nazwał oponentów „pluskwami", którym udało się przezimować i które teraz trzeba wytępić w ramach wiosennych porządków. I gdy w rumuńskich wyborach prezydenckich poparł nienawidzącego Węgrów George'a Simiona, który ostatecznie przegrał. Dziś już nie słychać opinii, że Orbán nigdy się nie myli.

Przypadek ustawy o przejrzystości dobrze pokazuje skalę dezorientacji w obozie władzy. Dawniej Orbán po prostu informował przewodniczącego klubu, jak należy głosować, i posłowie głosowali jednomyślnie. A tym razem musiał podjąć desperacką próbę uciułania głosów, próbując znaleźć „135 odważnych ludzi", którzy podpisaliby się pod projektem ustawy. I po raz pierwszy w historii znalazło się w obozie władzy dwudziestu posłów, którzy nie byli wystarczająco odważni. Głosowanie musiało zostać przełożone.

Pęknięcia pojawiły się również wśród samorządowców z obozu władzy. Latem politykę Orbána skrytykowali burmistrzowie Székesfehérváru, Debreczyna i Gyuli. To politycznie znaczące?
– Liczba mieszkańców Debreczyna i Székesfehérváru sięga setek tysięcy, a Gyuli – od 25 do 30 tysięcy. Burmistrzowie tych miast są politykami znanymi w całym kraju lub przynajmniej w swoim regionie. Ich wypowiedziom prawdopodobnie przysłuchują się wójtowie gmin należących do ich okręgów wyborczych i być może także bardziej odległych małych miejscowości. A to ma znaczenie. Najbardziej lojalni wyborcy Fideszu mieszkają w małych miejscowościach, gdzie ludzie są bezpośrednio zależni od lokalnych władz. Jeśli burmistrz zaczyna się wahać, kontrola Fideszu nad mieszkańcami słabnie.

Ostatnio zdaniem Orbána i jego zwolenników największym zagrożeniem jest Ukraina.
– Repertuar Orbána jest taki sam jak repertuar skrajnej prawicy w Europie Zachodniej: atakuje migrantów, atakuje Sorosa, atakuje Ukrainę, schlebia Putinowi, szczuje przeciw mniejszościom seksualnym. Te metody są skuteczne w Europie Zachodniej, wcześniej były skuteczne również u nas, ale teraz już nie są. Wprawdzie większość obecnych wyborców Orbána boi się nieistniejącego zagrożenia ze strony migrantów, przystąpienia Ukrainy do Unii Europejskiej, światowego spisku George'a Sorosa – ale dawniej ten strach podsycany przez propagandę można było zamienić na głosy wyborcze, a dziś już nie. Kryzys reżimu to uniemożliwia.

Alexandra Szentkirályi, polityczka Fideszu, nakręciła i wrzuciła na Facebooka rolkę pokazującą, jak po akcesji Ukrainy do Unii przestępcy ze Wschodu będą przewozić w bagażnikach związanych, niewinnych Węgrów (w roli ofiary wystąpił urzędnik rządowy!). Orbán natomiast prowadzi kampanię, pokazując wyprodukowane przez sztuczną inteligencję filmiki z trumnami węgierskich żołnierzy wysłanych na Ukrainę przez partię Tisza.
– Te straszne opowieści są przedmiotem publicznych drwin w naszych środowiskach, ale nie mam pojęcia, jak odbiera je nadal istniejący żelazny elektorat Fideszu. Kto wie, może nas to śmieszy, a oni drżą z przerażenia? Propaganda Orbána zawsze była skierowana do nich. Jednak za ich pośrednictwem przez mniej więcej dziesięć lat mogła ona oddziaływać na znacznie szersze kręgi, ponieważ to ci wyborcy Fideszu dominowali i nadawali ton w rozmowach w miejscach pracy, w pubach, wśród sąsiadów i w rodzinach. Osoby postronne mogły odnieść wrażenie, że taka jest opinia publiczna. Wielu Węgrów mimowolnie przejęło od nich niektóre sformułowania i w końcu uwierzyło w to i owo. W kraju panowała stabilizacja, większość miała lepsze perspektywy finansowe i ludzie chcieli wykorzystać tę szansę. Trudno jednak zaakceptować dobrodziejstwa reżimu, nie wierząc w ani jedno jego słowo. To właśnie sprawiło, że propaganda Orbána odniosła sukces.

Mimo zinstytucjonalizowanej korupcji?
– Najpóźniej w latach 2013-14 ludzie z pewnością wiedzieli już o odgórnie zorganizowanej przez państwo grabieży majątku publicznego na niespotykaną dotąd skalę. Pamiętacie plakat wyborczy Jobbiku z 2018 roku: „Wy pracujecie, oni kradną"? Wszyscy wiedzieli, że to prawda. Jaki był tego efekt? Jobbik dostał 19 procent, co było dobrym wynikiem, ale dalekim od oczekiwanego zwycięstwa.

A jak wyjaśnić to, że w ostatnich wyborach w 2022 roku obóz władzy znowu zdobył większość dwóch trzecich mandatów?
– Uważałem wtedy, że przy pewnej dozie szczęścia partie opozycyjne mogą pokonać Orbána, ale żeby odnieść zdecydowane zwycięstwo, w koalicji opozycyjnej potrzebna byłaby również partia centroprawicowa, która odebrałaby Fideszowi tych wyborców, którzy obecnie na niego głosują, ale skłaniają się ku centrum. Myślę, że ta diagnoza była trafna. Dopiero później jednak zrozumiałem, że w naszym skrajnie spolaryzowanym kraju nikt, kto identyfikuje się z prawicą, nie zagłosuje na partię, która podaje rękę Ferencowi Gyurcsányowi. Dopóki więc filarem koalicji antyorbanowskiej było ugrupowanie Gyurcsánya, dopóty taka centroprawicowa partia nie mogła powstać. W tym widzę jedną z przyczyn fiaska w 2022 roku. [W 2025 roku były socjalistyczny premier Ferenc Gyurcsány złożył mandat poselski, zrezygnował z członkostwa w swojej partii o nazwie Koalicja Demokratyczna i wycofał się z polityki].

Drugą przyczyną porażki była wojna na Ukrainie? Orbán, który kilka dni wcześniej prowadził rozmowy w Moskwie, wyszedł na tym całkiem nieźle...
– Kiedy w lutym 2022 roku wybuchła wojna, kryzys w opozycji już trwał. W listopadzie 2021 roku zjednoczona opozycja niemal dogoniła Fidesz, różnica między nimi była w granicach błędu statystycznego, ale wtedy jej wzrost się zatrzymał. Dokładnie w momencie, gdy Péter Márki-Zay wygrał drugą turę opozycyjnych prawyborów i został kandydatem opozycji na premiera. Osobiście szanuję go, ale wygrał te prawybory pod hasłem zmiany i odnowy opozycji. W obozie wyborców opozycji panowała już taka atmosfera i właśnie ona wyniosła Márki-Zaya, człowieka z zewnątrz, na szczyt. W tym samym czasie jednak wyborcy nadal oczekiwali, że opozycja wystąpi razem w koalicji. Z powodu tej sprzeczności życzeń wyborców liderem listy koalicji opozycyjnej został rywal partii w niej uczestniczących. To położyło kres trudno osiągniętej spójności koalicji.

Dziś Péter Magyar nie musi zawierać żadnych układów koalicyjnych.
– Nie musi, bo kiedy pojawił się na scenie, stara opozycja po porażce roku 2022 była w ruinie. To nie Péter Magyar ją zniszczył, on tylko odziedziczył jej dawnych wyborców. Sondaże pokazują, że Koalicja Demokratyczna tylko między styczniem 2023 roku a styczniem 2024 straciła jedną trzecią swoich zdeklarowanych wyborców; w tym samym czasie partię Momentum też opuściła jedna trzecia wyborców. Péter Magyar wkroczył do akcji, gdy dominowało już pragnienie, aby zbawca, kimkolwiek by był, w końcu się pojawił. W czerwcu 2024 roku przeważająca większość wyborców partii Magyara, TISZ-y, pochodziła z obozu lewicowo-liberalnego.

Magyar pod szyldem partii TISZA zgromadził niezwykle heterogenicznych wyborców. Spaja ich tylko chęć pozbycia się Orbána. Jeśli Tisza dojdzie do władzy, ta koalicja szybko się rozpadnie

Czy Péter Magyar potrzebował sukcesu w wyborach do Parlamentu Europejskiego w 2024 roku, aby móc podjąć skuteczną rywalizację z prawicowo-centrowym Fideszem?
– Tak, wtedy stało się jasne dla rozczarowanych wyborców Fideszu, że może on być potencjalnym konkurentem Orbána, nie sprzymierzając się jednocześnie z obozem lewicowo-liberalnym.

Ostatnio jednak słychać przestrogi, że oto u naszych bram stoi kolejny populista o ambicjach autokraty. Podziela pan te obawy?
– Nie. Żeby nie było nieporozumień: nie wydaje mi się, by Péter Magyar mógł zostać zbawcą liberalnej demokracji. Owszem, dopóki walczył o elektorat lewicowo-liberalny, mówił, choć niezbyt często, o rozdziale władz, niezależności sądów, prawach obywatelskich i równości. Dziś już nie wspomina o tych zasadniczych kwestiach. Nie wiem, co mówi, a o czym milczy z powodów czysto taktycznych. Nie obawiam się jednak, że stanie się drugim Orbánem i po obaleniu jednej dyktatury pogrąży kraj w kolejnej.

Skąd ta pewność?
– Magyar pod szyldem jednej partii Tisza zgromadził niezwykle heterogeniczne grono wyborców. Spaja je tylko chęć pozbycia się reżimu Orbána. Jeśli TISZA dojdzie do władzy, ta szeroka koalicja bardzo szybko się rozpadnie, ponieważ nie da się jednocześnie zaspokoić rozbieżnych oczekiwań różnych jej części. Na scenę wkroczą nowe partie, a normalne spektrum polityczne zostanie przywrócone. Jeśli TISZA przetrwa tę sytuację, będzie tylko jedną z rywalizujących partii.

Najpóźniej za cztery lata odbędą się wybory, a po nich – jestem tego pewien – Péter Magyar nie będzie mógł już samodzielnie rządzić.

Załóżmy, że wybory wiosną się odbędą, TISZA je wygra i może nawet zdobędzie większość konstytucyjną. Co zrobi Orbán, gdy znajdzie się w opozycji?
– Gdyby z sondaży wynikało, że TISZA może zdobyć dwie trzecie mandatów w obecnym systemie wyborczym, Orbán prawdopodobnie szybko zmieniłby ordynację na proporcjonalną, w której każda partia uzyskałaby mandaty parlamentarne proporcjonalnie do liczby oddanych na nią głosów. W ten sposób miałby przynajmniej mniejszość blokującą w nowym parlamencie.

Rząd TISZ-y będzie musiał lawirować między trudną sytuacją gospodarczą a niezwykle wysokimi oczekiwaniami społeczeństwa, podczas gdy jego opozycja nie będzie zwykłą opozycją parlamentarną. Orbán będzie dysponować potężnym państwem w państwie – podlegać mu będą prokurator generalny, Trybunał Konstytucyjny, Sąd Najwyższy, Trybunał Obrachunkowy, przewodniczący Urzędu Nadzoru Rynku i tak dalej. Jednocześnie w jego rękach skoncentruje się ogromna władza gospodarcza. Jeśli będzie zmuszony przejść do opozycji, z pewnością wykorzysta te aktywa, aby przyspieszyć upadek rządu i powrócić do władzy w nowych wyborach, z nową demokratyczną legitymacją.

Może jednak przegrać tę grę; wiele będzie zależało od umiejętności rządu, a jeszcze więcej od tego, co zrobią nowe partie demokratyczne. Tak czy inaczej, Péter Magyar będzie musiał rządzić w warunkach wojny na śmierć i życie z Orbánem. Będzie potrzebował cierpliwości demokratycznie nastawionych wyborców i powściągliwości partii pozaparlamentarnych, które przyciągają wyborców stojących na lewo od niego. Nie jest to sytuacja, w której można budować dyktaturę.

Analitycy twierdzą, że Orbán nie może zaakceptować wyników wyborów, bo – jak to ujął Péter Magyar – oznaczałoby to dla niego „program drogi do więzienia".
– Jeśli nie będzie miał siły, aby przeprowadzić zamach stanu przed wyborami, to tym bardziej nie uda mu się to po nich. Nie oznacza to jednak, że następnego dnia trafi do więzienia. Kto zainicjuje przeciwko niemu postępowanie karne? Kto zwróci się do parlamentu o zawieszenie jego immunitetu? Prokurator generalny, który jest człowiekiem z jego obozu? Wolne żarty.

Zanim zaczniemy rozliczać Orbána, trzeba zburzyć jego państwo cieni.

Nie jest to niemożliwe, ale będzie to bardzo delikatna operacja polityczno-prawna, której przeprowadzenie wymaga jednocześnie odwagi, namysłu i ostrożności. Czeka nas więc okres, w którym Orbán będzie mógł jeszcze walczyć o przetrwanie. Jego reżim ma już swoje najlepsze czasy za sobą, ale nie złożymy go do grobu w kwietniu przyszłego roku, kiedy przegra wybory, ale najwcześniej po następnych wyborach. Przywrócenie liberalnej demokracji i powrót do języka i ducha praw konstytucyjnych też będzie zadaniem na kilka kadencji. ●

tłum. Wojciech Maziarski

***János Kis**

• rocznik 1943, filozof, politolog, socjolog i polityk, czołowa postać antykomunistycznej opozycji demokratycznej lat 70. i 80. XX wieku. Potem lider nieistniejącej już liberalnej partii Związek Wolnych Demokratów, która tworzyła rządzącą koalicję z socjalistami w latach 1994-98 oraz 2002-08.

eprasa.pl 4631607220

• Wenecja. „Tu się zaczęła moja włoska przygoda. Tutejsza pizza wciąż jest robiona na idealnie cienkim cieście z idealnie zapieczonymi brzegami”

FOT. ALEXANDER SPATARI/GETTY IMAGES, ANNA WYRWIK

WSZYSTKIE MOJE WŁOSKIE PIZZE

Pierwszy raz byłam tu w drugiej połowie lat 90. Europa, Zachód! Szczena opadała! Potem byłam jeszcze kilka razy i zawsze na pizzach, bo lata mijały, szczena opadała mniej, oczy widziały więcej, a Włochy i Europa były coraz bliżej.

Anna Wyrwik

1

Czy pamiętam moją pierwszą włoską pizzę?

Wenecja, rok 1997. Premierem Włoch był Romano Prodi, a Polski Włodzimierz Cimoszewicz, który zaraz miał przegrać tekstem do powodzian. W kwietniu w meczu Polska – Włochy na Śląskim było 0:0. A w lipcu jechaliśmy autokarem przez pół Europy, bo tak się wtedy jeździło na wakacje. Oglądaliśmy kabriolety parkujące pod Casino de Monte-Carlo, rolexy za szybami sklepów w Genewie, a w markecie w Andorze rodzice kupili alkohol taniej niż w Polsce.

Jechaliśmy do Lloret de Mar na Costa Brava. Nie pamiętam czy już wtedy wyglądało jak przyplażowe blokowisko, bo dla 13-latki było spełnieniem marzeń o egzotyce. Zachód for the first time.

W radiu leciało „I Believe I Can Fly” R. Kelly'ego na zmianę z „Un-Break My Heart” Tony Braxton. Biuro podróży było z Katowic, więc pasażerowie po śląsku licytowali się, co kto już widział na Zachodzie. Rodzice milczeli, bo nie mówią po śląsku, a większość tego, co już widzieli, widzieli na Wschodzie. Ja nic nigdzie nie widziałam, więc z „Bitter Sweet Symphony” The Verve w słuchawkach walkmana podziwiałam gładkie autostrady i czyste toalety na kolorowych stacjach benzynowych.

W Wenecji pierwszy był parking ze ślimakiem z boku, po którym samochody wjeżdżały na kolejne piętra. Odrapane ściany, a na ziemi śmieci w reklamówkach. Po powrocie mogłam z dumą powiedzieć, że na tym Zachodzie też coś się nie udało. Mają śmieci, jak my.

Pamiętam smród wody, gdy sunęliśmy tramwajem na Piazza San Marco. Azjatyccy turyści wciąż robili zdjęcia, Ślązaczka mówiła „jo tu była”, a Włosi drapali się po bródkach wystylizowanych na Roberto Baggio. Wokół pływały gondole, ale były za drogie, więc musiała nam wystarczyć miniaturka z plastikowym gondolierem w koszulce w paski. Wciąż gdzieś stoi na półce.

Pierwszą włoską pizzę zjadłam na placu św. Marka, bo gdzie indziej? To było na miejscu, jak Beverly Hills w Los Angeles, ryba nad morzem i królowa w Londynie. Siedzieliśmy w ogródku, rodzice pili kawę z małych filiżanek, gołębie srały i latały, a na białym, okrągłym talerzu leżała pizza na idealnym cienkim cieście, z idealnie lekko zapieczonymi brzegami i z prawdziwym, włoskim salami. Między stolikami chodził kelner z bródką na Roberto Baggio, a ja czułam się jak na pocztówce z dalekiego świata.

2

Na kolejne włoskie pizze czekałam prawie 20 lat. Polska była po wejściu do Unii Europejskiej, a Włochy po trzech kadencjach Silvia Berlusconiego. **W 2015 r. Bolonia** pachniała butami i studenckim piwem. Na rynku trwał remont i wielkie płachty pokrywały stare budynki koloru jasnej cegły.

Po mieście oprowadzała mnie Marta z couchsurfingu [forma podróżowania, bezpłatne noclegi na zasadzie wzajemnej gościnności na całym świecie]. Piłyśmy piwo w Birrotece Bukowski, bo Charles Bukowski był jej podobno ulubionym pisarzem. Mówiła, że w Polsce mamy fajnie, bo „zielona wyspa”, a we Włoszech jest kryzys i zaraz wszyscy młodzi stracą pracę. Poczułam się na Zachodzie, jak nie ze Wschodu, i wszystkim po powrocie to opowiadałam.

W tej studenckiej knajpie w bramie na podwórku brało się piwo za 4 euro od uśmiechniętych barmanów i jadło ze stołów, co chciało. Na talerzach kanapki, w miskach ostre nachos i pasty z dodatkami, a na deskach kawałki pizzy. Była prosta, dobrze przypieczona. Piłyśmy więc piwo, jadłyśmy pizzę, a Marta mówiła, że Sycylia to najpiękniejszy region Włoch, choć nigdy tam nie była.

Jechałam więc z Bolonii na Sycylię przez całe Włochy. Mijałam pola i śmieci na przedmieściach miast, i minęłam Rzym, choć miałam wysiąść, ale tak dobrze się jechało.

Napoli Centrale był już po remoncie, ale okolice żyły życiem ludzi przybyłych tu zza morza. W dzień z koców sprzedawali torebki Chanel i okulary Versace, a w nocy siedzieli na murkach, czekając co da im los, pracę dilera, taksówkarza, dyrektora… Tyle że dyrektora niekoniecznie.

Z dworca poszłam do pizzerii, do której jeszcze kiedyś pójdę. Wzięłam neapolitańską, a jakże, i usiadłam pod fontanną. Piłam białe wino, gryzłam puszyste brzegi ciasta, tłuszcz kapał mi na sukienkę, a ser ciągnął się i ciągnął…gdybym wyszła z tym kawałkiem na ulice a resztę zostawiła, dalej by się ciągnął. Mia-

1 RP

eprasa.pl 4631607220

sto wyglądało, jakby wszyscy z niego wyjechali, a potem przyjechali nowi, młodzi i bezczelni, przestali sprzątać i łatać budynki, tylko rozgościli się wygodnie, by się bawić i śmiać.

Byli tam wszyscy. Uciekinierzy z Afryki i Azji, mężczyźni w garniturach i kobiety w jasnych sukienkach, dziewczyny w podartych jeansach, starcy w kaszkietach i młode wilczki w dresach Nike z mastifami przy nogach. W nocy chojracy, w dzień uliczni sprzedawcy ciągnący warzywa na wózkach. „Rozpierdol w najlepszym wydaniu" – napisałam w notesie. Robiłam uniki przed pędzącymi skuterami i przekraczałam śmieci wypadające z kontenerów, chodząc po ruinach miasta, na których wymalowane były sierpy i młoty, murale z Maradoną i napisy „London Calling – Rome burning". Gdybym ten kawałek pizzy wzięła, ser ciągnąłby się za mną aż do Zatoki Neapolitańskiej.

3

Gdy 10 lat później oglądałam tę zatokę w „Bogini Partenope" [film Paola Sorrentino z 2024 r.], próbowałam sobie przypomnieć jak wyglądała o zachodzie słońca w dniu, w którym opuszczałam Neapol i patrzyłam na nią z restauracji na promie w drodze na Sycylię.

Palermo pachniało kawą i plażą, na którą od rana ciągnęli turyści, więc ja ciągnęłam w głąb wyspy. Im dalej, tym lepiej. Pociągi nie jeździły według rozkładów ani w ogóle, więc łapałam stopa. Pierwszym był stary, granatowy fiat uno. Oddalałam się od morza i wtedy ukazała mi się prawdziwa Sycylia. Napisałam w notesie, że mogę już wyłączyć wyobraźnię, bo jest tak, jak miało być. Może podróże są właśnie po to, by konfrontować realny świat z wyobraźnią. Ciągnęły się pola w różnych odcieniach brązu i zieleni, ciągnęła się kręta droga w słońcu, nad nami góry, pod nami jezioro, które pokonaliśmy mostem, patrząc na przybrzeżne drzewa, które jakby z niego wyrastały.

We włoskim radiu rządził wtedy „El Perdón" Nicky'ego Jama i Enrique Iglesiasa, temperatura szła na rekord. Pamiętam, że łapiąc stopa, trzymałam w rękach dwie butelki wody. Jedną się oblewałam, a drugą wypijałam i nim ją skończyłam, sukienka była już sucha.

Mężczyźni w długich spodniach i marynarkach siedzieli po kawiarniach, pili kawę i ćmili papierosy, kobiety w domach przygotowywały spaghetti. Tak to sobie wyobrażałam, gdy szłam przez miasteczka z za ciężkim plecakiem, bo plecak, gdy się łapie stopa, zawsze jest za ciężki. Miasteczka nosiły nazwy jak włoskie potrawy. Przez upał za dnia były puste, a wieczorami ludzie wychodzili z domów na place, siedzieć pod lampionami, tańczyć na podestach i jeść w restauracjach. Dopiero wtedy dało się jeść.

Przesiadywałam z pizzami, pakowanymi w pudełka w kolorach włoskiej flagi, gdzieś z boku, na murkach przy placach i patrzyłam na tych ludzi, że tak można.

I jechałam dalej. Czasem ktoś zatrzymywał się i zagajał, gestem przepraszając, że dalej nie jedzie, że nie ma miejsca, jakby czuł się w obowiązku wytłumaczyć. Czasem ktoś się zatrzymywał i jechał.

Raz trafiłam do winnicy w okolicy Grisi. Antonio, 40-latek w brudnym, zielonym t-shircie, dresowych spodniach i starych adidasach stał na tarasie i z uśmiechem patrzył na pola. Wino robił już tylko dla rodziny, a żył ze sprzedaży winogron, tyle że susza była, kryzys, słabo szło, kręcił głową Antonio.

Dom wyglądał jak ostatnie tchnienie europejskiej arystokracji. W zakurzonych pomieszczeniach o wysokich sufitach, z drewnianymi szafami i obrazami w ciężkich ramach, stały pudła pełne starych przedmiotów, jakby szykowane do wyrzucenia przy wyprowadzce. W salonie przy ciężkim stole rodzina Antoniego podała kolację. Ojciec lał wino do plastikowych kubków, a mama kładła kawałki pizzy na plastikowych talerzach. Chyba wtedy po raz pierwszy jadłam pizzę z karczochami.

• **Neapol w 2015 r. „Z dworca poszłam do pizzerii. Wzięłam neapolitańską, a jakże!. Miasto wyglądało, jakby wszyscy z niego wyjechali, a potem przyjechali nowi i przestali sprzątać"**

Nowy podcast „Wyborczej"

• Uzupełnieniem cyklu tekstów jest podcast **„Poznajmy naszą Europę".** Alicja Dąbrowska, wieloletnia redaktorka działu zagranicznego i podróżniczka ze swoimi gośćmi odwiedza wszystkie kraje UE. Przygląda się kulturze i obyczajom, stroniąc od polityki i utartych opinii.
• Podcast na wyborcza.pl/podcast i platformach streamingowych. Nowy odcinek to rozmowa z Tessą Capponi-Borawską o związkach włoskiej kuchni ze sztuką, historią, muzyką i architekturą.

Antonio nie lubił Palermo, bo „it's like hell", ale czarnym golfem pojechaliśmy tam do jego przyjaciół. Ricardo i Umberto siedzieli na patio domu nad basenem, ręce z winem opierając o wielkie poduchy, jak w filmie Sorrentino. Ricardo planował zakup nowego pianina, a Umberto – otwarcie pizzerii w Sankt Petersburgu, skąd pochodziła jego żona. Ciekawe, czy mu się udało.

4

Kwiecień 2018. Na ścianach w Museo Maga w Gallarate, które leży 50 km na północny-zachód od Mediolanu, powiesili prace Jacka Kerouaca, artysty, który zdefiniował swoje pokolenie jako Beat Generation. Napisał jedną z najsłynniejszych amerykańskich powieści XX w. „W drodze", a w 1966 r. gibał się pijany podczas mediolańskiego spotkania z Fernandą Pivano, też świetną pisarką i jego włoską tłumaczką. Abstrakcyjne anioły zdawały się wylatywać z obrazów Kerouaca i mogłyby polecieć przed siebie w tę włoską klasykę.

Może poleciałyby do Bergamo i tam latały wśród starych kamienic i kawiarni, i odnalazłyby się dopiero w Trattoria d'Ambrosio da Giuliana.

Giuliana biegała po restauracji, a włosy miała w nieładzie, i niby się spieszyła, ale przy każdym stole przystawała. Nie znała angielskiego, ja nie znam włoskiego, a jednak przyniosła mi to, na co miałam ochotę. Tym razem to nie była pizza. Przy stołach siedziały dziesiątki ludzi, na ścianach wisiały dziesiątki zdjęć ludzi, którzy siedzieli tam wcześniej, na regałach stały dziesiątki pamiątek, a dziesiątki kelnerów biegało z dziesiątkami talerzy i butelek. Wśród nich Giuliana, która na odchodne dała mi wielkie uovo di pasqua pełne słodyczy i tak szłam z tym, jak z jakąś piniatą, przez nocne Bergamo.

Już tak jest, że się Barcelonę zaczyna od Girony, a Mediolan od Bergamo. Chodziłam po mieście z Johnem Coltranem w słuchawkach i myślałam o tym, że wszystko już jest takie samo.

City breaki są jak wyjście na miasto i nieważne, które miasto. Te na Zachodzie Europy i te aspirujące z Europy Środkowo-Wschodniej zlewały się w jedną mapę hipsterskich atrakcji spod znaku vintage, craftu i conceptu. Barmani z takimi samymi tatuażami lali takie same piwa do takich samych kufli, ludzie w takich samych spodniach i czapkach jeździli na takich samych rowerach, a w kawiarniach podawali takie same zdrowe soki i śniadania z jajek pod każdą postacią.

Marzenia o Brooklynie i Berlinie zlewały się z logami Ryanaira na biletach i Bookingu na naklejkach ze średnią opinii na szybach hoteli, a one z emerytowanymi turystami z Niemiec, pijanymi turystami z Anglii, hiszpańskimi studentami z Erasmusa i żonami szejków, za którymi kierowcy nosili torby z zakupami.

Magnesy, torebeczki, czapeczki, kościoły, katedry, mury, kolumny, monumenty, must be, thing to do, the best of. A Azjaci wciąż fotografowali to smartfonami na długich kijkach. I tylko czasem zaplątali się jacyś Czesi czy Polacy z plecakami, do których przymocowali karimaty, a z boku dyndały trapery.

Może anioły Kerouaca latałyby nad Mediolanem, patrząc na moje śniadanie nad Alzaia Naviglio Grande, bułka, ser i butelka Grillo. Może latałyby nad mediolańską pizzerią, jak z folderu, obrusy w czerwono-białą kratę, cienkie ciasto, cienkie piwo, podstawowa capricciosa.

Po pizzy zaś chodziłam do knajpy w stylu american dive bar, gdzie piłam przy barze BrewDog Punk IPA, bo się Zachód skumał już ze Wschodem i ceny w knajpach były takie, jak w Krakowie. Ostatniego dnia barmani polali whisky do szotów, by się pożegnać. Tam anioły może by i wleciały, i nawet Jack Kerouac może dałby radę, ale wszystko się już zlewało.

5

Czy pamiętam moją najlepszą włoską pizzę?

Nowy Jork, rok 2019, Donald Trump kończył swoją pierwszą kadencję, Mateusz Morawiecki swojej kończyć nie chciał. W lutym „Zimna wojna" była nominowana do Oscara, a w marcu wchodziłam do Antonio's Trattoria w Little Italy na Bronksie. Przy barze siedzieli włoscy wujkowie jak z filmu Scorsese, na stołach leżały ciężkie obrusy, ciężkie sztućce i kielichy, w ścienną półkę wbite były butelki wina, a ja wzięłam Margheritę. Była duża, na cienkim cieście i prosta, jak catenaccio.

6

Rok 2020. Po raz pierwszy na lotnisku sprawdzono mi temperaturę. Neapol w lutym był wyraźny, jakby zima oczyściła powietrze. Okolice dworca były już spokojniejsze, a w ruinach starych budynków wciąż rządziły vintage tanie ciuchy, crafty i winyle, tyle że już takie jakby bardziej zasiedziałe. Nowi nie byli już nowi i byli mniej bezczelni, czasem sprzątnęli, czasem załatali.

Zapuszczałam się w dalsze uliczki miasta, słuchając „Nuje Vulimme 'na Speranza", a potem wracałam do „rozpierdolu w najlepszym wydaniu", by w lutowym słońcu pić Primitivo i szukać sztuki po galeriach w ruinach. Choć już nie wszędzie były to ruiny. Chodziłam w długim płaszczu z wielkimi kieszeniami, a gdy poszłam na targ, to mi ktoś te kieszenie opróżnił. Chodziłam więc bez telefonu i świadomości, co dzieje się na świecie, i tak trafiłam do restauracji, w której kiedyś kupiłam pizzę neapolitańską. Ser znowu się ciągnął, ja znowu siedziałam przy fontannie, tylko tym razem w rozkroku, by zachować czyste ubranie, tak że pode mną powstała kałuża tłuszczu.

Ludzie chodzili tak różni, jak kiedyś, a ja nie czułam, że wymaga to jakichś przemyśleń, skutery jeździły jeszcze szybciej, fiat 500 rozpychał się, uderzając w samochody przed nim i za nim. Patrzyłam w górę i wciąż widziałam tam pranie na setkach metrów sznurka, a nad nim w oknach stare Włoszki strzepujące popiół z papierosów.

7

Rok 2024. Plac św. Marka był wypchany turystami, tak że tworzyli korki, jakby wiedzieli, że zaraz wstęp do miasta będzie płatny albo jakby miasto naprawdę miało następnego dnia zatonąć. Wiosennie padało, więc w bocznych uliczkach było spokojnie. Trwało Biennale. Po Wenecji porozrzucali filmy z instalacji Williama Kentridge'a, zdjęcia Petera Hujara, obrazy Willema de Kooninga i kolejne pawilony, Oman, Serbia, Rumunia, Węgry, Korea Południowa, zwycięska Australia z „kith and kin" aborygena Archiego Moore'a i polski pawilon z filmem dokumentalnym z wojny w Ukrainie.

Po wystawach szłam do baru na Pinot Grigio, siedziałam i obserwowałam spacerujących turystów i biegających kelnerów, których brody przeszły w styl z wystaw zakładów barberskich. Z okien hostelu obserwowałam zaś parking, który kiedyś wydawał mi się jedynym na świecie, a teraz był jednym z kilku.

Pizza z salami wciąż jest robiona w Wenecji na idealnym cienkim cieście, z idealnie, lekko zapieczonymi brzegami, z prawdziwym, włoskim salami i pozostaje nie za droga. ●

eprasa.pl 4631607220

SZTUKA ŻYCIA W LUKCE

FOT. BARTOSZ HLEBOWICZ (4)

To miejsce dla tych, którzy chcą czegoś więcej niż selfie na tle kilku przewodnikowych atrakcji. Czas tu inaczej płynie, a pop kultura wpasowała się w średniowieczną scenografię.

Bartosz Hlebowicz

Październikowa niedziela. Z pociągu na stacji w Lukce wysypuje się tłum turystów, a jednak historyczne centrum pozostaje spokojne, niezadeptane. Gęściej jest jedynie na placach wokół katedry św. Marcina i kościoła św. Jana i św. Reparaty, gdzie trwa targ staroci, ale i tak można swobodnie wybierać między secesyjnymi mebelkami, grafikami z kamienicami Lukki, a kartami Pokemon i starymi komiksami.

Można się tu też zaopatrzyć w nóż z drugiej wojny światowej albo nawet w hitlerowską odznakę. To samo powtarza się u nas, czyli we Florencji, na Placu Niepodległości w co trzecią niedzielę miesiąca. Obok mebli, porcelany i książek regularnie pojawia się stoisko z faszystowskimi i nazistowskimi pamiątkami. W Lukce tego chłamu jest zdecydowanie mniej.

Na rozległym placu wokół kościoła św. Michała (San Michele in Foro) – cały czas to ścisłe centrum – obserwujemy z synem cudowny brak pośpiechu: ludzie nie biegają z nosami w przewodnikach czy w mapach w komórce, tylko spacerują albo siedzą przy kawiarnianych stolikach popijając kawę lub wino. Na rowerze wolno przejeżdża tubylec z długimi włosami ufarbowanymi na fioletowo.

Właśnie wyszliśmy ze św. Michała, bo Lukkę można opisać, podążając szlakiem jej niezwykłych świątyń. Taką strategię obieram, by napomknąć także o innych rzeczach.

Kościół ulubionego świętego

San Michele in Foro to najbardziej fotogeniczny z jej kościołów – dzięki imponującej fasadzie z wyszukaną kompozycją arkad: siedmiu monumentalnych, ledwo zarysowanych w dolnej części i czterech rzędów mniejszych, bardziej przestrzennych, „głębszych". Longobardowie zbudowali go w VIII wieku, ale obecny kształt zawdzięcza kolejnym rekonstrukcjom, już od XI wieku, dawno po tym jak Longobardów podbił Karol Wielki.

Fantastyczne zdobienia łuków, kolumn i arkad są nie tylko na fasadzie głównej, ale także na ścianach bocznych. Większość kolumn wykonano z białego marmuru, niektóre z różowego. Przestrzeń nad łukami arkad wypełniają misterne fryzy zwierząt.

Na szczycie fasady jest 4-metrowa rzeźba archanioła Michała, który przebija włócznią smoka. To po jego postacią – według Apokalipsy św. Jana – ukrywał się Lucyfer. Obok dwa anioły dmą w rogi obwieszczając zwycięstwo ulubionego świętego Longobardów. Od Lukki zaczęli oni podbój Toskanii pod koniec VI wieku i Lukkę uczynili siedzibą księstwa (ducato) w centrum Półwyspu Apenińskiego. Ci najeźdźcy z północy szybko przyjęli katolicyzm, o czym zaświadcza właśnie kult św. Michała i biskupstwo dla germańskich dostojników.

W XII wieku kościołowi dobudowano dzwonnicę. Jest tak wysoka jak fasada, ale według dawnych kronik pierwotnie miała jedno piętro więcej. W drugiej połowie XIV wieku została skrócona na rozkaz ówczesnego doży Republiki Pizy (do niej należała Lukka) i ambitnego kupca – Giovanniego dell'Angelo.

Podaje się dwa wyjaśnienia. Pierwsze – dźwięk dzwonów słychać było aż w Pizie, a to się doży bardzo nie podobało. Drugie – dzwonnica u św. Michała była wyższa od wieży Augusta na wzgórzu San Giuliano, która służyła do wymiany sygnałów z Pizą, a więc zakłócała komunikację. My wybieramy pierwsze wyjaśnienie, bo dotyka istoty charakteru ludzkiego, podczas gdy drugie jest zaledwie techniczne.

Święty Michał... O ile biel marmuru na zewnątrz tryska werwą, a w pogodny dzień jej optymizm wzmacniają promienie słońca odbijające się od zielonych (patyna pokryła brąz, z którego je wykonano) skrzydeł i włóczni św. Michała, o tyle szaro-brązowe ściany wnętrza budowli wywołują nastrój solenności. Wyróżniają się tu zadumana Maria z białej terakoty w rzeźbie „Madonna z Dzieciątkiem" z połowy XV wieku oraz obraz Filippino Lippiego przedstawiający świętych Girolamo, Sebastiana, Rokka i Helenę – jeden z nielicznych akcentów w żywych kolorach wewnątrz świątyni.

1 RP

• Festiwal Komiksów i Gier (29.10-3.11), przyciąga do Lukki tysiące fanów 9. sztuki i cosplay. Przebrani za ulubionych bohaterów pozują na tle średniowiecznych zabytków – jak ten malowniczy kościół św. Michała

POZNAJMY NASZĄ EUROPĘ

• Chcemy rozwijać wśród Polaków poczucie europejskiej tożsamości, pokazując różnorodność krajów członkowskich Unii Europejskiej. Co tydzień na łamach „Magazynu Wyborczej" i w serwisie Wyborcza.pl będziemy publikować teksty opisujące ciekawe miejsca, tradycje i kulturę kolejnych krajów Wspólnoty.

W ramach projektu przedstawiamy także działalność Parlamentu Europejskiego i jego wpływ na życie Europejczyków. Analizujemy wyzwania stojące przed Wspólnotą, między innymi: kryzys migracyjny, wojnę w Ukrainie czy walkę z dezinformacją.

Działania współfinansowane są przez UE w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji. Materiały i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają poglądy autorów. Parlament Europejski nie odpowiada za ich treść.

eprasa.pl 4631607220

▲ **Bazylika San Frediano z XIII w. z bizantyjską mozaiką na fasadzie. W środku grób św. Zyty, patronki Lukki**

INFOGRAFIKA: DOMINIK UHLIG, ŁUKASZ RUDNIKOWSKI / WYBORCZA.PL/BIQDATA

▼ **Ogród i pałac Pfannerów – wysepka baroku w średniowiecznej architekturze Lukki**

1 RP

Lukkańskie rozmówki

Z restauracji, gdzie idziemy na lunch mamy widok na targ przed świętymi Janem i Reparatą. Obsługuje nas miła kelnerka, Rosjanka z Sankt Petersburga. Syn wybiera il peposo, czyli gulasz z pieczonymi ziemniakami, ja risotto z owocami morza.

Przy stoliku obok siedzi dwóch mężczyzn z kieliszkami prosecco i talerzykiem z orzeszkami. Od czasu do czasu wymieniają się uwagami. Jeden ma jakieś 50 lat, drugi jest starszy. Ubrani w jesienne kurtki, jeden ma nawet wełnianą czapkę, choć jest ciepło.

– Ty mieszkasz sam, więc dla ciebie nie ma różnicy – odzywa się młodszy – ale ja pracuję na trzy zmiany, udaje mi się zjeść kolację z Franceską tylko raz w tygodniu. I zerka na ustawioną na stoliku komórkę, gdzie leci transmisja meczu Como – Juventus. O ile wzrok mnie nie myli, słabeusz niespodziewanie prowadzi 1:0.

Starszy milczy, ale po jakimś czasie skarży się, że pogarsza mu się wzrok. – Na szczęście cały czas dobrze widzę kobiety, więc nie jest źle – uśmiecha się.

I dalej sobie razem milczą obserwując na przemian mecz i przechodniów. Obrazki przed ich i naszymi oczami przesuwają się nieśpiesznie. Dlatego lubię Lukkę.

Biskup, który ujarzmił rzekę

Następna na liście jest katedra św. Marcina ze słynnym Volto Santo – Świętym Obliczem, ponad 4-metrowym drewnianym Chrystusem na krzyżu. Legenda chce, żeby autorem Chrystusa był jego uczeń Nikodem, a w ukończeniu dzieła pomagały mu anioły. W rzeczywistości rzeźba powstała nie wcześniej niż w VIII wieku, ale to i tak najstarszy drewniany krucyfiks w kościele zachodnim. Katedrę trzeba odwiedzić także ze względu na „Ostatnią wieczerzę" – ostatnie dzieło Tintoretta, geniusza epoki Odrodzenia.

Na zachodniej ścianie jest rzeźba św. Marcina i biedaka z XIII wieku, a jej kopia znajduje się na fasadzie głównej. Święty siedzi na koniu i mieczem odcina kawał swojej szaty dla biedaka. Pod rzeźbą przystaje mama z synkiem.

– Czy on odrąbuje mu tym mieczem głowę? – pyta chłopiec. Pytanie trafne, bo koniec marcinowego miecza sięga szyi biedaka.

Według tradycji kościół w VI wieku zbudował tu irlandzki pielgrzym, a potem biskup Lukki św Fredian. Legenda przypisuje mu różne cuda np. kiedy mieszkańcy rozpaczali, że wylewy rzeki Serchio niszczą im domy i uprawy, Fredian chwycił grabie i wytyczył nowe koryto, a rzeka grzecznie nim popłynęła.

Labirynt i bazylika z mozaiką

W kościele świętych Jana i Reparaty podziwiamy wystawę zdjęć i strojów rozmaitych konfraterni, a w podziemiach – labirynt fundamentów, który pokazuje imponującą historię tego miejsca. Są tu fragmenty: mozaikowej posadzki rzymskiego domus z II w. p.n.e., murów, posadzek i kanałów do transportu wody kompleksu termalnego tuż sprzed początku naszej ery oraz fundamenty chrześcijańskiej budowli z IV w. – kościół, wtedy tylko pod wezwaniem św. Reparaty, był pierwszą katedrą Lukki. Św. Marcin przejął tę rolę w VIII wieku.

To jedno z moich ulubionych miejsc w Lukce – lubię ten kościół za skomplikowaną architekturę, która jest rezultatem dobudówek w różnych epokach – trzy nawy, oddzielone od półkolistej apsydy nawą poprzeczną, która „otwiera się" od północnej strony na baptysterium dobudowane pod koniec XIV w. i na wieżę, z której rozciąga się wspaniały widok na miasta i Alpy Apuańskie (które Alpami nie są). Najbardziej niezwykła w baptysterium jest 30-metrowa ośmiokątna kopuła.

Święty Fredian też ma tu swój kościół (od 1957 r. to bazylika) z mozaiką na górze głównej fasady, która przedstawia Chrystusa na tronie niebieskim i aniołami po bokach. Wpływ sztuki bizantyjskiej jest tu ewidentny.

Bazylika dostarcza tysiąca powodów do estetycznego zachwytu, jednym z nich jest kaplica św. Augustyna, której ściany i sufit pokrywają freski z początku XVI wieku, ze scenami biblijnymi i z życia św. Augustyna i św. Frediana – w tym oczywiście okiełznanie rzeki Serchio.

Puccini i wojownicze żółwie Ninja

Przewodniki polecają wizytę w domu-muzeum kompozytora Giacomo Pucciniego (1858-1924), który się w Lukce urodził. W ostatnich latach starannie go zrekonstruowano. Przywrócono oryginalny układ pomieszczeń, odbudowano jedną z zawalonych ścian, odsłonięto wzory roślinne i geometryczne z początku XX wieku, które kiedyś bezmyślnie zamalowano białą farbą. Główny eksponat to fortepian, na którym Puccini skomponował swoją ostatnią operę „Turandot". Muzeum zapewnia, że dopiero teraz turyści mogą naprawdę poczuć, jak wyglądał dom rodzinny Puccinich.

My jednak, z (nieprzesadnym) poczuciem winy kierujemy się do Palazzo Guinigi, w którego wieży pod koniec października otwarto wystawę grafik artystów „dziewiątej sztuki", czyli komiksu. To zapowiedź Festiwalu Komiksów i Gier, który rozpocznie się tu za kilka dni.

Setki oryginalnych plansz „Wojowniczych żółwi Ninja", grafiki z hiszpańskich i południowoamerykańskich komiksów westernowych z popularnej we Włoszech serii „Tex", plansze i okładki serii sf „Eternauta", zapoczątkowanej niemal siedem dekad temu przez pionierów argentyńskiego komiksu Héctora Germána Oesterhelda i Francisco Solano Lópeza, a współcześnie przetłumaczonej na znakomity serial Netfliksa, a także plansze rysunków do gier fantasy, takich jak Warhammer Games.

Mnie najbardziej podobają się prace współczesnej włoskiej ilustratorki i autorki komiksów Grazii La Paduli, podejmującej zarówno tematy doniosłe społecznie, jak i osobiste, zmieniającej style, ale niezmiennie tworzącej dzieła piękne.

Wieża Guinigi (ok.45 m) nazwę zawdzięcza XIV-wiecznego rodowi kupców lukkańskich. Na jej szczycie rosną wiekowe dęby, a z tarasu można podziwiać Lukkę i okolicę. Wystarczy wdrapać się po... 230 schodkach. Ale nam już wystarczy wspinaczka na wieżę świętych Jana i Reparaty.

Do Pinokia poza Lukką

W Lukce jest też muzeum narodowe im. Guinigi, a kilkanaście km na pónocny wschód znajduje się Villa Guinigi, w XVI w. letnia rezydencja rodu, a dziś luksusowy hotel.

W ogóle prowincja Lukki usiana jest rezydencjami z czasów świetności tutejszego patrycjatu. Wiele z nich to także luksusowe SPA, z ogrodami i parkami, produkującymi własne wino i oliwę. Najbardziej imponujące to Villa Reale, Villa Mansi i Villa Oliva.

Polecam też wycieczkę do średniowiecznego miasteczka Collodi – 20 minut jazdy od Lukki (choć to już sąsiednia prowincja Pistoia), a w nim wizytę w Parku Pinokia.

Założony w 1956 r. park przypomina labirynt z rzeźbami bohaterów książki Carlo Lorenziniego, znanego jako Carlo Collodi oraz niezwykły plac zabaw z atrakcjami z epoki: jak karuzela na wodzie czy – jak w książce – teatrzyk marionetek, Gospoda pod Czerwonym Rakiem oraz rekin z otwartą paszczą, do której można wejść, przeskakując po drewnianych palach wbitych w wodzie. Trzeba tylko uważać, żeby nie nadziać się na jego wielkie zębiska.

No i jest tu także „dom motyli", z tysiącami wielobarwnych owadów, które można zobaczyć w sezonie wiosennym i letnim.

– Przed covidem mieliśmy 150 tys. odwiedzających rocznie, teraz jest mniej – opowiada Adele Tasselli z Fondazione Nazionale C. Collodi. Spotykamy się przed karuzelą z samochodami wyścigowymi. – Mamy wycieczki szkolne i turystów, głównie z Europy Zachodniej, ale wielu także z Ameryki Południowej.

Kiedyś w Collodi można było zwiedzać XVII-wieczną Villę Garzoni. Jest zamknięta od trzech dekad, a Adele mówi, że wymaga nie tylko gruntownego i kosztownego remontu, ale i wyposażenia, bo poprzedni właściciele całkowicie ją opróżnili. – Moim zdaniem to najpiękniejsza willa w okolicach Lukki – dodaje Adele.

eprasa.pl 4631607220

– Marzymy o tym, żeby ją udostępnić ludziom. Plan remontu jest, brakuje funduszy...

Willę można jednak zobaczyć z zewnątrz i wejść na dziedziniec. Za nią stoi śliczny, czerwony barokowy pałacyk letni. Willa znajduje się w połowie wysokości wzgórza – a nad nią pnie się w górę miasteczko Collodi. Z willi rozciąga się widok na ogród Garzoni w stylu późnego baroku z fontannami, strumieniami, tarasami i grotami pełnymi rzeźb postaci z greckich mitów oraz bardziej współczesnych, wykonujących rozmaite prace gospodarskie. Jest gaj bambusowy i imponujące schody o wielu poziomach i podestach, obramowane masywną balustradą.

A wszędzie unosi się obłędny zapach mirtu, tymianku i cytrusów, bo jak na toskański ogród przystało, są tu i drzewa cytrusowe.

Z Lukki do Florencji, na wschód, jest raptem godzina drogi. Na południe do Pizy, zaledwie pół godziny. Ja polecam kierunek na północ, do na wpół dzikiej górzystej krainy Garfagnana między Alpami Apuańskimi a Apeninami Toskańsko-Emiliańskimi i jej uroczych miasteczek.

Lokalne władze narzekają, że miejscowi uciekają stąd za pracą, ale dla poszukiwaczy wrażeń estetycznych trudno o lepsze zakątki.

Moim ulubionym jest położone nad dwoma potokami miasteczko Fornovolasco, liczące... 50 mieszkańców. To tylko 45 km od Lukki. O jego uroku stanowią wąskie uliczki i kamienne domy, choć niektóre wymagają renowacji. Kiedyś była tu restauracja, ale w zeszłym roku odkryłem, że została zamknięta.

W Fornovolasco krzyżują się też szlaki pieszych górskich wycieczek. Garfagniana i Fornovolasco są dla tych, którzy mieliby ochotę spróbować innego, wsobnego i nieco dzikiego, oblicza toskańskiego piękna.

Na styku szlaków i kultur

Lukka to nie tylko architektura sięgająca średniowiecza, to też centrum sztuki popularnej. Opowiedzieć o tym mieście, nie wspominając o odbywającym się tu od 1966 r. Festiwalu Komiksów i Gier, byłoby zesłaniem go do skansenu, którym przecież nie jest.

Co roku, przez kilka dni na przełomie października i listopada, senna perła się budzi, jej zabytkowe kościoły zapełniają się wystawami grafik komiksowych, na placach w pawilonach-namiotach dziesiątki autorów podpisują tysiącom fanów swoje książki. Średniowiecznymi uliczkami suną tysiące cosplay przebranych w stroje w stylu STEAMPUNK, bohaterów anime, gier wideo, komiksów czy żołnierzy z Gwiezdnych Wojen. W dostojnych murach dyskutują giganci sztuki komiksu.

W tym roku festiwal odwiedziło 400 tysięcy ludzi. Wydarzeniem było spotkanie z aktorami serialu „Stranger Things", a jednym z honorowych gości był Luc Besson i jego nowy film „Drakula". Trzy lata temu Tim Burton w Lukce pokazał premierowo pierwszy odcinek serialu „Wednesday" (nakręcił 4 z 8 odc. sezonu 1.).

W tym roku gościem specjalnym była Francja. Plakat tej edycji pt. French kiss (pocałunek dwóch wampirów) zaprojektowała francuska artystka Rébecca Dautremer, która na czas festiwalu urządziła w Palazzo Guinigi atelier i można było oglądać ją przy pracy. W kamienicy stowarzyszenia Banca del Monte di Lucca przy katedrze wystawiono plansze 12 francuskich autorów, ważnych dla historii europejskiego komiksu, począwszy od lat 70.,

Numeren jeden była jednak wystawa „Come un fulmine dal cielo" (Jak grom z nieba) stu oryginalnych plansz komiksów Tetsuo Hary, autora serii „Pięści Gwiazd Północy". Ekspozycję japońskiego mistrza zorganizowano w XIII-wiecznym kościele dei Servi. Kiedyś należał do zakonu Serwitów, czyli sług Maryi, dziś to miejski ośrodek kultury, w którym organizuje się koncerty i wystawy.

Obok ustawionej w absydzie grafiki jednego z wojowników Hary umieszczono trzy szkice męskich postaci XVI-wiecznego florenckiego malarza Baccio Bandinelli, wypożyczone z florenckiej Galerii Uffizi.

• **Miasteczko Collodi w pobliżu Lukki. Na pierwszym planie malownicza willa Garzoni (XVII w.)**

Poprzenio w Kościele Serwitów urządzano m.in. wystawę grafik popularnej we Włoszech serii „Diabolik", pośmiertną ekspozycję plansz wielkiego włoskiego komiksiarza Dino Battagli, a w ub. r artefaktów związanych z 50-leciem gry RPG Dungeons&Dragons (Lochy i Smoki). Teraz w Lukce miała premierę nowa wersja gry, Horrified Dungeons & Dragons.

Dzięki obecnemu dyrektorowi festiwalu, Emanuelowi Vietinie, impreza otworzyła się też na świat fantasy, gry i seriale.

– Chcemy docierać do nowej publiczności, dzięki której sektor kreatywny się odnawia, ale jednocześnie usiłujemy utrzymać więzi z poprzednimi kręgami, dlatego mamy tu i czytelników komiksów, i miłośników gier wideo – mówi mi Vietina w biurze prasowym w centrum Lukki. – Zawsze jednak chodzi o opowiadanie historii, czy to za pomocą starych czy nowych mediów i o to, żeby współczesne mitologie wchodziły w dialog z monumentalnym dziedzictwem Toskanii i Lukki. Wszyscy na tym korzystają: rośnie zainteresowanie dużych firm z sektora kreatywnego, a odwiedzający zacieśniają emocjonalne więzi z miastem. Bo Imira czy Mjolnir z „Thora" możesz umieścić gdziekolwiek, ale tylko w Lukce zrobisz to przed średniowiecznym kościołem.

O powiązaniach z przeszłością mówił też arcybiskup Lukki Paolo Giulietti na spotkaniu poświęconego komiksowi „Francigena. Jedna droga, wiele opowieści". Bo Lukka była ważnym punktem na via Francigena – szlaku, którym pieszo lub na osiołku pielgrzymi z Anglii i Francji wędrowali przez Alpy do grobu św. Piotra i dalej, z Rzymu do Apulii.

–Proponujemy mówić o głębokiej tradycji nowym językiem – językiem komiksu. Może on właśnie popchnie niektórych do podjęcia prawdziwej duchowej pielgrzymki – zastanawiał się hierarcha, dodając, że wydanie komiksu świetnie łączy się z trwającym rokiem jubileuszowym Kościoła i z jego hasłem „Pielgrzymować w nadziei".

Piwowarzy z Niemiec

Bardzo lubię przyjeżdżać do Lukki jesienią, wczesnym rankiem, kiedy dawne mury obronne (4,5 km) okalające jego najstarszą część dopiero wyłaniają się z mgły. Dziś zamieniono je na aleję wysadzaną drzewami i służą spacerowiczom, którzy w dwie godziny mogą tak obejść całe centrum.

Kolory w ogóle są w Lukce ważne, zwłaszcza jesienią. Żółte i brązowe liście na drzewach, toskańskie czerwono-brązowe dachy, które podziwiać można z jednej z kilkudziesięciu wież w mieście. A późnym popołudniem miasto oblewa ciepłe światło, zmiękczające kontury budynków.

Tej październikowej niedzieli to światło zastaje nas w limonaia, czyli ogrodzie cytrusowym przy Palazzo Pfanner, gdzie zaglądamy po kilkugodzinnym zwiedzaniu miasta. Intensywny zapach jałowca i wawrzynu miesza się tu z zapachami gorzkich pomarańczy i cytryn oraz osmantusa – o nazwę tego ostatniego musieliśmy zapytać panią w kasie. Odpoczywamy przy ośmiobocznej fontannie w środku ogrodu, przy której ustawiono rzeźby greckich bogów i bogiń. Tuż obok gaik bambusowy. Całość otoczona bukszpanem.

Ogród i willa są wysepką baroku w średniowiecznej architekturze Lukki. Do pałacu prowadzą szerokie schody, które włoscy kinomani pamiętają z komedii Mario Monicellego „Marchese del Grillo" z 1981 r., a pozostali z „Portretu damy" Jane Campion (1996).

Willę zbudowała w XVII w. rodzina patrycjuszy-kupców lukkańskich Morriconi, ale w połowie XIX nabyli ją Pfannerowie – browarnicy z Bawarii i nadal są jej właścicielami. Między ogrodem a pałacem do 1929 r. działał browar – pierwszy w Księstwie Lukkańskim – specjalnie na życzenie Karola Ludwika Burbońskiego, księcia Lukki, który chciał, żeby to niemieccy producenci uruchomili w mieście piwny biznes.

Turysta z Polski zwraca uwagę na serię reprodukcji akwafort przedstawiających „Wjazd polskiego ambasadora do Rzymu w 1633 roku" autorstwa Stefano della Belli. Tym ambasadorem z wielkim orszakiem – o czym wiemy dzięki rycinie florenckiego artysty – był Jerzy Ossoliński.

Osobliwością jest stała wystawa przyrządów medycznych z końca XIX w., kolekcjonowanych przez doktora Pietro Pfannera, który był burmistrzem Lukki w latach 1920-22. Na pierwszym planie dwa budzące lęk trokary, czyli tuby z ostrym grotem wewnątrz, służące do wydobywania z ciała szkodliwych płynów.

W barokowych wnętrzach pałacu największe wrażenie robią plafony, czyli „przylepione" do sufitu geometryczne obramowania. W rezydencji Pfannerów belki stropu niejako narzuciły kasetonowy charakter sufitu. Wypełnienia pól to dające złudzenie trójwymiarowości malunki znanych już w czasach rzymskich rozet kwiatowych oraz mitologicznych skrzydlatych postaci.

Modliszka i strażniczka pamięci

Barokowe jest też Palazzo Mansi, dawna rezydencja jednego z najważniejszych lokalnych rodów (choć naprawdę wywodzi się on z Moguncji), który w pierwszej połowie XVI wieku zbił fortunę na sprzedaży lukkańskiego jedwabiu w całej Europie. W kolejnych pokoleniach rodziny są dostojnicy, politycy, historycy i nawet jeden arcybiskup, ale najbardziej zapada w pamięć historia Lucìdy, żony o 10 lat starszego Gasparo Mansiego. Legenda głosi, że piękna Lucìda zdradzała męża notorycznie, a na koniec miłosnych igraszek uśmiercała kochanków. Na ścianach pokoi w willach należących do rodu wieszała dziesiątki luster, żeby podziwiać swoją urodę. Zmarła na dżumę w 1649 r. mając niewiele ponad 40 lat. Gasparo, którego kolekcja obrazów włoskich malarzy zdobi ściany Palazzo Mansi, przeżył ją o 35 lat i szybko ponownie się ożenił.

Współczesną przedstawicielką rodu była markiza Laura Mansi, prezeska Stowarzyszenia Lukkańskie Wille i Pałace, autorka eleganckiego albumu „L'arte di vivere a Lucca", czyli „Sztuka życia w Lukce", w którym opisuje historię tutejszych pałaców i rezydencji, dodając – zgodnie z duchem czasów – przepisy dań, które w nich podawanych.

Dzisiaj Palazzo Mansi jest muzeum narodowym. W wytwornych barokowych salach „pobrzmiewa" echo antyku w postaci malarstwa iluzjonistycznego imitującego marmurowe zdobnictwo rzymskich pałaców, z charakterystycznymi łukami i sylwetkami atlantów podtrzymujących architektoniczne fragmenty – w rezydencji Mansich atlant z kosztem obfitości na głowie dźwiga także sufit. Przepychem wyróżniają się alkowy z okryciami haftowanymi żółtym jedwabiem, a najwspanialsze są brukselskie arrasy z jeźdźcami na koniach, scenami polowań i bankietów. Ponoć większą kolekcję arrasów w Europie ma tylko Madryt.

Spotykamy tu dwie dziewczyny z Warszawy. Przyjechały do Toskanii dzień wcześniej, Lukka jest pierwszym miastem, które zwiedzają i są „bardzo pozytywnie zaskoczone", za dwa dni planują Florencję, ale martwią się, że ma padać.

Ja zaś lubię uciekać ze stolicy Toskanii właśnie do Lukki i w jej okolice. Centrum mojego miasta jest całkowicie opanowane przez turystykę w stylu „mordi e fuggi" – ugryź i uciekaj. Przez plac katedralny, via Calzaiuoli czy Ponte Vecchio niemal nie sposób się przedrzeć. W Lukce i okolicach przypominam sobie, jaka piękna jest Toskania. ●

• W cyklu „Poznajmy naszą Europę" opublikowaliśmy już cztery opowieści niemieckie m.in. o Poczdamie i Łużycach. Wszystkie teksty są dostępne na Wyborcza.pl .

Za tydzień cd opowieści włoskich – jak się mieszka w Palermo na Sycylii

1 RP

eprasa.pl 4631607220

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

wyborcza

PRENUMERATA DLA FIRM I INSTYTUCJI na cały rok

Piszemy o tym, co ma znaczenie.

Codzienne rzetelne informacje gospodarcze, polityczne, społeczne i kulturalne z Polski i ze świata. Poradniki, reportaże, podcasty, wybrane teksty naszych europejskich partnerów.

Wybierz pakiet prenumeraty dla Twojej firmy/instytucji na cały rok, zyskasz:

- gwarancję stałej ceny (bez względu na ewentualne podwyżki)
- codzienny dostęp do sprawdzonych informacji
- możliwość wyboru: tradycyjnej papierowej „Wyborczej" i/lub prenumeratę cyfrową Wyborczej i możliwość czytania na dowolnym urządzeniu, także w aplikacji na smartfonie i tablecie

wyborcza.pl/prenumeratagw

eprasa.pl 4631607220

SPOŁECZEŃSTWO

OPIEKUJEMY SIĘ PANAMI ŚWIATA

Rodziny czasem obiecują im, że za jakiś czas zabiorą ich do domu. Oni czekają

Monika Redzisz

Olga, opiekunka: To zetknięcie z cielesnością to był dla mnie kolosalny szok. Ale przez całe życie tyle razy nie usłyszałam, że ktoś mnie kocha, jak przez trzy lata tutaj.

Iwona, pielęgniarka: Rodzina często się dziwi. „Jak to? Mama nigdy nie przeklinała!". Cóż, teraz klnie jak szewc.

Joanna, fizjoterapeutka: Jednego się nauczyłam – nigdy niczego nie przepiszę dzieciom za swojego życia.

Monika, psycholożka: Nie obiecuję im, że będzie lepiej, bo wiadomo, że nie będzie. Mówię raczej: „Będę z tobą, pomogę ci".

Mówi się, że zawsze najważniejsi są ludzie – ich kompetencje, empatia, zaangażowanie. Tak jak w szkole dobrostan naszego dziecka ostatecznie zależy od konkretnych nauczycieli, tak w domu opieki dobrostan seniora zależy od jego opiekunów. Kim są pracownicy polskich DPS-ów i prywatnych domów seniora – ta najbardziej chyba niedoceniana grupa zawodowa? Jakie mają relacje ze swoimi podopiecznymi? Pytam o to pracowniczki domów opieki: opiekunkę medyczną, fizjoterapeutkę, pielęgniarkę i psycholożkę.

Moja ulubiona staruszka

Na obrzeżach 50-tysięcznego miasta w województwie pomorskim stoi biały, jednopiętrowy budynek otoczony ogrodem. To prywatny dom opieki dla 55 seniorów. Koszt: od 7 do 9 tysięcy miesięcznie, w zależności od tego, czy pokój jest jedno, dwu- czy trzyosobowy. Pracowników jest osiemnastu: kucharka, dwie panie sprzątające, dwie pielęgniarki i czternaście opiekunek medycznych. To wciąż za mało, mają zostać zatrudnione jeszcze dwie.

Dom ma bardzo dobre opinie, chętnych do mieszkania jest dużo. Ale nie do pracy.

– Zgłaszają się ludzie, którzy w ogóle się nie nadają do roli opiekuna. Takie chlejusy, szczerze mówiąc. W życiu bym nie oddała swojej mamy w takie ręce – mówi Olga, opiekunka medyczna. – Ale nic dziwnego! Opiekun medyczny to u nas ktoś na najniższym szczeblu w hierarchii. Ludzie uważają, że my jesteśmy tylko od brudnej roboty. Zapominają, że dbamy nie tylko o ciała tych ludzi, ale o umysły również. Zdarzają się rodziny, które nas pochwalą, powiedzą: „Dobrze, że jesteście". Ale są tacy, którzy mówią z pogardą: „Jesteś od tego, żeby pieluchy zmieniać".

Ja nie mam wysokiego ego i nikomu nie muszę nic udowadniać, ale to przykre. Przecież my zajmujemy się ich bliskimi. Od lekarza kiedyś usłyszałam: „Nie uczyłaś się, to masz". I po co takie uwagi? Ten zawód jest strasznie niedoceniany. Zarobki to najniższa krajowa plus dodatki – w sumie mamy jakieś cztery i pół tysiąca na rękę. A muszę powiedzieć, że to najcięższa praca, jaką w życiu wykonywałam. Wcześniej siedziałam przy biurku. Narzekałam, ale dopiero tu zrozumiałam, co to znaczy ciężka praca!

Olga ma 47 lat, ale opiekunką jest dopiero od trzech. Wcześniej pracowała w nieruchomościach.

– Skąd ta zmiana? – dziwię się.

– Potrzebowałam czegoś nowego, a zawsze lubiłam starszych ludzi – mówi. – Ale po pierwszych trzech dniach myślałam, że podziękuję. Przerażająca była dla mnie liczba chorych, alzheimerów, otępień...

Nie wiedziałam, jak podejść, jak karmić; dziewczyny mi pokazywały, bo dopiero potem zrobiłam kurs opiekuna medycznego. To zetknięcie z cielesnością to był dla mnie kolosalny szok. Wcześniej lubiłam z seniorami rozmawiać; tu musiałam ich dotykać: wykąpać seniorkę, przewinąć ją, włożyć szczękę... To nie było przyjemne. Dopiero kiedy nawiązałam z nimi relacje, zaczęłam ich lubić, poczułam, że mogę to robić.

Ta praca ma dużo minusów, ale ma też plusy. Przychodzę rano i słyszę: „Oleńko, co u Ciebie? Cały dzień wczoraj o tobie myślałam!". Od razu się człowiekowi robi ciepło na sercu. Ubieram seniorkę, ona patrzy mi prosto w oczy i mówi: „Ja ciebie tak kocham!". Przez całe życie tyle razy nie usłyszałam, że ktoś mnie kocha, jak przez trzy lata tutaj.

Oczywiście słyszę też co innego. Ale jak ktoś mnie wyzywa, biorę poprawkę na to, że to jest mocno zaawansowany alzheimer i nie ma co się złościć. Trzeba zachować spokój; wiadomo – agresja wywołuje agresję.

Mam słabość do jednej babci, ale jak się wnerwi, to na mnie krzyczy. „Nie możesz na mnie tak krzyczeć, bo twój syn mnie zwolni!" – mówię do niej wtedy. Natychmiast się uspokaja. „Nic się nie martw, nie pozwolę cię zwolnić!" – mówi.

1 RP

eprasa.pl 4631607220

• **Dom Pomocy Społecznej „Kalina" w Lublinie. na ul. Kalinowszczyzna 84 (23.02.2021)**
FOT. JAKUB ORZECHOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Mam na nich sposób. Krótko i zwięźle bym powiedziała: „Robię z siebie wariata". I to się sprawdza. Czasem wystarczy po prostu pożartować. Gadam, co mi ślina na język przyniesie, bo fantazję mam dużą, a oni się śmieją. Ci staruszkowie dają mi dużo radości... Może to źle zabrzmi, ale ja się z nimi dobrze bawię.

Odkryłam, że jedna seniorka jest leniwa, a ja nie przepadam za lenistwem. Zawsze trzeba było ją podnosić, a jest ciężka.

– Pomóż mi wstać! – rozkazywała.

– Nie mogę, jestem w ciąży! – wypaliłam ostatnio, chociaż w moim wieku to już raczej niemożliwe.

– Ojej! To ja sama wstanę!

Chodzi o to, żeby ich mobilizować, więc wymyślam cuda-wianki, żeby sami coś zrobili.

– Kąpiemy ich raz na tydzień, ale codziennie rano przemywamy ich specjalnymi myjkami. Często zmieniamy opatrunki i podkłady, pierzemy pościel i ubrania, więc nie ma nieprzyjemnego zapachu. Zresztą, oni mają też perfumy, dezodoranty, więc często gęsto ładnie pachną.

Nie wszyscy lubią się myć, ale wszystkich można podejść sposobem. Jednej pani mówię: „Córka prosiła! Ona tak się o panią martwi!". No skoro córka, to dobrze. Innej pani robię kanapkę.

Wiem, że to głupio brzmi, jak dla pieska, ale działa. Mówię: „Jak pozwolisz mi się umyć, to ja ci zaraz po kąpieli dam tę kanapkę!".

Na pewno trzeba mieć dużo cierpliwości. Czasem jednocześnie mówi do mnie sześć osób. „Podaj to, przynieś tamto, przyjdź do mnie, podnieś mnie, porozmawiaj ze mną". Ale najważniejsze, żeby pozytywnie, na wesoło. To jest klucz.

Z niektórymi można porozmawiać. Rok temu mieliśmy pana inżyniera, który mnie uczył fizyki! Bo ja niedawno zrobiłam licencjat z fizyki. Chciałam zrobić prezent mojemu tacie, póki go jeszcze mam, bo jemu zawsze bardzo zależało, żebym miała wyższe wykształcenie. Boże, jak się ucieszył! Gdybym wiedziała, że aż tak, to wcześniej bym się postarała.

Czasem zawiązują się tu przyjaźnie. Jak jedna babcia idzie w odwiedziny do domu, druga rozpacza, nie wie, co ma ze sobą zrobić. Są i kłótnie, dochodzi nawet do bójek. Na początku to było dla mnie szokujące, że babcie się biją torbami, ale dziś umiem wkroczyć, zanim się to rozdmucha do ogromnej afery. Czymś je poczęstuję, zmienię temat i za chwilę nie pamiętają, co się wydarzyło.

Nie wiadomo, jak my się będziemy zachowywać na starość.

Wyczerpujące jest na pewno dźwiganie, ale mamy dźwigi wspomagające. Staramy się pilnować tych naszych kręgosłupów, bo szybko można się załatwić, a same musimy sobie potem płacić za rehabilitację.

– Co jest najtrudniejsze w tej pracy? – pytam. – Przewijanie, dźwiganie?

– Najtrudniejsza to jest śmierć – przerywa mi bez wahania. – Pierwszego pacjenta, który odszedł mi na rękach, przeżyłam bardzo. Nikt nas nie uczy, jak się wtedy zachować, co robić, co mówić. Siedziałam przy nim, głaskałam go, trzymałam za rękę, żeby czuł się bezpiecznie. Nie wiem, czy czuł moją obecność; chwytał moją rękę, ale czy robił to świadomie, czy były to tylko skurcze mięśni? Inna seniorka była w pełni świadoma, mózg świetnie funkcjonował, tylko ciało odmówiło posłuszeństwa. „Wiesz, ja umieram" – powiedziała mi. I rzeczywiście, za godzinę już jej nie było.

– Jak sobie z tym radzisz?

– Trochę się z tym oswoiłam przez te trzy lata, staram się zachować pewien dystans, blokować emocje, bo bym zwariowała. Ale są ze trzy osoby, z którymi jestem bardzo związana. Jak odejdą, będę mocno cierpieć. Nie mamy tu żadnej pomocy psychologicznej. Między sobą po prostu rozmawiamy. Czasem któraś się rozpłacze, to dziewczyny przytulą, powiedzą: „Nie martw się, jemu jest już dobrze. Już nie musisz się o niego martwić".

Fachowcy nie są zainteresowani

Kiedy przychodzi taki czas, że ktoś z naszych bliskich musi trafić do domu opieki, w rodzinie wybucha panika. Kto to przeżył, wie, o czym mówię. Pomijając dręczące nas wyrzuty sumienia, że sami nie stanęliśmy na wysokości zadania, pojawia się nagle mnóstwo pytań. Jaki dom wybrać – samorządowy czy komercyjny? Ile to kosztuje? Czym się kierować przy wyborze? Czy długo się czeka? Jak się tam żyje? Czy jeśli nie stać nas na luksusową prywatną placówkę dla milionerów, naszych bliskich czeka piekło, które kojarzymy z reportaży, w których zaniedbani seniorzy całymi dniami apatycznie patrzą w telewizor, a jeśli domagają się czegoś więcej, opiekunki przywiązują ich do łóżek?

– Czy stereotypy na temat DPS-ów są wciąż prawdziwe? – pytam prof. Piotra Błędowskiego, ekonomisty, polityka społecznego i gerontologa, który od 30 lat zajmuje się kwestią organizacji i finansowania opieki długoterminowej.

– Zależy, jak na to spojrzeć – mówi. – Ja mam perspektywę sięgającą lat osiemdziesiątych. Wtedy DPS-y nie bez przyczyny miały złą opinię wśród klientów i ich rodzin. Ale po standaryzacji, jaka została wprowadzona w latach dziewięćdziesiątych, sytuacja naprawdę ogromnie się poprawiła.

Większość życia spędziła z partnerem w Afryce. Po powrocie założyli sklep na Mokotowskiej, powodziło im się. Ale potem partner ją zostawił i okradł, ona zachorowała i trafiła do DPS-u

Jacek Kuroń razem z Joanną Staręgą-Piasek, która przygotowywała reformę pomocy społecznej, doprowadzili do kolosalnej zmiany. Nie tylko przez wzrost wynagrodzeń, ale przede wszystkim przez podniesienie znaczenia tej pomocy. Do dzisiaj wszyscy starsi pracownicy z czcią wymawiają ich nazwiska. Niestety, wciąż jeszcze słyszę, że to są „umieralnie". To bardzo krzywdzące określenie i dla tych, którzy tam pracują, i dla tych, którzy decydują się, a czasem są zmuszeni do tego, żeby tam oddać członków swoich rodzin.

Ale jest jeszcze druga perspektywa: porównanie z innymi krajami i zderzenie z naszymi aspiracjami, które są znacznie większe niż 40, a nawet 10 lat temu – ciągnie. – To wymaga podnoszenia standardów placówek, a przede wszystkim tego, żeby pracę tam podejmowali fachowcy wysokiej klasy. Niestety, jest ona wyceniana bardzo źle. Fachowcy, którzy mają lepsze przygotowanie zawodowe, zwykle nie są tym zainteresowani.

Czterdzieści matek i ojców, babć i dziadków

Joanna, fizjoterapeutka, przepracowała 15 lat w samorządowym DPS-ie w Warszawie. Przez lata wyróżniał się on komfortem na tle innych. Dwa piętra, szerokie korytarze, pojedyncze pokoje, ogród. Stu seniorów i pięćdziesięciu pracowników, w tym psycholożka i trzy fizjoterapeutki. Koszt wynosi obecnie około 10 tysięcy złotych miesięcznie, ale senior wpłaca 70 proc. swojego

eprasa.pl 4631607220

dochodu niezależnie od jego wysokości; resztę najczęściej pokrywa gmina.

– Dawniej dobrze się tam pracowało, prawie nikt nie odchodził przed emeryturą – opowiada. – Miałam umowę na stałe, do tego premie, nagrody, pieniądze na pracownika socjalnego, wczasy pod gruszą. 15 lat temu zarabiałam tam dwa razy tyle, ile zarobiłabym w szpitalu.

Mieliśmy salę do rehabilitacji: podwieszki, piłki, pole magnetyczne, ultradźwięki. Dwa-trzy razy w tygodniu prowadziłyśmy gimnastykę ogólną z muzyką. Seniorzy byli w dobrym stanie – na pewno lepszym, niż gdyby zostali w domu i całymi dniami siedzieli przed telewizorem. Nawet osoby mniej sprawne były aktywne. Wychodziłyśmy z nimi na spacery do ogrodu.

Starałyśmy się jak najdłużej utrzymać każdego w dobrej formie. Wiedziałyśmy, że jak ich zaniedbamy, szybciej będą leżeć i pracy będziemy mieć więcej. Zresztą kierowniczka nas pilnowała; w razie czego trzeba było się gęsto tłumaczyć. Poza tym kontrole były non stop.

Proszę sobie wyobrazić, że połowa mieszkańców zamieszkała tam z własnej woli. Czasem to byli ludzie jeszcze dosyć młodzi, zaraz po emeryturze. Najmłodsza pani miała pięćdziesiąt parę lat, ale była po amputacji nogi. Byliśmy trochę jak rodzina. Obchodziliśmy wspólnie wszystkie imieniny, urodziny, kawki, herbatki, wyjazdy, bale. Pamiętam bal, na który dyrektor sprowadził alpaki!

Ale kilka lat temu zmieniła się polityka miasta i zaczęto do nas zwozić osoby w kryzysie bezdomności. Pamiętam pana, który mieszkał w studzienkach; jeszcze przez kilka miesięcy spał na łóżku skulony w pozycji embrionalnej. Inny mieszkał w polonezie, jeszcze inny – w namiocie.

Byli bardzo zadowoleni z DPS-u – tu mieli łóżko, jedzenie, pranie, lekarza, terapeutów zajęciowych, świetlicę z telewizją, towarzystwo, wycieczki. Natomiast starym mieszkańcom to się nie podobało. Zaczęły się zgrzyty. Nagle połowa mieszkańców miała problem z alkoholem, bo regulamin DPS-u nie zabrania spożywania alkoholu; chodzili do sklepu i sobie kupowali. My, pracownicy, też nie byliśmy na to przygotowani.

Podczas rehabilitacji zawsze dużo rozmawialiśmy. Wiedziałam o nich wszystko. Pamiętam panią, która większość życia spędziła z partnerem w Afryce. Po powrocie założyli sklep na Mokotowskiej, powodziło im się. Ale potem partner ją zostawił i okradł, ona zachorowała i trafiła do DPS-u.

Jeden pan był „żołnierzem wyklętym" i tylko to się dla niego liczyło. Dopiero po jego śmierci dowiedziałam się, że miał dwóch synów; nigdy o nich nie wspomniał i nigdy go nie odwiedzili. Jednego się nauczyłam: nigdy niczego nie przepiszę dzieciom za swojego życia. Pamiętam matkę pięciorga dzieci; żadne z nich nie miało czasu się nią zająć, jak już dostali spadek.

Nasłuchałam się tych historii... To było bardzo obciążające, a ja miałam swoje kłopoty i żadnego ujścia. Byłam coraz bardziej zmęczona. Miałam wrażenie, że mam ze czterdzieści matek i ojców, babć i dziadków. Czułam, że wysysają ze mnie energię. Od lat nie było też żadnych podwyżek. Jedna moja koleżanka fizjoterapeutka zmarła w pandemii, druga wyjechała. Zostałam tam sama na dwa lata; było mi cholernie ciężko. Czekałam tylko, aż dzieci mi podrosną i trzy lata temu odeszłam. Już bym tam nie wróciła.

Jak wybrać dom opieki

• **Ile jest w Polsce domów opieki?** Na koniec 2024 roku funkcjonowały 824 DPS-y (jednostki samorządu terytorialnego, w których pobyt seniora jest współfinansowany ze środków publicznych, dysponujące 80 324 miejscami) i 707 placówek prywatnych (w których koszty pobytu pokrywane są w całości przez seniora i jego bliskich, dysponujące 28 896 miejscami).

• **Czym się kierować przy wyborze?** Podstawą wiarygodności placówki jest rejestr na stronie wojewody, czyli wykaz domów, które są objęte nadzorem i kontrolowane przez inspektorów urzędów wojewódzkich. Jeśli ktoś nie realizuje zaleceń pokontrolnych, podlega karze pieniężnej w wysokości od 500 do 12 000 zł. Nie wszystkie jednak placówki zgłaszają się do rejestru wojewody. Działają jako usługa hotelowa, żeby ominąć wymagające przepisy. Ile ich jest? Nie wiadomo.

• **Jak długo się czeka na miejsce?** Pod koniec zeszłego roku liczba osób oczekujących na umieszczenie w DPS-ie wynosiła 4898 osób, z czego 37 procent nich czekało na miejsce w domu dla osób przewlekle somatycznie chorych. Liczba wolnych miejsc wynosiła wówczas 2001.

• **Ile to kosztuje?** W przypadku placówek samorządowych średni koszt pobytu mieszkańca wynosi 7023,74 zł; najmniej w województwie świętokrzyskim (5081 zł), najwięcej w lubuskim (8151 zł) Corocznie ustala go wójt, burmistrz, prezydent miasta, starosta lub marszałek województwa. Senior wpłaca 70 procent swojego dochodu, resztę pokrywa rodzina lub gmina. Najczęściej ta ostatnia.

• Ze sprawozdania MRPiPS-05 za 2024 rok wynika, że rodzina płaciła za pobyt swoich bliskich w DPS-ie tylko w przypadku 5667 osób z 78 tysięcy mieszkających w polskich DPS. Pobyt pozostałych współfinansowany jest przez gminę. W 2024 roku gminy wydały na to 3 mld 268 mln 410 tys. 455 zł, czyli ponad 3 mld złotych. To duże koszty; nie każda gmina jest w stanie je unieść. Zachodzi ryzyko, że niektóre z nich mogą w związku z tym odwlekać skierowanie seniora do placówki.

DANE Z MINISTERSTWA RODZINY, PRACY I POLITYKI SPOŁECZNEJ

Czy zjedli, czy wypili, czy zrobili kupkę

– Nie ma jednej prawdy na temat domów pomocy społecznej – uważa Magda Jaros, autorka książki „Oddam matkę w dobre ręce. Cała prawda o domach opieki". – Słyszymy zwykle o DPS-ach w kontekście ludzi, którym dzieje się tam krzywda. Temat przemocy, wyjątkowo oburzający zwłaszcza w stosunku do ludzi starszych, bezbronnych, często z demencją, jest medialny.

Nie słyszymy o ludziach, którzy tam mieszkają i czują się na swój sposób szczęśliwi – jeśli odsuniemy na bok tęsknotę za niezależnością i poczucie, że życie im odjeżdża. Spotkałam wielu opiekunów, którzy mimo że są haniebnie wynagradzani, robią tam dobrą robotę – mówi.

W prywatnym domu opieki w województwie świętokrzyskim mieszka 40 seniorów, którymi opiekują się cztery opiekunki i pielęgniarka. Jedzenie dostarcza firma cateringowa. W zależności od długości pobytu, rodzaju diety i rehabilitacji ceny wahają się tu od 5 do 8 tysięcy złotych miesięcznie.

Dzień zaczynają od zabiegów.

– Zmieniam opatrunki, mierzę poziomu cukru, kontroluję cewniki, jakość i ilość stolca – opowiada Iwona, pielęgniarka. – Starsi ludzie mają często problemy z wypróżnieniem, bo leżą, bo za mało piją, bo nie pamiętają, czy byli w toalecie, bo mają dietę wysokobiałkową... Ich trzeba kontrolować tak, jak kontroluje się małe dzieci: czy zjedli, czy wypili, czy zrobili kupkę.

Potem razem z opiekunkami zmieniamy im pieluchy, myjemy pupy, przebieramy w czyste ubrania. Czasem trzeba z nimi walczyć, żeby zechcieli się podnieść. „Nie ruszaj mnie, ty taka owaka!" – krzyczą. I w głowę można zarobić, trzeba uważać... Ale pozycja leżąca jest niebezpieczna, bo płuca, serce inaczej pracują. Lepiej siedzieć, jeśli jeszcze można.

Poza tym tu nie ma podejścia indywidualnego. Jak śniadanie jest o 9, to wszyscy muszą iść i koniec. Jeżeli ktoś naprawdę źle się czuje, to pozwalamy mu zostać w łóżku przez dzień, dwa, ale na trzeci dzień sadza się go na fotel bez względu na fochy.

Podczas posiłków najpierw robimy miksy i karmimy tych, którzy nie potrafią jeść sami. Najgorzej z niejadkami; tym przed jedzeniem podajemy syrop, który zwiększa łaknienie. Wszyscy są zawsze nakarmieni; nie ma tak, że gdy ktoś nie chce jeść, to się go zostawia.

Ale w tym czasie inni się drą: że zupa jest nie taka, żeby kluski mu podrobić, że marchewki nie lubi, że sąsiad łyżką zanurkował w nie swojej zupie. Jak w przedszkolu. Zdarzają się zakrztuszenia, bo starsi ludzie mają zwiotczały przełyk – wtedy wszystkie ręce na pokład...

Kąpiel jest dwa razy w tygodniu i w razie potrzeby. Na mój gust za często – geriatrzy nie polecają częstych kąpieli seniorów, wystarczy raz w tygodniu. Niektórzy mówią, że nie powinna odbywać się w wodzie, tylko w olejach, bo stara skóra, nawet delikatnie dotykana, potrafi zerwać się jak papier. Jestem obecna przy każdej kąpieli, żeby zobaczyć, czy są zmiany skórne, i posmarować specjalnymi środkami. Robimy wszystko, żeby nie dopuścić do odleżyn.

Panie codziennie sprzątają, myją podłogi, ale zapach starego człowieka zawsze będzie się w domach opieki unosił. Mówi się, że najbrudniejsze dziecko jest czystsze od najczystszej babci. Starszym ludziom mocznik przez skórę wychodzi, mają rozszczelnione zwieracze, więc jak oni mają pachnieć?

Seniorzy zachowują się tak, jak się zachowywali dawniej: jeżeli ktoś dominował, wciąż stara się dominować. Walka o władzę trwa do końca... O co można tu walczyć? O miejsce na stołówce. O miejsce blisko telewizora. Czy podgłośnić, czy ściszyć. Który program oglądać. Na szczęście to są często ludzie z demencją i zapominają, że wczoraj kogoś nie lubili i gdzie kto miał według nich siedzieć.

Ale jak taki samiec alfa zadzwoni i opiekunka spóźni się nawet o minutę, jest awantura. A jak się trafi dwóch kogutów w jednym pokoju, to ciągle sobie dokuczają. Mijają się na korytarzu i jeden drugiemu wsadza łokieć pod żebro albo laskę. Kobiety wcale mężczyznom w tym nie ustępują – potrafią i rękę podnieść, jak im coś nie pasuje, i tak samo przeklinają.

Rodzina często się dziwi. „Jak to? Mama nigdy nie przeklinała!". Cóż, teraz klnie jak szewc. Szczególnie osoby leżące – chociaż w ten sposób mogą sobie poużywać. Oczywiście, są też osoby pokorne, uległe, pogodzone z bólem, które dają sobie wszystkie zabiegi przeprowadzić. My tu mamy taki świat w mikroskali.

U nas jest jeszcze jedno dno. Tutaj trafiają często ludzie zamożniejsi, kiedyś na wysokich stanowiskach.

„Opiekujemy się panami świata" – jak to często mówią opiekunki. Teraz ci panowie muszą oddać władzę. I to komu? Opiekunkom, które dostają najniższą krajową!

Nic dziwnego, że im to nie w smak. Opiekunki to bardzo silne osoby, także fizycznie, potrafią tych ludzi nosić na rękach. Wiele z nich wcześniej pracowało w polu, ale demografia się zmieniła, starszych ludzi coraz więcej, więc pokończyły jakieś szkoły i trafiły do nas.

Że są nieszczęśliwi? Nie zgadzam się. Ja widzę raczej butę, egoizm i zarozumialstwo. Oni są na ostatniej prostej i naprawdę nie mają już nic do stracenia: pracy, emerytury, domu, reputacji. Więc mają wywalone, nie szanują niczego i nikogo. Już się nie krępują, nie przepraszają, nie mitygują. Idą po swoje. Wiem, że to, co mówię, może się wydawać bezduszne. Powiem pani, że jak byłam młodsza, wszystkich szanowałam, pomagałam każdemu i spełniałam jego oczekiwania. Ale teraz mam już tego dosyć.

Medycyna przedłuża im życie, ale jego jakość pozostawia wiele do życzenia. Nie chciałabym dożyć takich lat. Tyle by jeszcze chcieli, a już nie mogą. Często mają ochotę na seks, choć czy by potrafili, to wątpię. Ale tęsknią za tym. Panowie potrafią na okrągło gadać: „Jakbym mógł, tobym cię tam...". Panie też. Mówię rano do jednej: „Aniołku, wstajemy!". A ona do mnie: „Nie mów do mnie aniołku, bo ja wcale nie jestem aniołkiem. Jakbyś się koło mnie położyła, tobyś wiedziała...".

Często brakuje im bliskości. Na to, niestety, nie mamy czasu. „Chodź, posiedź tu przy mnie, weź mnie za rękę" – proszą. Siadam na chwilę, ale to nigdy nie jest wystarczające. Dlatego jak są takie dwie osoby, to staramy się sadzać je koło siebie. Potrafią tak przez pół dnia siedzieć, trzymając się za ręce.

Rodziny czasem obiecują im, że za jakiś czas zabiorą ich z powrotem do domu, choć doskonale wiedzą, że to niemożliwe. Ale seniorzy wierzą i czekają.

Zdarza się, że przyjeżdża cała rodzina i w sali gościnnej organizują przyjęcie. Mają ze sobą wszystko: filiżanki, talerzyki, ciasto, owoce. Przywożą babci piękne ubrania i życzą sobie, by była tego dnia elegancka. Więc wkładamy pani, która ma bardzo niewielką ruchomość stawów i przykurcze, tę koronkową bluzeczkę i kaszmirowy sweterek przez głowę. Ubieramy ją jak taką sztywną lalkę. Wciskamy na spuchnięte stopy piękne adidasy bez sznurówek.

Najlepsze dla starszych ludzi są takie śmieszne walonki na suwak, ciepłe i nieuciskające, ale cóż, rodzina chce mieć ładne zdjęcia na pamiątkę. Po przyjęciu musimy jeszcze wszystko to z niej ściągnąć. I znowu ją boli. Czasem słyszymy, jak mówią, że oni to by tak nie mogli się zajmować starszymi ludźmi, bo brzydzą ich odleżyny i pieluchy.

Ale nie mogę powiedzieć, że to są złe rodziny. W końcu zabezpieczają podstawowe potrzeby swoich bliskich. Wiadomo, że mama nie będzie sama błąkała się po osiedlu, nie podpali mieszkania, nie zrobi krzywdy sobie ani innym. Będzie najedzona, czysta, zaopiekowana. Ale zasadniczo to tu życie gaśnie.

To bardzo trudna fizycznie i wyczerpująca praca – mówi. – Personelu jest mało. Wszyscy ci seniorzy potrzebują, żeby ktoś z nimi był cały czas. Choćbyśmy na głowie stawały, nie damy rady wszystkich zaspokoić.

W prywatnych domach zazwyczaj tak jest; są nastawione na zysk, więc pracodawcy idą po linii najmniejszego oporu. Jeśli cho-

wyborcza | MAGAZYN WYBORCZA

REDAKCJA: ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00; **E-mail:** redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;
ZASTĘPCY: Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wieliński;
MAGAZYNY I KULTURA: Agata Żelazowska
MAGAZYN WYBORCZEJ: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Jan Cywiński, Łukasz Grzymisławski, Andrzej Kulasek, Grażyna Żabińska
GRAFICY: Paweł Kapusta, Tomasz Lebioda, Agata Łuszcz, Jakub Piotrowski, Łukasz Rudnikowski;
FOTOEDYCJA: Rafał Szczepankowski
LICENCJE NA TREŚCI: licencje@wyborcza.pl
WYDAWCA: Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11
DRUK: Polska Press
PREZES ZARZĄDU: Mikołaj Chrzan
WICEPREZES ZARZĄDU: Joanna Kwas
Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@wyborcza.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.
IZBA WYDAWCÓW PRASY
NAKŁAD KONTROLOWANY

eprasa.pl 4631607220

dzi o pielęgniarki, to najczęściej nie mają swojej kadry, biorą ludzi na dyżury ze szpitali. Ale z drugiej strony bardzo trudno określić, jaka byłaby optymalna liczba zatrudnionych. Wszystko zależy od dnia – dyżur może być spokojny; może być piekielny. Nawet gdyby zatrudnić dwa razy więcej personelu, to kiedy zdarzy się kumulacja: trzy panie zrobią kupę, pan się zakrztusi, cztery osoby zapukają do drzwi i będzie obiad do rozdania – i tak będzie za mało ludzi.

Przy mnie zjadła cały obiad

W samorządowych DPS-ach personelu jest zwykle więcej, bo określają to przepisy rozporządzenia ministra pracy i polityki społecznej. Wskaźnik zatrudnienia pracowników zespołu terapeutyczno-opiekuńczego musi wynosić nie mniej niż 0,4 na jednego mieszkańca, czyli co najmniej 40 opiekunów na 100 podopiecznych, a w domach dla osób przewlekle chorych, niepełnosprawnych i uzależnionych od alkoholu – nie mniej niż 0,5 na jednego mieszkańca.

Wymaga się także co najmniej dwóch pracowników socjalnych na stu mieszkańców, zapewnienia kontaktu z psychologiem, a w przypadku domów specjalistycznych także z psychiatrą i specjalistą psychoterapii uzależnień. Tyle teoria; w praktyce o pracowników jest coraz trudniej, a ci, którzy jeszcze pracują, coraz częściej skarżą się na wypalenie zawodowe.

Monika Kędra, psycholożka z jednego z samorządowych DPS-ów w Warszawie, stara się wspierać również swoich współpracowników, ale jej głównym zadaniem jest oczywiście pomoc mieszkańcom.

– Bardzo lubię tę pracę. To moja misja – mówi.

Jej podopieczni mają tu zapewnione jednoosobowe pokoje bez łazienki, trzy posiłki dziennie, zajęcia terapeutyczne, trening funkcji poznawczych; jest biblioteka i świetlica, gdzie można pooglądać telewizję. Większość jednak po posiłkach rozchodzi się do swoich pokoi. Bardzo dużo jest osób leżących, zapampersowanych.

– W najgorszej sytuacji psychologicznej są właśnie osoby leżące – opowiada. – Są zaopiekowani na tyle, na ile personel jest w stanie to zrobić, ale są bardzo duże braki. W pawilonie, w którym jest kilkadziesiąt osób, na dyżurze bywa jedna opiekunka. Plus pokojowa. To jak ona ma dać radę? Stara się jak może, ale w praktyce sprowadza się to do tego, że zagląda do każdego trzy razy na dzień, żeby go nakarmić, i cztery razy dziennie zmieni pampersy. Do tego raz na tydzień kąpiel.

Przychodzą do nich natomiast terapeuci zajęciowi, przychodzę ja. Rozmawiamy, wspieramy, dostarczamy prasę i książki, załatwiamy telewizję. Nie obiecuję im, że będzie lepiej, bo wiadomo, że nie będzie. Mówię raczej: „Będę z tobą, pomogę ci". Opracowuję plany wsparcia dla każdego z mieszkańców, wpisuję swoje obserwacje do systemu e-opieki. Raz w miesiącu przychodzi do nas psychiatra; chodzimy razem po pokojach, lekarz zleca odpowiednią farmakoterapię, doradza.

Współpracuję też z rodzinami, czasem pośredniczę w kontaktach, bo relacje bywają bardzo trudne. Historie są bardzo różne. Miałam u nas na przykład 90-letnią seniorkę, której 60-letnia córka jest w DPS-ie dla osób chorych z zaburzeniami psychicznymi, ale po hospitalizacji funkcjonuje normalnie. Postarałam się o przeniesienie jej do córki, żeby mogły być razem.

Ten dom jest pełen mieszkańców, którzy wymagają opieki jeden na jeden. Wczoraj udało mi się nakarmić panią, która nie chciała jeść. Przy mnie zjadła cały obiad, bo poświęciłam jej czas, a opiekunka miała do nakarmienia jeszcze wiele innych osób. Personel sobie nawzajem pomaga, niezależnie od stanowiska.

Opiekunki mają pełne ręce roboty; myślę, że jest ich ze dwa razy za mało. Bywa, że osoby z otępieniami na korytarzu zdejmują pampersy i sikają pod siebie. Są takie specjalne ubrania jak śpioszki zapinane na plecach, ale i te czasem potrafią zdjąć.

Jedna seniorka, mimo że jest sprawna fizycznie, nie chodzi ani na stołówkę, ani do ubikacji. Kiedyś straciła na sedesie przytomność; od tamtej pory nie wychodzi z pokoju. Swoje potrzeby załatwia do pampersa, po czym wzywa opiekunkę, kładzie się i żąda, żeby ją umyto. Nie ma sposobu, żeby jej to wyperswadować.

Inna zadzwoniła raz na telefon alarmowy i powiedziała, że w domu była strzelanina, są ranni, a dyrektor placówki leży nieżywy. Przyjechała grupa antyterrorystów, otoczyli dom, chodzili po pokojach. Pani została zabrana do szpitala psychiatrycznego, skąd szybko uciekła i wróciła do nas. Po kilku dniach zrobiła to samo, ale wtedy przyjechało już tylko dwóch policjantów i zabrali panią skutecznie. Po hospitalizacji wróciła do nas; nie udało się jej umieścić w domu dla osób chorych psychicznie, bo nie było wolnych miejsc.

Jeden z mieszkańców z otępieniem uważał, że jest w pracy, i chciał wrócić do swojego domu. A miał zaświadczenie od lekarza psychiatry o przeciwwskazaniach do samodzielnego opuszczania domu. Kiedy pracownik ochrony próbował go zatrzymać, rzucał się na niego z pięściami...

> Miałam wrażenie, że mam ze czterdzieści matek i ojców, babć i dziadków

Obowiązkowe ubezpieczenie pielęgnacyjne

Czy nam się to podoba, czy nie, wskaźniki demograficzne pokazują, że domy opieki to nasza przyszłość. Społeczeństwo polskie się starzeje. Według narodowego spisu powszechnego z 2021 roku w ciągu 10 lat przybyło prawie 2 miliony osób w wieku 60+. Pod koniec 2022 roku było ich 9,8 mln; z czego około 1,6 mln to osoby 80+. Według prognoz GUS w 2030 roku tych ostatnich będzie w Polsce 2,2 mln, a w 2050 roku – 3,5 miliona.

Ktoś będzie musiał się nimi zająć. Na razie chętnych brakuje i tak będzie, dopóki pensje nie staną się bardziej zachęcające. W czerwcu 2024 roku przyjęto rządowy program dofinansowania wynagrodzeń pracowników DPS-ów – do końca 2027 roku dostają dodatek motywacyjny w wysokości 1000 zł brutto miesięcznie. Ale nie jest to systemowe rozwiązanie problemu.

– Siedzimy na tykającej bombie. Im wcześniej zaczniemy w to inwestować, tym szybciej uda się zapobiec katastrofie – ostrzega prof. Błędowski. – Opiekunowie to niewidzialna, ogromna armia ludzi, dzięki którym tysiące innych mogą egzystować. Ale ponieważ są słabi ekonomicznie, na samej dole hierarchii, to ich głos, nawet jeżeli słyszalny, jest po prostu pomijany.

To prawda, że na organizację i finansowanie opieki długoterminowej potrzebne są ogromne środki. Ale polityka jest sztuką hierarchizacji celów. Jeżeli pewne cele są odsuwane jako zbyt kosztowne, to musimy mieć świadomość, że za 8 czy 12 lat będą kosztowne jeszcze bardziej.

Nasze władze koncentrują się na tym, żeby dotrwać do końca pierwszej kadencji i wygrać kolejne wybory. A mówimy tutaj o działaniach, których realizacja musi przekroczyć 4 lata. To wymaga zawarcia pewnej umowy. Ale jak ma dojść do umowy, skoro nasi politycy ze sobą nie rozmawiają?

Jakie rozwiązanie byłoby według niego sensowne?

– Odkąd 31 lat temu w Niemczech wprowadzono obowiązkowe ubezpieczenie pielęgnacyjne, przeznaczone na finansowanie świadczeń w ramach opieki długoterminowej, czy to w domu, czy w placówkach, jestem zwolennikiem takiego rozwiązania u nas.

Kiedy ministrem zdrowia był Zbigniew Religa, prace nad tą koncepcją były mocno zaawansowane. Ale ówczesny rząd pisowski nie był zainteresowany wprowadzeniem jej w życie. A był doskonały moment: szacowaliśmy, że składka powinna wynosić około 2 procent, i akurat o 2 punkty procentowe została zmniejszona składka na ubezpieczenie rentowe. Czyli można było to zrobić niejako bezboleśnie. Ale ważniejszy był efekt propagandowy...

Kiedy rząd Kaczyńskiego upadł, rząd PO wyszedł z założenia, że wszystkie pomysły pisowskie są złe. Wyraził zgodę na prace nad projektem finansowania opieki długoterminowej, nie przez ubezpieczenia, ale przez budżet. A przecież wiadomo, że budżet nie udźwignąłby takich wydatków. Trwały więc przez osiem lat prace – powstał projekt ustawy o bonie senioralnym, który trafił do szuflady ministra pracy i tam pozostał. Dziś w gruncie rzeczy nie ma żadnej koncepcji całościowej reformy. Nie ma odważnego, który by podjął dyskusję na ten temat.

I znowu wszystko zostanie zrzucone na barki rodziny, która „ma moralny obowiązek sprawowania opieki". ●

REKLAMA
Kraj/34403608

Pomysł na tę książkę jest prosty i genialny: Maciorowski pyta, historycy odpowiadają. Kluczem do sukcesu jest to, że on wie, o co pytać, a oni świetnie znają polskie dzieje. Dzięki temu dostajemy historię Polski żywą, erudycyjną, opartą na najnowszych badaniach, napisaną z polotem i zaskakującą aktualnością. To lektura obowiązkowa dla wszystkich, którzy chcą zrozumieć polskie losy. Można ją śmiało postawić na półce obok dzieł Pawła Jasienicy i Normana Daviesa.

CEZARY ŁAZAREWICZ
reportażysta, pisarz, laureat Nagrody Nike w 2017 r.

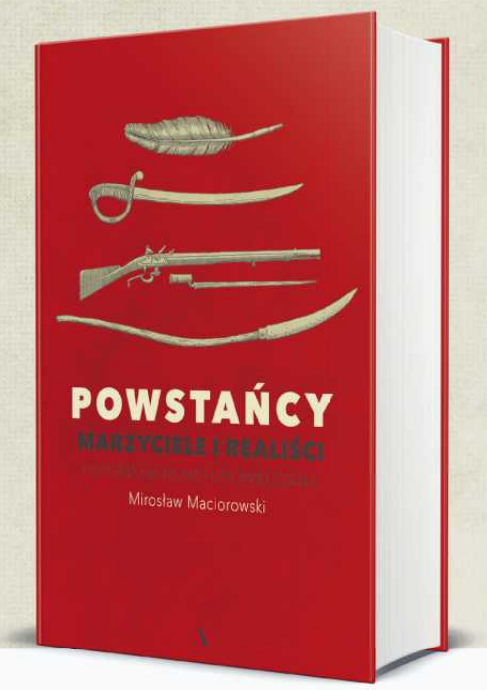

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA KULTURALNY SKLEP.PL WOLISZ EBOOKI/ AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA publio.pl
www.wydawnictwoagora.pl
Wydawnictwo Agora
1 RP

eprasa.pl 4631607220

KOŚCIÓŁ NIE MOŻE BYĆ TEŚCIOWĄ

Kościół, który najcięższą robotę powierza mężczyznom, zachowuje się jak gentleman, a nie jak ktoś, kto kobiety dewaluuje.

Z **KSIĘDZEM KAROLEM GODLEWSKIM**
ROZMAWIA **FRANCISZEK BADZIAK**

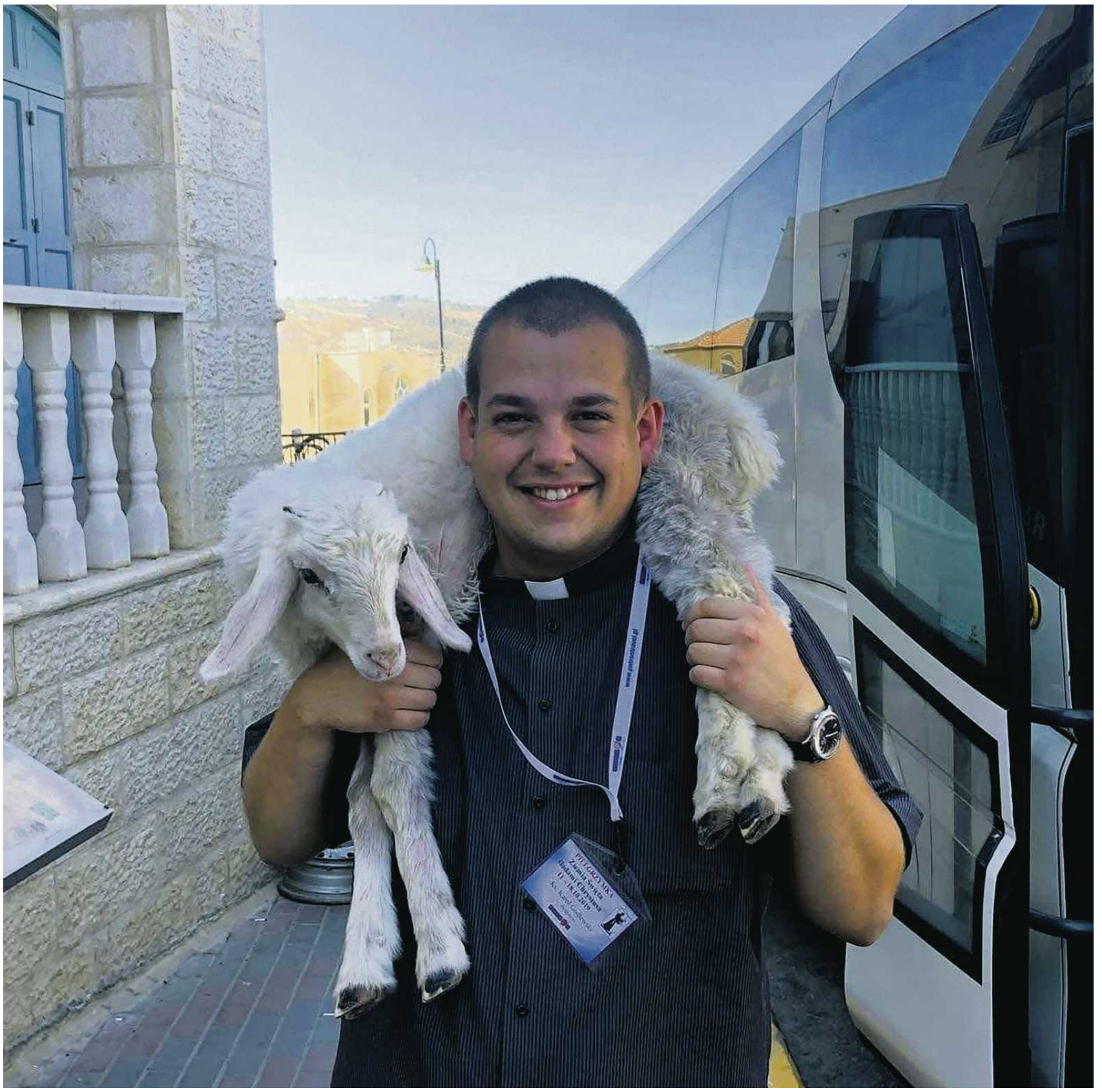

• **Ksiądz Karol Godlewski : Mogę patrzeć na moich kolegów – spełnionych przedsiębiorców, lekarzy, profesorów. Chylę czoła przed ich osiągnięciami. Ale ja wiem, że ja tutaj jestem na swoim miejscu** FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl 4631607220

Co w XXI wieku, gdy tyle jest możliwości realizacji – też duchowej, zawodowej – skłania, by iść do seminarium? O co w ogóle chodzi z tym całym powołaniem?
– Na pewno powołanie to nie jest żaden głos z nieba. Może ktoś tak ma, nie wiem, nie neguję. Ale w moim przypadku to nie był głos z nieba czy wydarzenie nadprzyrodzone, tylko z jednej strony pewna konsekwencja fascynacji wiarą, a z drugiej – zwykłe ludzkie przekonanie. Patrzyłem na bardzo dobrych księży, których znałem, i myślałem: ja tak chcę.

Owszem, w XXI wieku jest mnóstwo innych opcji realizacji zawodowej. Ale ja konkretnie wiem, że ja – personalnie Karol Godlewski – nigdzie nie byłbym tak szczęśliwy, tak spełniony jak na tej drodze. To takie indywidualne przekonanie, że to jest moje. Jak ubranie, jak dom, jak ulubiony przedmiot. Coś, w czym się dobrze czuję. Nikt inny się w moje buty nie zmieści.

Mogę patrzeć na moich kolegów – spełnionych przedsiębiorców, lekarzy, profesorów. Chylę czoła przed ich osiągnięciami. Ale ja wiem, że ja tutaj jestem na swoim miejscu.

Czyli gdybyś mógł znowu podjąć decyzję: być księdzem czy nie, zrobiłbyś to samo?
– Zdecydowanie tak. Jestem święcie przekonany, że gdybym miał podejmować decyzję, podjąłbym ją. Jest takie pytanie przy święceniach diakonów: „Czy chcesz coraz bardziej kochać Chrystusa i Jego Kościół i mu służyć?”. Coraz bardziej.

Jest taka teoria, że najgorliwsi są neoprezbiterzy, klerycy na pierwszym roku, a potem człowiek kapcanieje i gorliwość spada. Ale ja po sobie widzę – mniej jest emocji, mniej hurraoptymizmu, ale mimo swojej ludzkiej słabości wiem, że kocham Kościół coraz bardziej. Jestem coraz bardziej z dnia na dzień, z roku na rok szczęśliwy i przywiązany do tego, czym jestem.

Czy jest coś, czego żałujesz?
Grzechów swoich żałuję. Każda forma mojej niewierności swoim zasadom, nieewangelicznego zachowania – to coś, czego bym drugi raz nie wybrał.

Pamiętam, że zapytałeś mnie kiedyś, czy zazdroszczę czegoś świeckim. W pełni szczerze mogę odpowiedzieć, że nie. Wiadomo, że po ludzku czasami chciałoby się mieć coś, co oni mają – taką bliskość rodzinną, fizyczną. Ale to tylko wyrywek całej rzeczywistości. Widzę, że ja bym się w ich butach nie zmieścił, narobił sobie odcisków. Moje buty to moje buty. I chociaż jeden czy drugi aspekt czasami po ludzku się odzywa jako zwykłe normalne pragnienie, to globalnie, całożyciowo – nie. Niczego nie żałuję, niczego nie zazdroszczę i bardzo się cieszę. I polecam.

Kościół wyraźnie szuka uwagi młodych – nowoczesne schole, programy telewizyjne, social media. Jeden ksiądz założył nawet konto na platformie pornograficznej, by tam wstawiać filmiki o Ewangelii. Dane są brutalne: zaufanie do Kościoła w Polsce spadło z 58 do 35 proc. w ciągu dziewięciu lat. W spisie powszechnym z roku 2011 katolicy stanowili 88 procent populacji, w 2021 już tylko 71. Do czego to doszło, że z taką paniką szukacie uwagi?
– Jest różnica między byciem tam, gdzie są ludzie, a desperackim szukaniem uwagi. Z jednej strony myślę, że to dobrze – my nie jesteśmy dla siebie, tylko dla ludzi. Taki jest cel Kościoła. Nie być tam, gdzie jest idealnie, nie zamykać się w swojej bańce „elitarnie dobrych”. Być tam, gdzie jest życie ludzkie w swojej nieidealności. Ale z drugiej strony – i tu jest kluczowe pytanie – czy jesteśmy sobą, czy próbujemy udawać kogoś innego?

Rozmawiałem niedawno ze starszym księdzem, który latami zajmował się duszpasterstwem powołań. I on się przeraził jakością niektórych klipów czy shorts'ów zapraszających do seminariów. Bo co tam pokazują? Że klerycy piją kawę, grają w piłkę, jeżdżą po kartofle, które na seminarium przekazują rolnicy. I on mówi: „No to naprawdę trzeba poświęcać życie, żyć w celibacie, wyrzekać się wielu rzeczy, żeby grać w piłkę, pić kawę i jeździć po kartofle?”

To nie jest istotą. Istotą jest duchowość, poznawanie Słowa Bożego i teologii, bycie z ludźmi, także chorymi i potrzebującymi. Jeżeli będziemy próbowali konkurować z innymi organizacjami na zasadzie „my też jesteśmy fajni, nowocześni”, to przegramy. I to normalne, że przegramy, bo to nie nasza liga.

Czyli problem jest w tym kompleksie wobec świata?
– Dokładnie. Pamiętam, jak pewien ksiądz kiedyś opowiadał, że spotykając się ze świeckimi znajomymi, miał kompleks, bo jeden tłumaczy, jak mu się dziecko rozwija, drugi – jak dom buduje, trzeci o projektach w pracy. A on nie miał się czym pochwalić. I to jest właśnie ten problem – my czasami myślimy, że musimy być jak świat, żeby być akceptowani.

Ale nasza misja nie jest taka. Te nowoczesne schole czy social media są fajne jako narzędzie. Ale tylko jako narzędzie. Problem zaczyna się, kiedy stajemy się tylko kolejną organizacją pozarządową, która próbuje być na siłę sympatyczna, zamiast mówić to, co mamy unikatowego do powiedzenia i dzielić się tym, czego ci, z którymi chcemy czasami konkurować, nie mają.

Skąd może się brać taka potrzeba przymilania? Przecież Kościół był ostoją polskości w czasach opresji. Może hasło: „Jak trwoga, to do Boga” – jest odpowiedzią? Czy jak jest wolność, to Kościół jest niepotrzebny?
– Trzeba by pewnie pytać socjologów i te osoby, które od Kościoła odchodzą. Ale nie można tego zrzucić na zły świat. Byłoby to dramatyczne uproszczenie powiedzieć, że to dlatego, że jest nagonka, że są afery. Podejrzewam, że w czasach komuny tej nagonki było jeszcze więcej, a wtedy te statystyki kwitły.

Może częściowo to kwestia ateizmu praktycznego – ludzie nie tyle nie wierzą w Boga, co jest im łatwiej żyć, jak gdyby go nie było, bo nie obowiązują ich normy moralne. Może w czasach opresji to był dobry moment na „złapanie” ludzi do Kościoła – każdy motyw jest dobry, żeby przyjść. Jednak to jest w dużej mierze nasze zaniedbanie – ludzi Kościoła.

Moją rolą jako księdza, jako teologa nie jest bić się w cudze piersi i mówić: „to twoja wina, zły świecie, to twoja wina, „Gazeto Wyborcza”, to twoja wina, człowieku, który tak żyjesz, bo ci wygodnie”. Ja mam się bić we własne piersi i patrzeć, co ja mogę zrobić, by ten proces odwrócić. Żeby ludziom pokazać, że jest różnica między byciem wierzącym a niewierzącym i że jest to różnica niepodrabialna, niezastępowalna przez cokolwiek innego.

Zgodziłbyś się z opinią, że Kościół to najstarsza korporacja świata?
– Wiesz, Kościół rzeczywiście pasuje do definicji korporacji. Jednak to trochę jak z kwadratem i prostokątem: każdy kwadrat jest prostokątem, ale nie każdy prostokąt jest kwadratem.

Definicja korporacji mieści się w Kościele, ale Kościół jest nieskończenie szerszy. I myślę, że wiele problemów, z jakimi się w Kościele zmagamy, bierze się właśnie z takiego zredukowania rozumienia Kościoła jedynie do korporacji. A tymczasem Kościół to „wielkie MY”.

Przede wszystkim to My z Bogiem – wspólnota ludzi, którzy uwierzyli, że mogą mieć z Bogiem bliską relację. Po drugie, jest też „My” rozumiane jako wspólnota kościelna – nie jesteś sam na sam z Bogiem. Wszyscy w Kościele, od papieża i prezydentów po anonimową babcię z ostatniej ławki pod chórem, to twoi bracia i siostry.

Nie da się samotnie dążyć do zbawienia. I w końcu jest też „My” wobec świata – Kościół nie jest dla siebie, nie jest gettem ludzi, którzy się izolują lub nawzajem podziwiają. Nie jest enklawą dla tych „porządnych”. Jest po to, by wychodzić do innych i mówić: „Jesteś tu mile widziany, jest tu miejsce dla ciebie”. Te trzy „My” oraz świadomość pochodzenia i misji odróżnia Kościół od korporacji. Wiem, że brzmi to trochę jak nowoczesne hasła marketingowe, ale kiedy się w to w pełni uwierzy, to coś więcej.

To poruszając marketing – po co w dzisiejszych czasach młodej osobie Kościół? Wiele potrzeb tradycyjnie spełnianych przez Kościół znajduje teraz ujście gdzie indziej...
– Tak, ale życie człowieka ma być nieskończone. Każda inna forma tego życia jest niegodna człowieka. Jesteśmy tak wybitnym stworzeniem, że jedyne, co jest w stanie nas nasycić, to coś wiecznego, nieskończonego.

Młodemu człowiekowi wiele organizacji jest w stanie zapewnić ciekawszy sposób spędzania wolnego czasu – wyjazdy, hobby, rozwijanie zainteresowań. My nie chcemy z tym konkurować. My mamy coś zupełnie innego.

Problem w tym, że to „coś innego” z zewnątrz wygląda czasami jak grób.

Jak grób?
– Dosłownie. Jak ktoś patrzy na chrześcijaństwo z zewnątrz, to widzi smutnych ludzi, zakazy, nakazy, obowiązki, umartwienia, posty, rozciągane śpiewy, modlitwy. Grób. Takie uśmiercanie się za życia.

Ale kiedy wejdziesz do środka, widzisz, że to owszem, grób, ale pusty. I nie jest to miejsce śmierci, tylko prawdziwego życia, które – jak wierzymy – jest wieczne. Tylko tam trzeba wejść. I rzeczywiście dać się poprowadzić do spotkania z czymś więcej niż organizacja pod nazwą „Kościół”. Tu tkwi „unikatowość” Kościoła na tle propozycji świata.

Ale czy młodzi chcą tego „wiecznego życia”? Mamy pokolenie scrollujące TikToka, przeskakujące od bodźca do bodźca. Gdzie tu miejsce na refleksję o „wieczności”?
– Pewnie trzeba by pytać psychologa o mechanizmy dopaminy. Ale jeżeli wiemy, że ktoś ciągle scrolluje, to niech między tymi głupotami, znajdzie jakąś dobrą treść, jakąś iskierkę. To już będzie coś. Jestem święcie przekonany, że skoro człowiek jest teraz przestresowany i dostaje mnóstwo bodźców, które go ciągną w swoją stronę, to my w tym świecie bodźców musimy być. Nie ma innej opcji. Mamy wysyłać impulsy ku dobremu. Jak to robić kompetentnie? Niech mówią specjaliści. Ja jestem przekonany, że po prostu musimy tam być, z nimi.

To jeszcze jedno pytanie: czy Kościół w ogóle jest potrzebny do wiary?
– Myślę, że można próbować wierzyć bez Kościoła, ale na dłuższą metę to się nie udaje. Wiara z natury jest relacją – nie tylko z Bogiem, ale też z ludźmi. Jeśli zostaje tylko prywatnym przeżyciem, to zaczynasz się kręcić wokół samego siebie. Wtedy łatwo pomylić wiarę z duchowym komfortem albo poczuciem „że jestem dobry”.

Człowiek dojrzewa w relacjach. Sam ze sobą, w czterech ścianach, można długo wierzyć we własną wersję dobra – ale dopiero inni ludzie weryfikują, czy to miłość, czy tylko iluzja. W tym sensie Kościół jest potrzebny nie jako instytucja, ale jako miejsce spotkania, gdzie wiara ma szansę się urealnić.

To trochę jak z wodą – ona jest w powietrzu, w parze, we wszystkim wokół. Ale żeby się napić, potrzebujesz jej w konkretnej postaci, w butelce czy w szklance. Z Bogiem jest podobnie: jest wszędzie, ale daje się spotkać w czymś bardzo konkretnym – w Słowie, liturgii, w drugim człowieku, we wspólnocie.

A jeśli ktoś po prostu nie potrzebuje wspólnoty? Wierzy sobie po cichu, nikomu nie szkodzi, obiektywnie spełnia wszystkie przykazania...
– Na początku to bywa wystarczające. Człowiek może się zachwycić, przeżyć coś głęboko samemu – i to jest dobre. Ale żeby ten zachwyt nie zgasł, potrzebni są inni. Bo razem idzie się dalej.
Papież Franciszek powiedział, że wiara dojrzewa w dwóch krokach: najpierw „od uszu do serca”, czyli kiedy się zachwycamy i zaczynamy słuchać; a potem „od serca do rąk” – kiedy to, w co wierzymy, zaczyna się przekładać na codzienne decyzje.
Jeśli zostaniemy tylko na pierwszym etapie, przy emocji, to szybko się wypali. A jeśli pominiemy zachwyt i zostanie tylko moralność – też wyschnie. Wspólnota tej wiary pomaga utrzymać jedno i drugie w równowadze.

> Pewien ksiądz mi opowiadał, że spotykając się ze świeckimi znajomymi, miał kompleks – jeden opowiada, jak mu się dziecko rozwija, drugi – jak dom buduje, trzeci o projektach w pracy. A on nie miał się czym pochwalić

Ksiądz Karol Godlewski

• doktor teologii, wykładowca na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, dogmatyk, ekumenista.

eprasa.pl 4631607220

No ale Kościół w młodych powoduje raczej złość, dysonans, frustrację niż poczucie zaufania do wspólnoty. Na przykład bardzo stanowczo księża uczą o rodzinie, małżeństwie, wychowaniu dzieci. Brutalne pytanie się narzuca: Co księża właściwie wiedzą o życiu? Nauczasz o rodzinie, wybierając życie bez zakładania własnej.
– *(śmiech)* Najprościej byłoby powiedzieć starym przysłowiem: nie trzeba chorować na serce, żeby być kardiologiem.

Po pierwsze – ja wyszedłem z jakiejś rodziny, więc nie jestem wykorzeniony przez celibat. Po drugie – staram się być z ludźmi, którzy żyją w rodzinach. Mam pewnie nawet szerszą gamę doświadczeń, bo widzę rodziny różne i rozmawiam z rodzinami różnymi.

W Lublinie, w parafii, gdzie mieszkam, jest pani, która ma dwanaścioro dzieci i już sześćdziesięcioro wnuków. Ale mamy też rodziny, które się rozpadają, kłócą, wyniszczają wręcz wzajemną nienawiścią. Więc mam pewien ogląd, pewną syntezę.

Ale to dalej teoria...
– Byłbym skrajnie głupi, gdybym uważał, że mając doktorat z teologii, jestem ekspertem, który jest w stanie przewidzieć wszystkie rozwiązania i na każdy życiowy dylemat udzielić odpowiedzi. Nie jestem.

I dlatego odpowiedzią jest to, o czym papież Franciszek mówił: synodalność, bycie razem. Jeżeli będziemy razem – duchowni i świeccy – i będziemy razem brali odpowiedzialność za Kościół, nie będzie problemu, że są tylko księża, którzy uczą, i świeccy, którzy są uczeni. Bo to jest faktycznie patologia.

Są dziedziny, jak życie rodzinne, gdzie ja powinienem pobierać naukę od osób w tym żyjących. Jeżeli jesteśmy razem, jeżeli umiemy sobie nawzajem dawać głos, wtedy jest to autentyczne. Nie teatr jednego aktora – ksiądz, który się na wszystkim zna. To bzdura. Każdy robi swoje, każdy wnosi to, do czego jest uposażony.

Zobacz, ile zła się czasem dzieje w rodzinach, gdy dziadków jest „za dużo"? Gdy jest teściowa, która próbuje nową rodziną rządzić i ustawiać młode małżeństwo po swojemu. Duchowieństwo też nie może być taką apodyktyczną teściową, bo efekt jest odwrotny. Nie tyle rządzić, co iść razem, towarzyszyć.

W seminariach macie w ogóle jakieś przedmioty typu psychologia?
– Jest psychologia, jest duszpasterstwo rodzin. Powiem szczerze, w seminarium nie wykładam, więc nie jestem na bieżąco z planem zajęć. Ale pewnie bardziej uczy jedno i drugie – teoria i praktyka. Teorię czasami należy nagiąć, bo domaga się tego życie. Jeżeli jestem też praktykiem, widzę, że teoria albo się sprawdza, albo nie.

Czy Kościół boi się kobiet?
– Nie. Kościół jest kobietą. Po łacinie, po grecku – „eklezja" to rodzaj żeński.

To dlaczego kobiety nie mogą być księdzem, papieżem?
–Dążenie, żeby kobiety były duchownymi, to wyraz tego, że myśmy Kościół potwornie sklerykalizowali. Głównym argumentem jest równouprawnienie – dlaczego kobieta, będąc takim samym człowiekiem jak mężczyzna, nie ma prawa do godności, którą ma mężczyzna?

Jeżeli tak na to patrzymy, trzeba się zastanowić. Problem jest jednak głębszy. W lutym papież Franciszek – już ciężko chory – napisał homilię na święcenia diakonów. Arcybiskup Fisichella ją odczytał i powiedział: „Za chwilę wy przez święcenia zejdziecie w dół ku posłudze". Właśnie: zejdziecie w dół.

My przywykliśmy do myślenia, że święcenia podnoszą nas do góry – jesteś kimś ważniejszym, władzą, hierarchią. Nie! To zejście do roboty. Największą godnością w Kościele jest godność ochrzczonego człowieka. Większej nie ma. To królewska godność. A ci, którzy przyjmują święcenia, przyjmują je do służenia ochrzczonym.

Każda inna perspektywa, która pokazuje święcenia jako wyniesienie do zaszczytów, to potworny klerykalizm. Kościół, który najcięższą robotę powierza mężczyznom, zachowuje się jak gentleman, a nie jak ktoś, kto kobiety dewaluuje.

Czyli to nie kobiety są dyskryminowane, tylko mężczyźni mają najgorszą robotę?
– Dokładnie. Jak ja bym nie śmiał dać mojej mamie ciężkiego kartonu do niesienia, kiedy sam wziąłbym lekką reklamówkę. Nie damy najcięższej, brudnej roboty kobietom, tylko bierzemy ją na siebie. Taka jest teologia.

Papież jak rozpoczyna dokumenty? „Leo Episcopus servus servorum Dei" – Leon Biskup, sługa sług Bożych. Nie jest to najwyższa godność. Jest ochrzczony człowiek, potem diakon, ksiądz, biskup i na samym dnie tej służby jest sługa sług, czyli papież. Taka jest teologia. A że praktyka się z tym czasem rozchodzi, to ludzkie.

No ale czemu odbiera się kobietom możliwość tej ciężkiej pracy? Przecież ona przynosi i satysfakcję, i władzę...
– Jeśli będziemy mieli zdrowe, chrześcijańskie spojrzenie, według którego to, co świat nazywa „władzą", widzimy i przeżywamy jako „służbę", to nie wpadniemy na pomysł, że maskulinizacja tego obszaru Kościoła, jakim są święcenia, jest jakąś formą wykluczenia kobiet. I to nie jest tak, że kochanym paniom, pełnym dobrej woli, zabraniamy się angażować w tę ciężką nieraz posługę.

Chodzi raczej o to, aby nie kreować świata po swojemu, ale poddać się jego Stwórcy. A stwórca Kościoła, Jezus z Nazaretu, do apostolatu związanego ze święceniami powołał mężczyzn, co wcale nie znaczy, że w ten sposób wykluczył z całości apostolatu kobiety: one w nim uczestniczą, ale na swój sposób. Inny, ale nie mniej godny, ważny i potrzebny.

Im mniej będziemy myśleli o Kościele jako o tylko biskupach i księżach, tym bardziej zobaczymy, jak całość Kościoła nie obejdzie się bez kobiet, chociaż nie mają święceń. I jak bardzo posługa wyświęconych będzie uboga i nieprzekonująca, jeśli nie będą iść ramię w ramię z kobietami, jak to czynił Jezus i Dwunastu.

My, nawet jeśli na miejscu Jezusa mielibyśmy chęć urządzić Kościół trochę inaczej, na przykład zapraszając panie do święceń, pozostajemy Kościołem Chrystusowym o tyle, o ile nad swoimi wizjami na ten Kościół stawiamy Jego wizję. I to się tyczy nie tylko kwestii kapłaństwa kobiet, ale także wielu innych spraw czy priorytetów, które u Jezusa, a więc u źródeł, wyglądały i rozkładały się nieco inaczej, a dwa tysiące lat później wyglądają inaczej.

Nie rozgadując się na ten temat, myślę, że wielką pracą domową nam zadaną w tej sprawie jest cały pontyfikat i nauczanie papieża Franciszka.

Niektórzy w Kościele mają pokusy, by ignorować jego nauki, uznawać za „wypadek przy pracy". Jeśli jednak przejmiemy się jego poczynaniami, dostrzeżemy w jego gestach i słowach wyrzuty sumienia dla nas, ludzi Kościoła, wówczas będziemy o potężny krok bliżej w stronę bycia Kościołem w taki sposób, jak tego chciał Jezus, a nie świat.

To dlaczego kobiety w Kościele nie nauczają wiernych? Moje pojęcie zakonnic kończy się na obsłudze Kościoła i księży – nomen omen – od kuchni.
– To nieprawda. Na uczelni mamy mnóstwo pań profesor, sióstr profesor. Najlepszymi katechetkami i wykładowczyniami często są kobiety. Byłem ostatnio na zjeździe teologów fundamentalnych – jeden z najlepszych referatów miała siostra zakonna i ona nas uczyła.

W Rzymie na stanowiskach kierowniczych dykasterii są kobiety. Kobiety nie nauczają w ramach homilii, bo homilia jest czynnością wyświęconego szafarza. Ale to się nie sprowadza tylko do tego, bo nauka w Kościele to nie tylko mszalna homilia.

Życie człowieka ma być nieskończone. Jesteśmy tak wybitnym stworzeniem, że jedyne, co jest w stanie nas nasycić, to coś wiecznego, nieskończonego

To dlaczego kobiety częściej ostatnimi laty stoją przeciwko Kościołowi?
– Jedno drzewo upadające robi więcej hałasu niż sto ładnie rosnących. Kiedy jednak ktoś, jak to nazwałeś, „staje przeciw Kościołowi", zawsze trzeba go uważnie wysłuchać i zobaczyć, jak mogę tak tej osobie, jak i całej wspólnocie pomóc dojść do zdrowia.

A powiedz, jaka jest według Kościoła modelowa rola kobiety?
– Zacznę od poważnej teologii! Bóg, Ojciec, potrzebuje Matki. W Nim jest życie, ale aby to życie mogło się ukazać w przystępnej dla człowieka postaci, musi „dostać ciało" i się narodzić z matki. Tak było, gdy z Maryi narodził się odwieczny Syn Boży, tak jest teraz, kiedy życie Boże „rodzi" Matka Kościół w „uchwytnych" znakach sakramentalnych, jak chleb, wino, olej, woda... Bez tego pierwiastka kobiecego to wszystko, co „pierwiastek męski" ma do zaoferowania, byłoby niemożliwe do uchwycenia. Stąd, Boga pokazuje najpiękniej i najpełniej nie jeden człowiek, nawet najpobożniejszy, ale wspólnota, począwszy od małżeństwa, które jest otwarte na życie. To o wiele piękniejsza ikona Trójcy Świętej, niż jakiekolwiek dzieło sakralnej sztuki.

A jeśli kobieta jest bezpłodna lub nie chce mieć dzieci?
– Czym innym jest „akt", czym innym „postawa". Jeśli małżonkowie nie mogą „zaktualizować" otwartości na dzieci, bo są niepłodni, to wcale nie odbiera im „postawy" gotowości na rodzicielstwo, i nie przestają być tą ikoną Boga.

Jednak nawet kobiety niebędące matkami są niezastąpione. Opis stworzenia człowieka pokazuje symbolicznie Boga, który lepi Ewę z żebra Adama, a miejsce po tym żebrze wypełnia ciałem. Stąd wynika, że aby „męski" pierwiastek w Kościele (ale i w każdej wspólnocie ludzkiej) nie był hardy jak kość, potrzebny jest pierwiastek „żeński", który hardość „żebra" zamienia na delikatność i czułość „ciała". Jan Paweł II nazywał to „geniuszem kobiety". Przy kobiecie nie wypada przeklinać, przy kobiecie się człowiek kulturalnie zachowuje, jest taki łagodniejszy.

Kościół nie uważa kobiet za mniej wartościowe – są bezwzględnie na równi z mężczyznami. Jeśli gdziekolwiek teoria czy praktyka temu przeczy, to nie jest to głos Kościoła, ale po prostu patologia.

To w sprawie kontrowersji muszę zapytać – według twojej obserwacji, skąd stereotyp, że tylu księży jest gejami?
– Przede wszystkim nie redukujmy całej złożonej osoby, także duchownej, tylko do kwestii jej seksualności i nie oceniajmy jej przez ten pryzmat.

Przyznam, że ja się z tym stereotypem nie zgadzam. Owszem, są przypadki księży praktykujących homoseksualizm, ale są też tacy, którzy za tą skłonnością nie podążają. Ale absolutnie nie zgadzam się, że jest to tak liczebnie duży problem. Bywają przecież także problemy ze źle przeżywanym heteroseksualizmem.

Przede wszystkim też, problemem nie jest orientacja seksualna, to rzecz drugoplanowa. Jest nawet dokument podpisany przez Benedykta XVI z 2005 roku, który samej tylko orientacji nie czyni czymś wykluczającym z formacji seminaryjnej czy święceń. Chodzi o bycie człowiekiem zintegrowanym. Jeżeli ktoś jest zintegrowany, będzie sublimował siłę popędu, bez względu na jego wektor, czyli przekształcał ją w coś innego, właściwego powołaniu. Przecież cechy dobrego ojca to cechy dobrego księdza – trzeba się nauczyć przekształcać popęd właśnie w to.

Czyli co to znaczy „zintegrowany"?
– Zintegrowany to znaczy cały – ktoś, w kim ciało, dusza, psychika idą razem w jednym kierunku. Nie że jedno ciągnie przeciwko drugiemu. Tylko są razem.

Benedykt XVI w encyklice „Deus Caritas Est" pięknie to opisał – w każdym mężczyźnie jest powołanie ojcowskie, pragnienie przekazywania życia, które uaktywnia się biologicznie. Ale człowiek zintegrowany tą siłę sublimuje, czyli z siły popędu, który w naturze realizowany jest w sposób dosłowny, fizyczny, czerpie siłę do bycia zaangażowanym i wiernym ojcem duchownym. Jest to inny rodzaj ojcostwa, ale źródło jest to samo. Kwestia orientacji to rzecz do osobistej pracy z kierownikiem duchowym, jeśli trzeba – z psychologiem. Ale to moim zdaniem rzecz drugorzędna.

Przez cały wywiad i zawsze, gdy rozmawiamy na tematy kościelne, mówisz charakterystycznym językiem. Wiele tu aluzji... to charakterystyczne dla księży. To bywa pewnie maską?
– Oczywiście, że bywa. Zdecydowanie się zgadzam i myślę, że jest to problem, że my czasami się za taką maską chowamy.

No to co ty, Karolu, maskujesz?
– *(śmieje się)* Powiem ci, że ja takim językiem mówię, bo to jest naprawdę mój język, ja to kocham, tym żyję, przez taki pryzmat patrzę na świat i tak go rozumiem.

Mam jednak świadomość, że nie każdy ten język rozumie. Dlatego tym bardziej zachwyca mnie piękno różnorodności, zwłaszcza w Kościele: ktoś, jak ja, mówi takim językiem i jest zrozumiały przez osoby już jakoś – wybacz słowo – wtajemniczone, a ktoś, jak wspominani przez nas w rozmowie „katoinfluencerzy", mówi językiem zupełnie innym, który byłby niemile widziany na przykład na wykładach, ale trafia do młodych. Nie można wartościować tych różnych sposobów komunikacji, wszystkie są potrzebne. Kryterium jest tylko jedno: aby nasze słowa niosły Słowo przez wielkie „S". ●

1 RP

eprasa.pl 4631607220

ADAM MICHNIK POLECA

JAK ZOSTAŁEM BANDEROWCEM

FOT. PATRYK OGÓRZAŁEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Ludzie, czy wy macie dobrze w głowie? Ukraińcy walczą o przetrwanie, a wy każecie im się kajać? Teraz, kiedy bronią się przed potęgą, która za swoje zbrodnie nigdy się nie pokajała?

Jerzy Czech*

„Nie mów o Polakach i Ukraińcach,
To pole minowe”
Kazimierz Wierzyński, „Lekcja konwersacji”

Jeden z bohaterów mojej książki „Fenomen pisizmu” poskarżył się na Facebooku, po czym natychmiast rzuciła się na mnie sfora jego znajomych. Spodobał mi się zwłaszcza komentarz: „Bo ten Czech to nie Czech, tylko banderowiec, potomek tych, co negocjatora rozerwali końmi”. Nie wątpię, że po przeczytaniu niniejszego artykułu ów komentator utwierdzi się w swojej opinii.

Od paru lat w życiorysie dopisuję sobie: „tłumacz literatury ukraińskiej”, co nie jest przejawem koniunkturalizmu – już 20 lat temu wprowadzałem sztuki ukraińskie na nasze sceny, a ukrainofilem jestem od przeszło półwiecza.

Wcale nie zawsze nim byłem, jako dziecko i nastolatek traktowałem ten naród podobnie jak inni Polacy. Urodziłem się siedem lat po wojnie, z której wyszliśmy z mnóstwem traum i odpowiednim stosunkiem do innych nacji, na czele z nienawiścią do Niemców. Tym niekiedy przyznawano jakieś zalety, jak solidność czy pracowitość, nigdy za to nie słyszałem dobrego słowa o Ukraińcach.

•

W moich szkolnych latach wiedziało się, że „bandy UPA” w okrutny sposób mordowały Polaków. Opowieści o tym krążyły dość swobodnie, przenikając do zbiorowej podświadomości, która sprawia, że do dzisiaj przypisuje się Ukraińcom także cudze bestialstwa, na przykład własowców i RONA w czasie powstania [warszawskiego].

Trzeba skorygować twierdzenia środowisk kresowych, że ich tragedię przemilczano. Oficjalnie nie mówiono o antypolskiej akcji na Wołyniu; miejscem zbrodni uczyniono Bieszczady, zmieniając je w zastępczy Wołyń. Kręcono filmy, wydawano książki, a już największym przestępstwem UPA miało być zabicie przydzielonego nam przez przyjaciół bohatera narodowego, generała Świerczewskiego.

Choć urzędowo Armii Czerwonej przysługiwała wdzięczność, nie obejmowała ona Ukraińców, którzy przecież wnieśli spory wkład w zwycięstwo nad Hitlerem. Fakt ów nie utkwił w polskiej pamięci i o żołnierzach radzieckich zawsze mówiono „Rosjanie”. Antyukraińskość była jednym z fundamentów PRL-u – zbliżała władzę ludową do ludu i osłabiała dość powszechną niechęć do Moskali. Z tą ostatnią się nie afiszowano, a kto chciał pomstować na Ukraińców, ten się specjalnie nie krępował.

Problemu wszakże nie stanowili. Byli mniejszością unieszkodliwioną, chowali się po kątach i nie przyznawali do pochodzenia; żywego Ukraińca mało kto widział. W stereotypie przeważał nie tyle strach, ile pogarda.

Obserwowałem to podczas wakacji w rodzinnym Krośnie, gdzie pamiętano Ukraińców sprzed wojny i uważano za ludzi prymitywnych, kulturalnie stojących bardzo nisko. Słyszałem tam kiedyś dowcip. Jakie są trzy okresy literatury ukraińskiej? W pierwszym nic nie było. Z drugiego – co było, to zaginęło. A trzeciego jeszcze nie było, ale będzie („szcze ne buło, ałe bude”). Tak kolonizator widzi naród podbity, żeby uzasadnić swoją misję cywilizacyjną.

Poczucie wyższości przetrwało do dziś: uchodźca w naszym mniemaniu powinien być dziadem, a tu przyjeżdża biznesmen, w dodatku wypasioną bryką. Bezczelność!

Przyznaję, że i mnie się to krośnieńskie podejście trochę udzielało – kiedy już jako literat spotykałem się z gośćmi z Ukrainy, zawsze zaskakiwały mnie ich wiedza, oczytanie i bystrość umysłu. Jak gdyby Ukrainiec różniący się od przedwojennego galicyjskiego parobka był dziwem natury.

•

Moje postrzeganie zmieniło się, zanim jeszcze przekroczyłem dwudziestkę. U ojca, okulisty z wałeckiego szpitala, robił specjalizację lekarz Ukrainiec. W Wałczu ich procent był spory, zezwolono nawet na założenie pa-

• **Odsłonięcie pomnika Rzeź Wołyńska autorstwa Andrzeja Pityńskiego w Domostawie przy drodze S19 w kierunku Rzeszowa (14.07.2024)**

1 RP

eprasa.pl 4631607220

rafii grekokatolickiej; sądząc po nazwiskach, miałem w klasie kolegów tej narodowości.

Pan Stefan, nowy asystent ojca, opowiadał czasem, jak w oczach jego rodaków wyglądają nasze wzajemne relacje. Kiedyś ich grupa wracała z wycieczki do Ukrainy. Do autobusu wsiadł wopista i na dźwięk „ukrajińskoji mowy" zareagował ze złością: „Przekroczyliście granicę polską i macie mówić po polsku!".

Tak widziano prawa mniejszości; myślę, że powszechnie – sam słyszałem oficera, który brał udział w akcji „Wisła" i ubolewał, że przesiedlono wtedy ludzi całymi wsiami, a nie pojedynczymi rodzinami. Publicznie tego nie głoszono, ale celem było wynarodowienie.

Podczas studiów miałem okazję się przekonać, czy naprawdę w tamtej kulturze „niczoho ne buło". Pierwsze olśnienie to film „Cienie zapomnianych przodków" Ormianina Paradżanowa, ale ukraiński, według powieści Mychajła Kociubyńskiego, zawierający więcej symbolicznych obrazów i muzyki niż dialogów.

Prawdziwą zaś inicjację ukraińską przeszedłem za sprawą Leona Cierniakowskiego (jego matka była Ukrainką), barwnej postaci poznańskiej polonistyki – wraz z przyjacielem Adamem Neugebauerem i ja słuchałem u niego płyty chóru imienia Weriowki z popularnymi pieśniami, począwszy od „Rewe ta stohne Dnipr szyrokyj" do słów Szewczenki. Obaj się w nich zakochaliśmy i do dziś nam nie przeszło.

Przejmująco brzmiała pieśń „Stepom, stepom szły u bij sołdaty" o wojnie i matce daremnie czekającej na syna. Przejęła nie tylko nas, bo przerobił ją trochę Kazimierz Grześkowiak i w jego wersji była u nas śpiewana; ale to rzecz ukraińska, choć z rosyjskimi „sołdatami". Nie przypuszczałem, że znów nabierze aktualności – matka Rosja mocniej niż synów kocha swoje imperium.

Szewczenko natomiast nie był rosyjski, był antyrosyjski. Przekonaliśmy się o tym, gdy Adam w księgarni zwanej „międzynarodową", a sprzedającej głównie książki rosyjskie, kupił jego „Kobzara". A to, jak się czyta litery i czym się różni alfabet ukraiński od rosyjskiego, wyjaśniła nam pochodząca z Wołynia jego ciotka, Halina Rybicka, u której mieszkał na stancji.

Kiedyś zapytałem panią Halinę o rzeź wołyńską. Odpowiedziała mi wymijająco, dodając z przekąsem: „Myśmy się tam też nieźle zasłużyli... Nie mieliśmy szans, nawet po akcji osiedleńczej było nas parenaście procent". Po raz pierwszy usłyszałem o burzeniu cerkwi i triumfalnych doniesieniach prasy, że „całe wsie przechodzą na katolicyzm".

Pani Halina nie mówiła źle o Ukraińcach, podkreślała, że są dumni i nigdy nie porzucą marzeń o niepodległej ojczyźnie. Mają błękitno-żółty sztandar i hymn narodowy „Szcze ne wmerła Ukrajina"; pamiętała tekst i od niej się go nauczyłem.

Pomyślałem wtedy, że Europa z „samostijną Ukrajiną" podobałaby mi się bardziej niż ta, w której żyłem. Zacząłem kupować (nieliczne!) ukraińskie książki i płyty. Nigdy nie widziałem w księgarni słownika ukraińsko-polskiego (jedyny wyszedł w 1957 roku) i nie bez powodu – w Moskwie ustalono, że Ukraińcy z Polakami mają rozmawiać po rosyjsku.

•

Z chórem Weriowki wiąże się znamienna historia. Jedna z pieśni zaczynała się słowami: „Dobryj weczir, dobryj, pane hospodariu", a kończyła: „Jasen swit zaswitywsia". Wyglądało to na pochwałę sowieckiego ładu – kiedy nastał, zrobiło się jasno. Musiało minąć ćwierć wieku, bym się dowiedział, że to po prostu kolęda, z której cenzura wyrzuciła słowa „Syn Bożyj narodywsia" (włączyłem ją do rodzinnego repertuaru wigilijnego!).

I tak za każdym razem: cokolwiek dotyczyło Ukrainy, okazywało się zakłamane, do prawdy zaś trzeba było długo docierać. Ot, choćby zawłaszczony przez Polskę malarz prymitywista; najpierw wymyślono mu imię Nikifor, potem nazwisko Krynicki. Tymczasem miał swoje – Epifanij Drowniak, i przed wojną znały go lekceważone przez nas ukraińskie kręgi artystyczne. Po wojnie zaś, nim stał się atrakcją turystyczną Krynicy, musiał trzy razy wracać do niej pieszo, bo go tyleż razy stamtąd wywożono.

Jeszcze w podstawówce czytałem o rosyjskim kapitanie Potiebni, który pod hasłem „Za wolność naszą i waszą" walczył w szeregach powstańców styczniowych, zginął w bitwie pod Skałą i w ten sposób uosabiał przyjaźń polsko-rosyjską. Dużo później dowiedziałem się, że Andrij Potebnia był rodowitym Ukraińcem, bratem wybitnego filologa. Co też zresztą nie pasuje do stereotypu, zgodnie z którym ten naród nie ma uczonych, tylko rezunów.

Mieliśmy w Instytucie [Matematyki UAM] kolegę o ukraińskim nazwisku, na co nie zwracaliśmy uwagi, a on nigdy o pochodzeniu nie wspominał. Po latach opowiedział, że został wywieziony spod Leska w Szczecińskie, gdzie żył w bardzo prymitywnych warunkach; przez pierwsze lata – bez ojca siedzącego w syberyjskim łagrze.

Do szkoły poszedł nie we wrześniu, tylko w listopadzie, kiedy ktoś sobie przypomniał, że dzieci powinny się uczyć. Niewiele rozumiał, bo w domu się mówiło po łemkowsku. Kiedy zaś pani kazała coś narysować, nie wiedział, o co chodzi, bo w życiu tego nie robił. Do liceum przyjęto go warunkowo ze względu na zdolności matematyczne. Nie domyślałem się, że miał taki start, bo w instytucie wyróżniał się kulturą i taktem.

W 1943 r. na Wołyniu triumf odniosła głoszona przez endeków zasada egoizmu narodowego. Tyle że akurat nie nasz egoizm zwyciężył. Tak się kończą narodowe egoizmy. Zostają po nich skrwawione ziemie

Wreszcie pro domo sua: już po pięćdziesiątce dowiedziałem się, że mam powinowatego Ukraińca, przy tym nie hetkę-pętelkę, ale klasyka tamtejszego malarstwa Osypa Kuryłasa – kuzyn mego ojca ożenił się z panną Kuryłasówną.

Ona to, już jako wdowa, poprosiła mnie o przetłumaczenie artykułu (pisanego po rosyjsku) o „wujku Józefie", który według niej uważał się za Polaka. W co wątpię, skoro był oficerem Armii Halickiej i zajmował się propagandą, między innymi projektując pocztówki.

Jednak kwestie tożsamościowe są skomplikowane, jeden z braci Szeptyckich był polskim generałem, a drugi stał na czele Cerkwi ukraińskiej; czystej krwi Ukrainką była też druga żona generała Andersa urodzona jako Irena Jarosewycz.

•

Nowa Polska zdecydowanie zmieniła stosunek do Ukraińców. Pierwsi w świecie uznaliśmy ich państwo, zaczęliśmy z nimi rozmawiać, i to w Kijowie, nie w Moskwie, rozwinęliśmy ukrainistykę, zaangażowaliśmy się podczas pomarańczowej rewolucji i popieraliśmy ich przeciw Rosji. Zdawać by się mogło, że zaowocuje to pogłębieniem wiedzy o wspólnej historii. Nic podobnego.

Ilu Polaków wie, że Ukraińcy mieli w armii austriackiej swoje legiony pod nazwą Strzelców Siczowych? Ich szlak bojowy nie skończył się jednak happy endem i właśnie Polska do tego się przyczyniła, niszcząc Zachodnioukraińską Republikę Ludową. Państwo, które w 1918 roku Ukraińcy stworzyli, choć według Dmowskiego jako „naród niepolityczny" nie byli do tego zdolni. Musiało ono mieć stolicę, a we Lwowie dominowali Polacy, kompletnie ignorujący aspiracje polityczne Ukraińców; widzący co najwyżej intrygę Austrii, która chciała miasto oddać „hajdamakom".

Jak wspomina kompozytor Roman Palester („Słuch absolutny", Warszawa–Kraków 2017), tak mówiono we Lwowie o narodzie górującym liczebnie w Galicji Wschodniej. Ofiarnie walczący o Lwów ochotnicy doczekali się odsieczy z Polski centralnej – przeważające siły rozstrzygnęły kwestię przynależności tych terenów na naszą... Niełatwo napisać „korzyść", w tym samym bowiem czasie straciliśmy Zaolzie, gdzie byliśmy większością. No ale tam polscy ziemianie nie mieli majątków.

Przeszło półroczna, zwycięska i fatalna w skutkach wojna z Ukraińcami przesądziła o rezultatach wyprawy kijowskiej. Trudno było się spodziewać, by wiedząc o tym, co spotkało zachodnich rodaków, mieszkańcy centralnej Ukrainy garnęli się masowo do wspólnej z „Lachami" walki przeciw bolszewikom. Mimo wszystko trochę się takich znalazło, jak choćby dywizja Marka Bezruczki, wówczas pułkownika, która wraz z Polakami w sierpniu roku 1920 obroniła Zamość przed osławioną Konarmią – odparcie Budionnego było sprawą absolutnie konieczną.

Żołnierzom ukraińskim „podziękowano" za to podczas rozmów w Rydze, godząc się na ich haniebne internowanie. Zgoda nie była koniecznością, ale jeśli wojnę zaczęto w imię federacji, to już rokowania prowadzili polscy nacjonaliści torpedujący wszystko, co pachniało planami Piłsudskiego.

Generał Bezruczko nie ma swojej ulicy w Zamościu. Tyle w temacie wdzięczności, której brak dziś zarzuca Ukraińcom wielu internautów.

Pokój w Rydze zawarto z bolszewikami, z Ukrainą Zachodnią nie podpisano natomiast nic, a jej inkorporacji europejskie mocarstwa nigdy bez zastrzeżeń nie aprobowały. Pokoju ani bodaj spokoju nie było; galicyjscy Ukraińcy uważali, że żyją pod okupacją, i bojkotowali wybory do polskiego Sejmu. Studiować we własnym języku mogli tajnie albo w Czechosłowacji; z uniwersytetu dla nich nic nie wyszło, a na polskim polikwidowano ukraińskie katedry.

Szkoły ukraińskie z inicjatywy endeków zaczęto zamieniać na dwujęzyczne, a w praktyce – marne polskie. W sumie sytuacja Ukraińców pogorszyła się od czasów Franza Josepha, nawet w Sowietach początkowo mieli lepsze warunki rozwoju kultury narodowej. Stalin to ich „odrodzenie" rozstrzelał, ale najpierw coś tam jednak się musiało odrodzić.

Jeszcze mniej dla nas korzystne niż w Galicji były stosunki narodowościowe na Wołyniu, a warto pamiętać o tamtejszym wojowniczym prawosławiu. Niechęć do kompromisu miała się kiedyś okrutnie na nas zemścić. Ostatecznie nic się nie skończyło, „walka o wolność, gdy się raz zaczyna,/ z krwią ojca spada dziedzictwem na syna".

Przywódca nacjonalistów Jewhen Konowalec był pułkownikiem Strzelców Siczowych, podobnie jak jego następca Andrij Melnyk. Działacze niepodległościowi się zradykalizowali, uznali poprzedników za „miękiszonów" i naturalną rzeczy koleją szukali sojuszników wśród nieprzyjaciół Polski. Gotowi na wszystko uciekali się do terroru, a przecież szli tylko w ślady bojowców Piłsudskiego.

•

Gdy zaraz po anszlusie Krymu zaproszono mnie do radia, w trakcie dyskusji dzwonili starsi słuchacze mieszkający przed wojną na obecnej Ukrainie i zachwycali się, jak zgodnie żyły wtedy oba narody. Sielankę mieli dopiero zakończyć podczas wojny tamtejsi nacjonaliści. Taki obraz panuje w polskiej świadomości do dzisiaj. Pamiętamy rzezie, jakie nam urządzono; nie przyjmujemy do wiadomości tego, co robiliśmy innym i jak byliśmy postrzegani.

Co do kresowej sielanki, to mówiąc po dzisiejszemu, „nie mam takiej wiedzy", mam całkiem inną. Wspomniany Palester pisze o harcerskich wędrówkach i odnotowuje, że we wsiach, gdzie jego lwowska drużyna kupowała żywność, nikt się nigdy do nich nie uśmiechnął ani nie odpowiedział na „dzień dobry". Nie pozdrawiali się też ze skautami ukraińskimi, z którymi sąsiadowali nad rzeką – traktowali się nawzajem jak powietrze.

Mniej więcej wtedy przemierzał te ziemie z harcerzami mój teść, który opowiadał, że nocowali wyłącznie we dworach, gdzie ich ostrzegano, by nie robili tego w ukraińskich wsiach, bo to się może źle skończyć. Jakoś mało polska była ta „Małopolska Wschodnia".

Wszystko blednie przy naszych wyczynach w ramach późniejszych pacyfikacji. Czytałem o publicznej chłoście, której poddawano mężczyzn pośrodku wioski – i narrator wspominał to z dumą! Kobiety też zresztą pacyfikowano.

Poznałem kiedyś, z drugiej ręki, ale od osoby absolutnie wiarygodnej, opowieść kogoś, kto w takiej pacyfikacji brał udział. Żołnierzy rozkwaterowano po chatach, a dowódca rozkazał: każdy ma wyrżnąć gospodarza w gębę, a na noc wziąć do łóżka jego żonę lub córkę, zależnie od gustu. Nie sposób wątpić, że spora część kompanii rozkaz wykonała z ochotą.

Nie był to odosobniony wybryk, skoro inna rozrywka – wieszanie dziewczyn za nogi – doczekała się nazwy: tulipan. No bo spódnica wiszącej opadała, przybierając kształt tego kwiatu, że zaś wiejskie dziewuchy nie nosiły majtek, obrońcy ojczyzny mieli dodatkową atrakcję.

Z tomu opowieści „Straszny gość" Wacława Kostka-Biernackiego, raczej niesłynącego z sympatii do OUN [Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów], wynika, że taki stosunek do miejscowych kobiet był regułą. Co nakładało się na pamięć pańszczyzny i eksploatacji niewolnic przez polskich właścicieli, o czym piszą Jeż i Kraszewski.

W „Strasznym gościu" Polak to wyłącznie obcy – żołdak, policjant, urzędnik. „Tutejszy" mówi o strażnikach (Kostek stacjonował na Wołyniu przed powołaniem Korpusu Ochrony Pogranicza) tak: „Każdego chłopa mieli za bandytę, a każdą babę za posłanie nocne". Gdybym był Ukraińcem, czekałbym tylko na okazję do odwetu. Grunt pod tragedię był przygotowany.

•

Proszę mi nie wmawiać, że usprawiedliwiam rzeź wołyńską. Za samobójczą jednak uważam politykę nacjonalistyczną w kraju, w któ-

eprasa.pl 4631607220

rym tylko dwie trzecie mieszkańców stanowili Polacy. Zgryźliwie dodam, że w roku 1943 triumf odniosła głoszona przez endeków zasada egoizmu narodowego. Tyle że akurat nie nasz egoizm zwyciężył. Tak się kończą narodowe egoizmy i zostają po nich skrwawione ziemie.

Ale oczywiście nawet najgłupsze poczynania Polaków nie usprawiedliwiają zbrodni, której skali i ludobójczego charakteru nie neguję; porównania zaś do piekła nie uważam za przesadę. Nikomu też nie odmawiam prawa do traumy. Nie może natomiast trauma stać się główną sprężyną polityki państwa i nie zgadzam się, żeby decydowały o niej groby.

A tak było od początku. Kiedy zbliżenie polsko-ukraińskie nabierało rumieńców, zaczęto się zastanawiać, jak Polska mogłaby na tym skorzystać. I jedyne, co nam przyszło na myśl, to odbudowa Cmentarza Orląt. Uważano ją za coś, co się nam w oczywisty sposób należy. Tylko Jacek Kuroń się sprzeciwiał, przypominając, czym cmentarz w istocie był – pomnikiem polskiego zwycięstwa, więc się Ukraińcom podobać nie może.

Jeszcze raz odwołam się do Romana Palestra: „Wszyscy, którzy się wtedy bili o Lwów – Polacy i Ukraińcy – powinni byli leżeć na jednym, wspólnym cmentarzu". Nikt poza nim na ten chrześcijański pomysł w chrześcijańskim ponoć narodzie nie wpadł.

•

Dzisiaj znowu groby są najważniejsze, potężny chór unisono domaga się od Ukrainy ekshumacji ofiar. Sam nie wiem, gdzie leżą moi przodkowie ze strony mamy pomordowani przez bolszewików – na rodzinnej Białorusi czy na Sołówkach. I jakoś z tym żyję. Widocznie jednak moja rodzina jest mniej ważna niż wołyńskie.

Rozumiem ich ból (a wcale nie wszyscy oni chcą ekshumacji), mimo to nie będę śpiewał w chórze, niech mi ubliżają od banderowców.

Ludzie, czy wy macie dobrze w głowie? Kiedy sąsiedzi toczą bój o przetrwanie, kiedy na miasta spada deszcz pocisków, zabijając cywilów, kiedy codziennie przybywa okaleczonych, kiedy cmentarze toną w powodzi błękitno-żółtych flag na grobach świeżo poległych, wy chcecie wykopywać kości kilkudziesięciu tysięcy rodaków? I każecie teraz kajać się Ukraińcom walczącym z potęgą, która za swoje zbrodnie, za miliony ofiar nigdy się nie pokajała?

Owszem, w guście obecnej epoki są przeprosiny, na przykład za eksterminację rdzennych mieszkańców USA. Przepraszają, ale kiedy? Sto kilkadziesiąt lat po fakcie, i to w państwie, którego egzystencji od dawna nic nie zagraża. Ukraina takiego luksusu nigdy nie miała!

Trzy i pół roku po fali sympatii i bezinteresownej pomocy udzielonej sąsiadom przetacza się przez Polskę fala powrotna, fala głupoty i podłości. Wraca PRL, postendecja podaje rękę postkomunie i „sojuszniczym stronnictwom", uniwersytet wtóruje maglowi. Dlaczego, co się zmieniło?

Wiosną 2022 roku stałem w tłumie na poznańskim placu Wolności i razem z Ukraińcami wołałem: „Herojam sława!", choć to odzew frakcji banderowskiej. Wszędzie słyszało się „Czerwoną kalinę", a przecież tę piosenkę Strzelców Siczowych śpiewała także UPA.

Czerwono-czarne sztandary powiewały już na Majdanie i nie budziły wówczas histerii. Nagle wszystko zaczęło przeszkadzać. Pół biedy, gdy jedna pani drugiej pani powtarza bzdurę, że Ukraina napadła na Rosję. Ale posłuchajmy politologa, profesora Rafała Chwedoruka, który radzi, jak należy rozmawiać z Ukraińcami: „Chcecie czołgi? Samoloty? To nie ma Szuchewycza, nie ma Bandery. Możecie gloryfikować Chmielnickiego czy kogo chcecie, ale nie ludobójców!" („Przegląd" nr 11/2025).

Już widzę, jak tam burzą pomniki i zmieniają nazwy ulic, tak bardzo pragną naszych czołgów. Zażądajmy jeszcze zmiany herbu, bo nam się źle kojarzy – czytaliśmy „Herosów spod znaku tryzuba" [historyka Edwarda Prusa (1931-2007), którego prace są powszechnie krytykowane przez innych historyków].

•

Bandera, Bandery, Banderze... Jako dziecko słyszałem o banderowcach i myślałem, że to od słowa „banda". Ale i dzisiaj Polacy wiedzą niewiele więcej od ówczesnego chłopczyka z Wałcza.

Stepan Bandera, więziony przed wojną za współudział w zamachu na ministra Pierackiego, założył w 1940 roku „rewolucyjną" frakcję Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów. Na szczycie znalazł się, gdy proklamował niepodległość Ukrainy na początku lipca 1941 roku, po dwóch wszakże tygodniach został przez Niemców aresztowany i prawie do końca wojny przebywał w Sachsenhausen, w baraku dla „prominentów" (później osadzono tam Grota-Roweckiego). Nie odegrał większej roli poza tą, że nie odwołał deklaracji niepodległości.

Decyzję o rzezi podjęli inni, a Bandera był jedynie mitem, refrenem upowskiej piosenki: „Bat'ko nasz Bandera, Ukrajina – maty/ My za Ukrajinu budem wojuwaty". Nie wiadomo, czy zostałby wzięty na sztandary, gdyby nie zaciekła propaganda rosyjska – dzięki niej stał się bohaterem ogólnoukraińskim.

Od Rosji zależy, kogo i co sławi Ukraina. „Nacjonalizm" kojarzy się tam pozytywnie, bo według Rosji nacjonalistą jest każdy Ukrainiec, który nie chce, by jego kraj do niej należał. A termin „banderyzm" (na wzór „hitleryzmu"), którego użył prof. Chwedoruk, od inwazji Krymu propaguje Rosja. Żadnego banderyzmu nie ma, wódz OUN-B nie żywił ambicji teoretycznych, interesowała go tylko skuteczność walki. Chyba że za banderyzm uznamy obronę niepodległości Ukrainy.

Ale co ja tłumaczę Chwedorukowi! Sądzę, że wie, co mówi i do czego mu rosyjska propaganda. A już przeciwstawienie złemu Banderze dobrego Chmielnickiego... Kiepski dowcip, bo to właśnie Chmielnicki oddał kraj w łapy Moskwy – u Szewczenki matka Ukraina mówi, że gdyby wiedziała, co Bohdanek z nią zrobi, toby go udusiła w kołysce. Pod Batohem w 1652 roku kazał wyrżnąć parę tysięcy polskich jeńców, co można uznać za zapowiedź Katynia. Alians zaś kozacko-moskiewski z 1654 roku rozpoczął prawdziwie ludobójczą wojnę z Rzecząpospolitą.

Nieszczęsny Radziwiłł, wzięty w dwa ognie, wolał Szwecję od Moskwy skumplowanej z Chmielnickim, przez co na wieki zyskał miano zdrajcy. Ale lud polski nie wie o tej wojnie, bo Sienkiewicz nie napisał „Tetralogii", tylko „Trylogię", o trzech jedynie wrogach. O czwartym, Moskwie, nie wolno mu było wspomnieć, i ten fałsz wymusiła carska cenzura!

•

Wracamy więc do punktu wyjścia: Rosja stoi na dobrą sprawę za wszystkim, co psuje stosunki polsko-ukraińskie. Za Polski Ludowej wbito nam do głów dychotomię: antyfaszysta Rosjanin – faszysta Ukrainiec, co, jak widać, przetrwało do dziś. A ja nie nabiorę się na to święte oburzenie, na „antyfaszyzm" naszych polityków i publicystów. Ci antyfaszyści jakoś dziwnie patrzą na Wschód: prawym okiem, na Kijów. Lewe zamykają, żeby nie widzieć Moskwy.

Tymczasem ona ze swojego „zwycięstwa nad faszyzmem" uczyniła obłąkańczą religię państwową, którą zatruwa umysły ludzkie niemal od kolebki. I przesłania nią prawdę – imperium, które nie tylko nie wyrzekło się totalitarnej przeszłości, ale ją gloryfikuje i w szybkim tempie do niej powraca. Putinowska Rosja jest ostatnim państwem, które komuś może wytykać faszyzm.

Nic nie poradzę, ewolucyjnie stoję wyżej niż pies Pawłowa i nie kieruję się odruchami warunkowymi. Nie reaguję jak byk na czerwono-czarną płachtę i również od polityków żądam, by widzieli istotę problemu i kierowali się nie odruchami, ale rozumem.

Racjonalna polityka nie wyrzeka się uczuć, uwzględnia jednak hierarchię spraw, bo są sprawy bardziej i mniej ważne. A najważniejsza: jest mocarstwo, które niszczy Ukrainę, a jeśli ją zniszczy, to – za dobrze je znamy, żeby wątpić – podporządkuje sobie i nas.

Niepodległą Ukrainę obserwujemy przez ponad 30 lat i widzimy, że to państwo demokratyczne, któremu obcy jest totalitaryzm. Nie musimy kochać Ukraińców, ale wybór jest oczywisty i wynika nie z sympatii, tylko z interesu narodowego, wręcz z wyrachowania. Ale narodowego, nie interesu partii narodowców.

•

Patrzeć należy nie na barwy i znaki, ale na ich realną i aktualną treść. Kiedy ktoś idzie na śmierć (żadna retoryka, tylko rzeczywistość), to nieprzyzwoitością jest mówić, pod jakim wolno mu ginąć sztandarem, a pod jakim nie. Chyba że idziemy z nim ramię w ramię „wojuwaty za Ukrajinu". Może kiedyś Unia Europejska zakaże czerwono-czarnych flag, ale najpierw musi Ukrainę obronić przed ludobójczą agresją, nie wcześniej.

Zachowałbym zresztą ostrożność, bo po wojnie to już będzie inna flaga, będą nowi bohaterowie. Jeśli jakaś chorągiew, pieśń czy emblemat służą temu, że się Ukraina obroni przed Rosją, to służą i Polsce. Kiedy zawiera się sojusz, to dawniej wrogie sobie sztandary powiewają obok siebie.

W historii to normalka, jesienią 1993 roku w Moskwie widziałem czerwone flagi bolszewickie obok monarchistycznych. Polaków i Ukraińców dzieli morze krwi, różnych mają bohaterów, odmiennie pamiętają historię i tak będzie jeszcze długo. Ale teraz mamy niepowtarzalną szansę zamknąć erę nienawiści i skorzystanie z tej szansy jest obowiązkiem obecnych pokoleń. Kto tego nie chce widzieć, dobrowolnie zapisuje się do piątej kolumny.

U Wyspiańskiego w „Weselu" Wernyhora wręcza Gospodarzowi złoty róg. Nie Polak, tylko właśnie Ukrainiec, i nie jest to przypadek, gdyż kwestia ukraińska w owym czasie nabrzmiewała. Gospodarz przekazuje róg Jaśkowi, ten zaś go w końcu gubi. Czy i tym razem stracimy złoty róg podarowany przez Ukrainę?

Jedno jest pewne: nikt, żaden Jasiek go nie zgubi. Mamy wielu takich, którzy świadomie lub nie pracują nad tym, by pozbyć się rogu i żeby „ostał nam się ino sznur". Bardzo wielu!

Przeklinam ich wszystkich. ●

FOT. RAFAŁ MALKO / AGENCJA WYBORCZA.PL

***Jerzy Czech**

• ur. w 1952 r., tłumacz literatury rosyjskojęzycznej i ukraińskiej, poeta, publicysta. Przekładał m.in.: Okudżawę, Sołżenicyna, Nadieżdę Mandelsztam, Wasilija Grossmana, Akunina i Swietłanę Aleksijewicz. Laureat nagród Gdynia i Angelus.

PRZED ŚWIĘTEM NIEPODLEGŁOŚCI WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Antoni Słonimski

***

Ciemne Łazienki szumią wiosną.
Pośród tych liści młodych szmeru
Posągi budzą się i rosną
I patrzą w okna Belwederu.

Wstał Ares, Pallas dźwiga czoło,
Przykryte wieków rdzą i pleśnią.
Oto zamyka się już koło
Zrodzone z pieśni – nową pieśnią.

Tutaj w tym parku w noc jesienną
Zerwał się wicher i ścichł łkaniem.
Tu w tym pałacu przed świtaniem
Dumałeś nieraz w noc bezsenną.

Tutaj strudzone Twe źrenice
Zasnuła ciemna mgła wieczności,
Gdyś już nasycił błyskawicą
Święty nam wszystkim głód wolności.

W pokoju cisza. Pachnie eter.
Lekarz puls bada. Płacze żona.
A za oknami Persefona
Wita znów matkę swą Demeter.

Antoni Słonimski - pisarz, poeta, felietonista, członek grupy literackiej Skamander - napisał publikowany przez nas wiersz zaraz po śmierci zmarłego 12 maja 1935 r. marszałka Józefa Piłsudskiego, czołowego twórcy polskiej niepodległości. Ukazał się on na pierwszej stronie „Wiadomości Literackich" nr 21 z 26 maja 1935.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl 4631607220

◀ **Wielki pochód narodowy w Warszawie 17 listopada 1918 roku. Manifestanci nieśli sztandary i proporce z wizerunkiem Orła Białego, a także transparenty z hasłami na cześć prezydenta Stanów Zjednoczonych Woodrowa Wilsona**

FOT. ZBIORY BIBLIOTEKI NARODOWEJ

NAGLE POLSKA *oszalała*

Kto najbardziej zasłużył się dla odzyskania niepodległości?

Wszyscy mówią: Legiony, Piłsudski! Ale czy to prawda?

Tomasz Nałęcz

Odpowiedź na pytanie, czyją zasługą było odbudowanie w 1918 roku niepodległej Polski, obrosła w wiele mitów. Tworzyli je politycy chcący zawłaszczyć ten sukces i uczynić z niego argument przemawiający za oddaniem im władzy. Panowało bowiem przekonanie, że najlepiej będzie rządził państwem ten, kto doprowadził do jego odrodzenia.

Wygrał tę propagandową wojnę Józef Piłsudski, który twierdził, że niepodległość wywalczyli dowodzeni przez niego legioniści. Przewagę dało mu sprawowanie najwyższego urzędu Naczelnika Państwa wsparte talentem oratorskim i pisarskim. Po zamachu stanu przeprowadzonym w maju 1926 roku taką politykę historyczną forsowało już całe państwo w edukacji, kulturze, mediach, urzędach, wojsku i gdzie tylko się dało. Legionowy mit wpojono znacznej części społeczeństwa. Okrzepł po 1945 roku, jako alternatywa dla historycznych kłamstw PRL-u.

Ma się dobrze także dzisiaj, choć takiej narracji przeczą elementarne fakty. W świetle profesjonalnych badań nie ulega wątpliwości, że odbudowanie Polski było efektem zwycięstwa państw ententy, czyli Francji, Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych, w czteroletniej wojnie światowej stoczonej z dwoma zaborcami – Niemcami i Austrią. Wojna osłabiła też Rosję, ułatwiając przewrót bolszewicki, który pogrążył to państwo w chaosie i izolacji. Wraz z pogromem zaborców załamał się ład europejski przez kilka pokoleń strzegący nienaruszalności rozbiorów.

W tej epokowej zmianie Legiony nie miały żadnego udziału. Wręcz przeciwnie, walczyły po złej stronie, u boku Niemców i Austriaków. Nieprzypadkowo przecież formację zniszczył, wywołując w 1917 roku kryzys przysięgowy, sam Piłsudski, kiedy zrozumiał, że postawił na złego konia. Bardzo ryzykował, bo mógł za to stanąć przed sądem wojennym i plutonem egzekucyjnym.

Brawura się jednak opłaciła. Trafił wprawdzie za kraty niemieckiego więzienia, ale dzięki temu jesienią 1918 roku otaczała go aureola męczennika, a nie odium bankrutującego sojusznika Berlina i Wiednia. Germanofile znaleźli się na marginesie, a on objął najwyższe urzędy, to jest głowy państwa i naczelnego wodza. Awansowali też jego legionowi podkomendni budujący teraz polską armię.

TYLKO MY SIĘ LICZYMY!

Nowy, powojenny porządek sprzyjał odrodzeniu Polski. Niczego jednak nie dawał za darmo. Stanowił szansę, którą można było wykorzystać albo zmarnować. Nie wszystkie narody wschodniej i środkowej Europy wybiły się na niepodległość, czego najlepszym przykładem byli Ukraińcy.

Polacy wykorzystali koniunkturę w optymalnym wymiarze. Przesądził o tym splot wielu czynników, ale najważniejszy stanowiła dojrzałość i poświęcenie milionów obywateli. Niestety, zbyt często o tym zapominamy,

eprasa.pl 4631607220

koncentrując uwagę na politykach, siłą rzeczy najbardziej widocznych na scenie publicznej.

Tymczasem oni, zwłaszcza w pierwszych tygodniach budowania państwa, nie dawali dobrego przykładu. Zamiast połączyć wysiłki, by maksymalnie wykorzystać niemoc zaborców, dwa największe obozy, socjalistyczno-ludowy i prawicowo-narodowy, skoncentrowały się na zawłaszczeniu całej władzy i zmarginalizowaniu konkurencji. Każdy z rywali twierdził, że to on wyraża wolę Polaków.

Rodzącą się Polską wstrząsnęły aż dwa przewroty. Pierwszego dokonała 7 listopada 1918 roku lewica, tworząc w Lublinie „rząd ludowy” grożący oponentom „wyjęciem spod prawa”. Dwa miesiące później, 5 stycznia 1919 roku, pięknym za nadobne odpłaciła się nacjonalistyczna prawica. Była jeszcze bardziej zaperzona, o czym świadczyły strzały podczas aresztowania ministra spraw wewnętrznych Stanisława Thugutta. Pucz szybko stłumiono, ale pęknięcie utrudniające budowanie państwa pozostało.

W kraju rządził naczelnik Piłsudski i socjalistyczno-ludowy rząd. W Paryżu dzierżył ster lider prawicy Roman Dmowski stojący na czele Komitetu Narodowego Polski uznawanego przez zwycięską ententę za jedyną polską władzę. Na szczęście ci dwaj przywódcy rozumieli, że silne państwo może zbudować tylko całe społeczeństwo, nierozdarte zażartą walką o władzę. Studzili więc emocje i szukali kompromisu.

ROZWAGA DMOWSKIEGO I PIŁSUDSKIEGO

Pierwszy krok wykonał Piłsudski. Zadbał o wyraźne oznaczenie kresu swoich rządów. Już 28 listopada 1918 roku wydał dekret o ordynacji wyborczej do Sejmu, ustanawiając najbardziej demokratyczne zasady głosowania w ówczesnej Europie, w tym równe prawa dla kobiet i mężczyzn. O tym, kto będzie rządził Polską, mieli zadecydować wszyscy obywatele, i to szybko, bo już 26 stycznia 1919 roku.

Aby prawica nie obawiała się manipulacji wyborczych, Piłsudski wymusił na lewicy dymisję rządu i 16 stycznia 1919 roku mianował nowy gabinet na czele z bardzo popularnym w społeczeństwie Ignacym Paderewskim. Zaakceptowały to obydwa rywalizujące obozy, mitygowane przez liderów, z których jeden pozostał głową państwa, a drugi reprezentował je na paryskiej konferencji pokojowej.

W rządzie Paderewskiego znalazło się niewielu partyjnych polityków. Dominowali działacze społeczni sprawdzeni na polu inicjatyw obywatelskich oraz specjaliści świetnie obeznani z dziedzinami zarządzanymi przez ich resorty. Najbardziej znany był sam premier, genialny pianista i kompozytor podziwiany na całym świecie. Zdobytym na scenie majątkiem szczodrze wspierał on różne inicjatywy narodowe. Sfinansował między innymi budowę pomnika Tadeusza Kościuszki w Chicago, a w 1910 roku ufundował Pomnik Grunwaldzki w Krakowie, który stał się celem patriotycznych pielgrzymek ze wszystkich zaborów. Po wybuchu wojny dzięki światowym koneksjom działał na rzecz odnowienia sprawy polskiej. Jego aktywności przypisywano słynne deklaracje prezydenta USA Woodrowa Wilsona mówiące o odbudowaniu niepodległej Polski.

Działaczem społecznym był też Stanisław Wojciechowski kierujący resortem spraw wewnętrznych. Często zastępował on Paderewskiego, który pracował nie tylko w Warszawie, ale także w Paryżu, razem z Dmowskim zabiegając o korzystne granice dla Polski. Wojciechowski nadzorował wybory, a prawość jego charakteru sprawiła, że ich wyniku nie kwestionowała ani lewica, ani prawica.

WIELKA MOBILIZACJA

Społecznikowsko-profesjonalny charakter rządu odwzorowywał sytuację panującą w całym kraju w pionierskim okresie budowania państwa. Swoje cegiełki dokładały do tego dzieła miliony obywateli przekonanych, że odrodzona ojczyzna będzie matką czułą i sprawiedliwą dla wszystkich córek i synów. Dla milionów chłopów, robotników i rzemieślników, ale też tysięcy urzędników, nauczycieli, pracowników służby zdrowia, wymiaru sprawiedliwości i przedstawicieli wolnych zawodów praca na rzecz niepodległości polegała na solidnym wykonywaniu zawodowych obowiązków.

• **Fragment zdjęcia wykonanego 6 sierpnia 1919 roku przed Belwederem w piątą rocznicę wymarszu z Krakowa do Kielc Pierwszej Kompanii Kadrowej. W centrum widać naczelnika państwa Józefa Piłsudskiego, na lewo od niego, stoi tuż za krzesłem naczelnika, Stanisław Wojciechowski, przyszły prezydent RP, następnie Herbert Hoover, przyszły prezydent USA oraz premier Ignacy Jan Paderewski** FOT. ZBIORY MUZEUM NARODOWEGO W WARSZAWIE

Każdy powiat, każde miasto, każda gmina rządziły się same dla siebie, przypadek decydował o tym, kto obejmie władzę. Ile było gmin, tyle było w Polsce republik

JĘDRZEJ MORACZEWSKI

Zadań nie brakowało. Zniszczony wojną kraj wymagał odbudowy i ponownego uruchomienia wielu dziedzin życia. Należało się uporać z powojennym chaosem, bezrobociem, głodem, epidemiami, fatalnym zaopatrzeniem, demoralizacją i zwiększoną przestępczością, migracjami wojennych uchodźców, jeńców i demobilizowanych żołnierzy armii zaborczych. Z artykułów niezbędnych do życia brakowało niemalże wszystkiego poza gorącą wiarą, że najlepszym lekarstwem na wszelkie plagi i niedobory jest własne państwo.

Najaktywniejsze osoby, widząc upadek zaborców, tworzyły lokalne struktury nowej, polskiej władzy. Bez odgórnego polecenia jak grzyby po deszczu pojawiały się różnego rodzaju rady narodowe, rady ludowe, komisje rządzące i komitety obywatelskie.

„Każdy powiat, każde miasto, każda gmina – wspominał premier socjalista Jędrzej Moraczewski – rządziły się same dla siebie, przypadek decydował o tym, kto obejmie władzę. Ile było gmin, tyle było w Polsce republik.”

Jedna z najgłośniejszych powstała 13 października 1918 roku w Zakopanem, a kierował nią ceniony pisarz Stefan Żeromski. „Uważamy się odtąd – deklarowali mieszkańcy Tatr i Podhala – za obywateli wolnej, niepodległej i zjednoczonej Polski. Tej Polsce winniśmy wierność i posłuszeństwo, mienie i krew naszą, nie uznajemy żadnych więzów, tym najświętszym obowiązkom przeciwnych”.

Lawina takiej aktywności przetoczyła się najpierw przez zabór austriacki, później przez okupowany przez Niemców i Austriaków zabór rosyjski, by na końcu dotrzeć do zaboru pruskiego. „Kto tych dni nie przeżył – zanotował Moraczewski – kto nie szalał z radości w tym czasie wraz z całym narodem, ten nie dozna w swym życiu najwyższej radości”.

PAŃSTWO ROSŁO JAK NA DROŻDŻACH

Najbardziej wymiernym świadectwem obywatelskiego uniesienia i gotowości wspierania własnego państwa była frekwencja w wyborach parlamentarnych z 26 stycznia 1919 roku. Mimo propagowania bojkotu przez komunistów krótkiej kampanii, srogiej zimy, trudności komunikacyjnych i ciężkich warunków życia do urn poszło aż 78 procent uprawnionych do głosowania. W ekstremalnie trudnych okolicznościach ustanowiono frekwencyjny rekord, do dzisiaj niepobity, choć wszystkie późniejsze demokratyczne wybory odbywały się w o wiele lepszych warunkach.

Tak zdecydowanie wyrażona wola wielu milionów obywateli uporządkowała i ustabilizowała życie państwowe. Skończyły się próby zawłaszczania władzy, bo partie miały w niej teraz udział proporcjonalny do poparcia udzielonego im w wyborach. Coraz bardziej sprawnie i energicznie funkcjonowała maszyneria państwowa kierowana przez urzędy i osoby niekrępowane już tymczasowością mandatu. Dominującą wcześniej spontaniczność zastąpiło uporządkowane i celowe działanie, co sprzyjało lepszemu wykorzystaniu energii obywatelskiej.

Efekty widoczne były w każdej dziedzinie życia. Najbardziej w tej posiadającej największe znaczenie w kraju dopiero wykuwającym swoje granice, czyli w tworzeniu sił zbrojnych. Armia, która w listopadzie 1918 roku liczyła zaledwie 30 tysięcy żołnierzy, na wiosnę 1919 roku miała ich już 200 tysięcy, a pod koniec 1919 roku aż 600 tysięcy. Całe państwo rosło jak na drożdżach. Dzięki napędzającej go energii obywatelskiej latem 1920 roku gotowe było do odparcia bolszewickiej nawałnicy śmiertelnie zagrażającej istnieniu Polski. Armia zasilona szerokim napływem ochotników wzrosła do blisko miliona żołnierzy i pokonała wroga.

Pełna dojrzałości i poświęcenia obywatelska postawa z lat 1918-21 raz jeszcze potwierdziła, że Polacy w czasach wielkich przełomów potrafią stanąć na wysokości zadania. Znacznie gorzej wyglądało funkcjonowanie II Rzeczypospolitej w warunkach normalności, zresztą nie pierwszy i nie ostatni raz w naszych dziejach. ●

Tomasz Nałęcz – historyk i polityk, emerytowany profesor UW, w latach 2001-05 wicemarszałek Sejmu, doradca prezydenta Bronisława Komorowskiego ds. historii i dziedzictwa narodowego

Powstańcy. Marzyciele i realiści

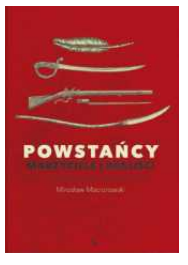

• Rozmowy z prof. Tomaszem Nałęczem o roku 1918, odzyskiwaniu przez Polskę niepodległości i o Józefie Piłsudskim – znajdziecie w książce Mirosława Maciorowskiego „Powstańcy. Marzyciele i realiści. Historia na nowo opowiedziana”, która ukazuje się 12 listopada nakładem wydawnictwa Agora.

Spotkanie premierowe odbędzie się 12 listopada o godz. 18 w Muzeum Powstania Warszawskiego przy ul. Grzybowskiej 79 w Warszawie (Audytorium Jeziorańskiego). Rozmowę z autorem poprowadzi Igor Rakowski-Kłos. Wstęp wolny.

eprasa.pl 4631607220

• **Portret rodziny Severów datowany na 200 rok n.e.. Na górze Septymiusz i jego żona Julia Domna, na dole ich syn Karakalla oraz zamordowany przez niego brat, Geta, z zamazaną twarzą** FOT. ALTES MUSEUM, BERLIN

FAŁSZERZE DZIEJÓW

Historia obfituje w przykłady falsyfikatów, tworzonych, by wywierać wpływ, manipulować i kontrolować.

1 RP

eprasa.pl 4631607220

Joanna Urbanek

Czy zmierzamy w kierunku całkowitego zatarcia granicy między prawdą a fałszem? W serwisach społecznościowych jest ona coraz bardziej płynna, a wiarygodność źródeł coraz trudniejsza do oceny. Jednak od wieków ludzie wykorzystują fałszerstwa, oszustwa i oszczerstwa, aby osiągnąć różnorakie cele – wojenne, polityczne, gospodarcze. Przy czym każda epoka szczególnie chętnie fałszowała to, co ówcześni ludzie uważali za najcenniejsze.

ZAPOMNIANY BRAT CESARZA

W starożytnym Rzymie, w którym honor i pamięć potomnych stanowiły centralną wartość, kara najsurowszego potępienia skazywała nieszczęśników na publiczne zapomnienie (w czasach nowożytnych określone jako *damnatio memoriae*). Ich nazwiska usuwano z dokumentów, testamenty unieważniano, a pomniki burzono.

Przykładem jest historia rodziny Sewerów i ich portret, obecnie w kolekcji Starego Muzeum (niem. Altes Museum) w Berlinie. Przedstawia Septymiusza Sewera, cesarza rzymskiego panującego w latach 193-211 n.e. jego żonę Julię Domnę i ich syna Karakallę oraz tajemniczą postać usuniętą z obrazu.

Septymiusz Sewer chciał, aby jego dwaj synowie: Krakalla i Geta współrządzili cesarstwem. W 212 roku Karakalla zamordował brata i przejął pełnię władzy. Odtąd jakakolwiek wzmianka o Gecie groziła śmiercią, a jego podobizny systematycznie niszczono, posuwając się nawet do wydłubywania ich z pozostających w obiegu monet. Podobny los spotkał małżonkę Karakalli, Plautyllę.

Działania mściwego cesarza okazały się skuteczne tylko na krótką metę – zostały zapamiętane i spisane. *Damnatio memorie* jako praktyka ma się jednak dobrze: w systemach demokratycznych przybiera postać ostracyzmów społecznych i środowiskowych. Reżimy neototalitarne mordują wrogów, usiłując przy tym zatrzeć pamięć o nich – wystarczy wspomnieć zagrożenie, jakie niesie dziś w Rosji mówienie i pisanie o Aleksieju Nawalnym. Pełna kontrola and ludzką pamięcią i wszystkimi kanałami komunikacji jest jednak na szczęście wciąż niemożliwa. Pytanie, czy to kwestia czasu?

DWUGŁOWY JAN CHRZCICIEL

W średniowiecznej Europie władza pozostawała niepodzielnie sprzęgnięta z religią, a kategoria prawdziwości: czy to dokumentów, opowieści czy przedmiotów kultu oparta była na kwestiach teologicznych. Na przykład żyjący na przełomie XI i XII wieku Guibert, opat Nogent-sous-Coucy, w traktacie „O relikwiach świętych”, rozstrzygał, że wniebowstąpienie zmartwychwstałego Chrystusa oznaczało, że na Ziemi nie mogły zachować się żadne relikwie jego ciała – w tym czczone w niektórych kościołach jako autentyczne fragmenty jego pępowiny czy napletka.

O ile argumentacja Guiberta nie rezonuje z naszą dzisiejszą wrażliwością, bardziej zrozumiale brzmią jego ironiczne uwagi o cudownym rozmnożeniu niektórych relikwii ważnych świętych. Zarówno w Konstantynopolu, jak i w Angers przechowywano i czczono głowę Jana Chrzciciela: „tak jakby Jan Chrzciciel był dwugłowy”.

Kolekcjonowanie i bezwstydny handel fałszywymi relikwiami w średniowieczu stały się wdzięcznym tematem dla pisarzy. Echa traktatu Guiberta możemy dziś znaleźć w słynnej powieści „Imię Róży” Umberta Eco, ale już Boccaccio wśród pikantnych opowieści, z których utkany jest „Dekameron”, umieścił historię o wędrownym mnichu oferującym gawiedzi – za opłatą – sposobność ujrzenia jednego z piór ze skrzydła Anioła Gabriela. Kiedy pióra, za sprawą dwóch młodzieńców, zostało skradzione, sprytny mnich szybko otrząsnął się po stracie i od tamtej pory oferował węgiel, na którym spłonąć miał św. Wawrzyniec.

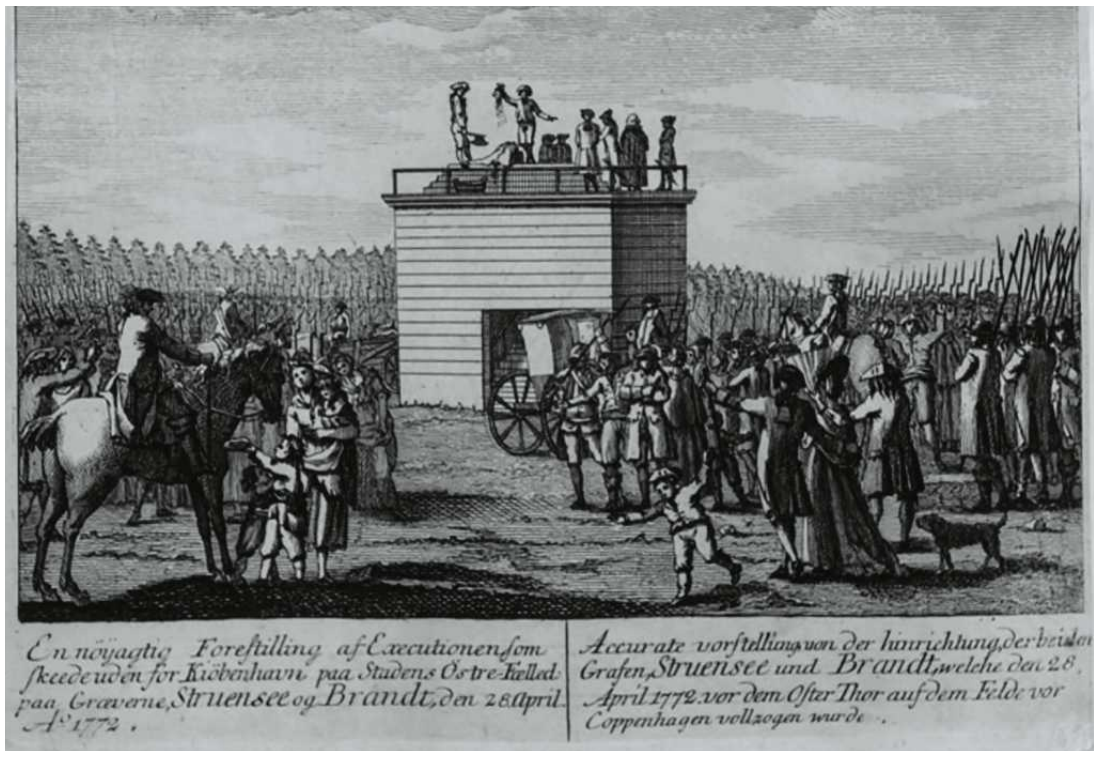

• **Rycina z 1772 roku, przedstawiająca egzekucję Johanna Friedricha Struensee’go, nadwornego lekarza króla Danii, zwolennika wolności prasy** FOT. ZBIORY MUSEUM NORDSJÆLLAND

• **Fragment ilustracji z 1884 roku, autorstwa Fredericka Burra Oppera, z nowojorskiego czasopisma satyrycznego „Puck”, na której pojawił się termin „fake news”** FOT. ZBIORY BIBLIOTEKI KONGRESU STANÓW ZJEDNOCZONYCH

ŻYWOTY ŚWIĘTYCH NA NOWO

W XI wieku francuskim miastem Limoges wstrząsnął skandal. Otóż lokalny opat i kronikarz Ademar upowszechniał historię, jakoby św. Marcjał – pochowany w Limoges – był w rzeczywistości jednym z apostołów. Chciał w ten sposób dodatkowo podnieść rangę opactwa jako coraz popularniejszego celu pielgrzymek.

Wędrowny mnich Benedykt z Chiusy w 1028 roku zakwestionował sfałszowaną biografię św. Marcjała, dowodząc, że nie znajdowała potwierdzenia we wcześniejszej tradycji chrześcijańskiej. Benedykt posłużył się jedną z podstawowych zasad krytycznego podejścia do informacji: sprawdził, czy można ją znaleźć w innych źródłach.

Jeszcze większą dociekliwością i odwagą wykazał się kilka wieków później Lorenzo Valla, dowodząc nieprawdziwości jednego z najważniejszych dokumentów uzasadniających ziemską władzę papiestwa: tzw. Donacji Konstantyna. Według zawartej rzekomo w IV wieku umowy cesarz Konstantyn, nawracając się na chrześcijaństwo po cudownym uzdrowieniu za wstawiennictwem papieża Sylwestra I, darował jemu i jego następcom zwierzchnictwo nad zachodnią częścią Cesarstwa Rzymskiego. W 1440 roku Lorenzo Valla podważył autentyczność Donacji Konstantyna. W swoim traktacie zwrócił uwagę, że dokument zawierał nazwy i terminy, których nie znano w epoce Konstantyna. Podkreślał też, że wydarzenie o takiej randze znalazłoby oddźwięk w innych źródłach historycznych z tego samego okresu.

Argumenty Valli przywodzą na myśl współczesne metody stosowane przez weryfikatorów faktów. Choć jego publikacja znalazła się na liście ksiąg zakazanych przez Kościół, jego praca odbiła się szerokim echem w Europie targanej sporami religijnymi, a Donacja Konstantyna straciła wiarygodność.

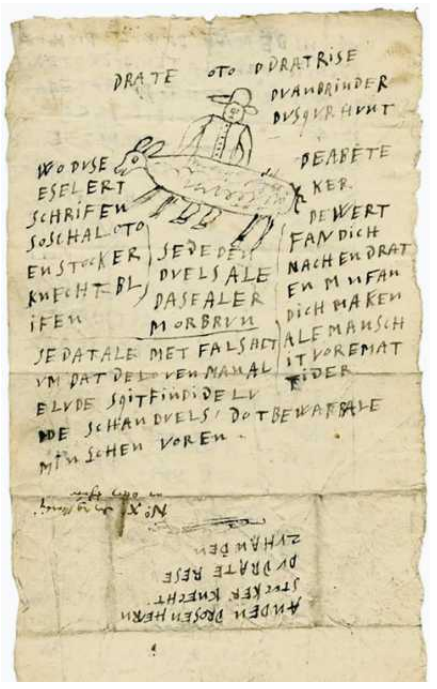

• **Donos na aptekarza Davida Welmana z niemieckiego miasteczka Lemgo, który został oskarżony o czary i wilkołactwo** FOT. ARCHIWUM MIEJSKIE W LEMGO

PROCES „WILKOŁAKA”

Wiek XV upłynął pod znakiem rewolucji druku, która umożliwiła szybki obieg informacji. Zmianom towarzyszyły jednak obawy i dyskusje zadziwiająco podobne do dzisiejszych problemów wynikających z rozwoju serwisów społecznościowych.

Erazm z Rotterdamu pisał w 1508 roku: „ [...] nawet uczonym zdarza się zrazu przeoczyć błędy. Niezliczona rzesza drukarzy sieje dziś powszechny zamęt [...] Nie każdemu zezwala się, by został piekarzem, tymczasem zawód drukarza jest otwarty dla wszystkich śmiertelników”.

Niderlandzki myśliciel wiedział, przed czym przestrzega: sam uległ pokusie puszczenia w obieg napisanego przez siebie tekstu, który przypisał św. Cyprianowi, a odnalazł rzekomo w „starodawnej bibliotece”. Badacze sądzą, że uczynił to dla wsparcia głosem autorytetu własnych poglądów teologicznych.

Ponad sto lat później, w 1644 roku, gdy dyskusja nad szkodliwością dostępności druków trwała w najlepsze, pisarz Henry Robinson stanął w obronie wolności wypowiedzi: „Lepiej, by opublikowano wiele fałszywych idei, zwłaszcza w dobrych intencjach i li ze słabości tylko, niż aby jedna szczera prawda została siłą stłumiona lub umyślnie ukryta”.

Gdy prześledzić listę ówczesnych bestsellerów wydawniczych, wśród promujących owe „fałszywe idee” poczesne miejsce zajmowały traktaty o czarach, nawołujące do prześladowań i tortur, których ofiarą padło tysiące ludzi. Publiczne procesy poprzedzała często prawdziwa kampania oszczerstw i mowy nienawiści.

W niemieckim miasteczku Lemgo miejscowy aptekarz David Welman oskarżony został o czary i wilkołactwo. Anonimowe donosy, ilustrujące rzekomą transformację w wilkołaka podrzucano w miejscach publicznych. Welman przez kilka lat walczył o życie i dobre imię, po dwóch wyczerpujących procesach został jednak skazany i stracony.

W okresie, gdy rozgrywał się dramat westfalskiego aptekarza, publikowano już argumenty przeciwko polowaniom na czarownice, co po niemal dwustu latach szaleństwa przyczyniło się w końcu do wyciszenia prześladowań. Joannes Weyer, w książce „O zwodniczych sztuczkach demonów” dowodził, że chociaż szatan istnieje, nie zawiera paktów z ludźmi. Weyer przypisywał niektóre nietypowe, budzące lęki zachowania, interpretowane jako

Joanna Urbanek

• jest główną kuratorką wystawy „Fake for Real. Historia fałszerstw i falsyfikatów”, którą do 2 listopada można było oglądać w Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku. Współtworzyła wystawy stałe Muzeum II Wojny Światowej i Domu Historii Europejskiej w Brukseli.

eprasa.pl 4631607220

• **Fresk z XIII wieku z kościoła Santi Quattro Coronati w Rzymie, przedstawiający rzekomą donację Konstantyna dla papieża Sylwestra I** FOT. WIKIMEDIA COMMONS

skutki opętania przez diabła, chorobie psychicznej, czyniąc pierwsze kroki w rozwoju współczesnej psychiatrii. Szybszy obieg wiedzy, możliwy dzięki książkom i prasie, umożliwił ukształtowanie się nauki we współczesnym rozumieniu.

KTO SIĘ BOI WOLNEJ PRASY

Idee oświecenia przyniosły dalszą dyskusję na temat wolności publikacji. Paradoksalnie, wśród pierwszych ofiar linczu prasowego znaleźli się właśnie jej orędownicy. Królestwo Danii i Norwegii było pierwszym państwem, które wprowadziło całkowitą wolność prasy. Decyzję tę podjął w 1770 roku Johann Friedrich Struensee – nadworny lekarz, który przez rok faktycznie sprawował władzę w imieniu cierpiącego na chorobę umysłową króla Christiana VII. Kierując się ideami oświecenia, Struensee wdrożył wiele reform. Bardzo szybko jednak nastroje społeczne zaczęły się od niego odwracać, w związku z ostrymi atakami prasy, korzystającej z nowo nadanej swobody. Lawina krytycznych, choć zawierających głównie prawdziwe stwierdzenia pamfletów poważnie nadwątliła jego reputację, co doprowadziło do jego egzekucji w 1772 roku, jednak nie przekreśliło dorobku i wpływu na europejską debatę.

Tymczasem Europa wkraczała w okres kształtowania państw narodowych. Poczynając od ultrapopularnych „Pieśni Osjana", zbioru poematów napisanych przez szkockiego poetę Jamesa Macphersona, a opublikowanych przez niego jako tłumaczenia średniowiecznej poezji, kontynent zalała fala „fałszerstw patriotycznych". Ich wspólnym mianownikiem było pragnienie uwznioślenia historii własnego narodu.

W Polsce podobna próba przypisywana jest fałszerzowi Przybysławowi Dyjamentowskiemu, prawdopodobnemu autorowi opublikowanej w 1825 roku „Kroniki Prokosza". Miała ona dowodzić pochodzenia narodu polskiego od starożytnych Sarmatów. Książka została błyskawicznie zdyskredytowana, między innymi przez Joachima Lelewela, choć dość niespodziewanie zyskała popularność na początku XXI wieku, gdy w serii pseudohistorycznych publikacji potraktowano ją jako źródło historyczne.

Rewersem wykuwania się Europy narodów było definiowanie jej wrogów – obcych – stanowiących rzekomo zagrożenie dla porządku społecznego i politycznego. W aferze Dreyfusa przeciwko pochodzącemu z Alzacji oficerowi pochodzenie żydowskiego, wytoczono ciężkie działa francuskiej machiny sądowniczej, posuwając się do fabrykacji dowodów i absurdalnych analiz grafologicznych. Dreyfus zapewne dokonałby życia w niesławie i na wygnaniu, gdyby nie rola wolnych mediów i obrona czołowych intelektualistów, wśród nich Emila Zoli.

Dwadzieścia lat po aferze przypisywanie Żydom roli kozła ofiarnego przybrało na sile. „Protokoły Mędrców Syjonu" stały się jednym z największych bestsellerów wydawniczych pierwszej połowy XX wieku. „Ludzie wierzą w fałszerstwo. To ważniejsze niż fakt, że mamy do czynienia z fałszerstwem", pisała Hannah Arendt, zwracając uwagę na niezwykłą żywotność teorii spiskowych, nieustannie mutujących i zbierających nowe żniwo. Naziści wzorcowo wykorzystali doświadczenia wieków prześladowań, mowy nienawiści czy wreszcie fabrykacji danych przedstawianych jako naukowe.

WSPÓŁCZESNY EMIL ZOLA

Choć często uważa się, że termin i sam problem fake newsów pojawił się w ostatnim dziesięcioleciu, określenie istniało już na przełomie XIX i XX wieku. Wynalezienie rotacyjnej prasy drukarskiej usprawniło proces wydawania gazet, potęgując jednak presję na dziennikarzy, by dostarczać wiadomości częściej i publikować szybciej. Internet i serwisy społecznościowe oraz przede wszystkim rozwój sztucznej inteligencji to kolejne – tym razem milowe kroki na tej drodze. Dzisiejsze wojny informacyjne – w tym rosyjska dezinformacja wokół wojny w Ukrainie – prowadzone są z użyciem coraz bardziej zaawansowanych środków: farm botów, deep fake'ów oraz starych, sprawdzonych technik propagandowych, stosowanych jednak na niespotykaną dotąd skalę.

Zarówno w Konstantynopolu, jak i w Angers przechowywano i czczono głowę Jana Chrzciciela: „tak jakby Jan Chrzciciel był dwugłowy"

Historia obfituje w przykłady falsyfikatów, tworzonych, by wywierać wpływ, manipulować i kontrolować. Czy z przeszłości możemy czerpać nie tylko przestrogi, lecz także strategie? Mimo szerzenia się dezinformacji, wiedza oraz materiały oferujące wsparcie umiejętności analitycznego myślenia są dziś na wyciągnięcie ręki, jak nigdy dotąd. Kluczowe jest także docenienie pracy dzisiejszych odpowiedników Lorenza Valli czy Emila Zoli, ludzi podejmujących wysiłek krytycznej weryfikacji informacji promowanych przez władze czy agentów wpływu.

Sedno ich pracy pozostaje zaskakująco niezmienne: analiza językowa, porównanie źródeł, weryfikacja dat czy danych liczbowych. Umiejętności eksperckie zyskują wartość, gdy towarzyszy jej odwaga, podbudowana wsparciem społecznym i zasadami demokracji. ●

Okruchy historii

Bezkarny Grzegorz Braun

Europoseł Korony Polskiej w kolejnych wystąpieniach publicznie dopuszcza się przestępstw.

Motyka

Ostentacyjne relatywizowanie zbrodni niemieckich przez europosła Grzegorza Brauna nie powinno być lekceważone. Fałszerstwa historyczne, jeśli nie spotykają się ze zdecydowaną polemiką, zaczynają zyskiwać coraz szersze kręgi zwolenników, często nierozumiejących, jak bardzo odległe są one od naukowej wiedzy. Co więcej, ustawa o Instytucie Pamięci Narodowej w artykule 55 jednoznacznie stwierdza, że „kto publicznie i wbrew faktom zaprzecza zbrodniom", w tym wypadku nazistowskim, „podlega grzywnie lub karze pozbawienia wolności do lat trzech". To jasna wykładnia tak zwanego kłamstwa oświęcimskiego.

Braun w kolejnych wystąpieniach w sposób oczywisty publicznie dopuszcza się zatem przestępstwa.

Wszystko zaczęło się od wywiadu w Radio Wnet, gdzie europoseł nagle stwierdził, iż komory gazowe w obozie Auschwitz-Birkenau to „fejk". Prowadzący rozmowę redaktor zachował się przyzwoicie i natychmiast wyprosił Brauna ze studia. Niestety, znaleźli się inni chętni rozmówcy. Codziennie publicznie epatujący swoim przywiązaniem do wartości katolickich, jakby zapomnieli o ósmym przykazaniu Dekalogu i pozwolili mu na otwarte głoszenie historycznych kłamstw.

Dla wodza Konfederacji Korony Polskiej wszystkie przekazy o mordowaniu przez Niemców ludzi w komorach gazowych są niewiarygodne. Jego zdaniem nie było komór gazowych nie tylko w Auschwitz-Birkenau, lecz w ogóle we wszystkich obozach takich jak Treblinka, Sobibór czy Bełżec. A w takim razie niemożliwe było dokonanie w nich tak masowych zbrodni. W rozmowie z Janem Pospieszalskim Braun stwierdza bez ogródek, że nie wie, jak zginęła Edyta Stein. Nie wie zatem też tym samym, jak i czy w ogóle zginął na przykład Janusz Korczak ze swoimi podopiecznymi z domu sierot i setki tysięcy warszawskich Żydów.

W ten sposób pomniejsza znaczenie Holocaustu, który dla niego nie był jakąś szczególną zbrodnią. Jego zdaniem opowieść o prześladowaniach Żydów jest jedynie „żydowską hagadą", wyolbrzymioną i narzuconą innym narracją.

Wychowałem się na okupacyjnych opowieściach o zbrodniczym postępowaniu Niemców wobec Polaków. O losie Żydów świadkowie wydarzeń wspominali ledwie mimochodem. Jednak zawsze było dla nich oczywiste, że choć Niemcy obchodzili się z Polakami źle, to z Żydami o wiele gorzej. Braun faktycznie podważa te wszystkie świadectwa, co niektórzy zdają się, jeśli nie akceptować, to przynajmniej tolerować. Myślą: to „kłopot żydowski". To jednak błędne założenie. Po pierwsze dlatego, że ustawa o IPN przewiduje kary za negowanie zbrodni nazistowskich nie tylko „popełnionych na osobach narodowości polskiej", lecz też na „obywatelach polskich innych narodowości". A przecież prawie trzy miliony ofiar stanowili obywatele polscy pochodzenia żydowskiego! W dodatku fałsze Brauna uderzają też w ofiary czysto polskiego pochodzenia.

W jego ocenie wspomnienia Rudolfa Hoessa, komendanta obozu Auschwitz-Birkenau, nie mają wartości, ponieważ zostały złożone w śledztwie prowadzonym przez funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa, a więc pod przymusem. Niby zarzeka się, że nie broni Hoessa, lecz faktycznie podważa wydany na niego wyrok. Skoro bowiem został zmuszony do składania fałszywych zeznań, to przecież sąd powinien go uwolnić. Jeśliby przyjąć logikę Brauna, to należy wręcz uznać, że wszystkie wyroki wydane po wojnie na niemieckich zbrodniarzach, przynajmniej w Polsce, były niezgodne z prawem. Bo przecież w każdym z nich śledztwo podlegało mniejszej lub większej kontroli ze strony komunistycznego aparatu represji. A skoro tak, to dowody mogły zostać sfabrykowane, więc wydane wyroki należałoby anulować.

Fałsze historyczne Brauna szkodzą wizerunkowi Polski i uderzają w polską pamięć o drugiej wojnie światowej. Dobrze więc, że pion śledczy IPN tym razem zareagował zdecydowanie, złożono już nawet wniosek o uchylenie immunitetu europosła. Czy jednak przestępca zostanie ukarany?

Polityczne uwarunkowania dziś są takie, że usprawiedliwiony jest niepokój w tej sprawie. Bez uwrażliwienia opinii publicznej łatwo wszystko może się skończyć odstąpieniem od kary z powodu rzekomo małej szkodliwości czynu. Tymczasem bezkarność fałszerza historii już wykorzystuje Moskwa w wojnie hybrydowej przeciwko Polsce. Ludzie głosujący na Brauna w swej dobroduszności myślą, iż w ten sposób popierają Koronę Polski. Tymczasem opowiadają się za koroną, ale carów. ●

Prof. Grzegorz Motyka
– historyk, politolog, pracownik Instytutu Studiów Politycznych PAN.

1 RP

eprasa.pl 4631607220

• **Kadr z filmu „Barwy walki” według książki Mieczysława Moczara, a w rzeczywistości najpewniej Wojciecha Żukrowskiego, autora scenariusza. Partyzanci Armii Ludowej: „Elegant” (w tej roli Wojciech Siemion), „Kruk” (Krzysztof Chamiec) i „Malutki” (Jerzy Kaczmarek)**

FOT. EAST NEWS/POLFILM

BALLADA O MIETKU

Korespondent „New York Timesa” w „Barwach walki” dopatrzył się scen antyrosyjskich. Mimo to film nakręcony na podstawie książki Mieczysława Moczara okazał się hitem.

Paweł Machcewicz

W czerwcu 1962 roku Arthur Olsen, korespondent „New York Timesa”, donosił z Warszawy o prawdziwym zalewie publikacji poświęconych partyzantom Gwardii Ludowej i Armii Ludowej. Ukazywały się w związku z obchodzoną wtedy 20. rocznicą powstania Polskiej Partii Robotniczej, ale były także odbiciem istotnego fenomenu politycznego: w ciągu ostatnich pięciu lat ważne stanowiska w PZPR i rządzie objęli komunistyczni bojownicy z czasów okupacji niemieckiej.

Niezwykle istotną publikacją, ze względu na rangę zaangażowanych w nią osób i jej zbiorowy charakter, był zbiór wywiadów „Ludzie, fakty, refleksje” (1961) – swego rodzaju akt założycielski grupy, do której już wkrótce przylgnie miano „partyzanci”. We wstępie Walery Namiotkiewicz i Bolesław Rostropowicz napisali o swoich rozmówcach: „ludzie walki dawali świadectwo temu, iż w podbitym, zwyciężonym kraju żył i działał niezwyciężony naród”. Wszyscy oni akcentowali wielką rolę ruchu partyzanckiego w ostatecznym zwycięstwie nad Niemcami, podkreślali, że ich oddziały zadały Niemcom ogromne straty, i ewidentnie je wyolbrzymiali. Niekiedy opowiadane historie wykraczały poza granice prawdopodobieństwa, partyzanci jawili się w nich jako nieomal nadludzie. Mieczysław Róg-Świostek, w czasie wojny dowódca brygady AL „Świt”, opowiedział o starciu, w którym jego żołnierze zabili i ranili „około 100 Niemców. Straty własne – 2 rannych”.

OJCIEC POLSKIEJ PARTYZANTKI

Książkę otwiera rozmowa z Mieczysławem Moczarem, oczywiście nieprzypadkowo. Wystąpił w roli faktycznego ojca założyciela ruchu partyzanckiego, a to dlatego, że dowodził najważniejszym okręgiem GL/AL – lubelskim. W jego wspomnieniach czuć dumę: „Walka ludowej partyzantki stała się najbardziej efektywnym wkładem narodu polskiego w dzieło rozgromienia hitleryzmu”. Ta interpretacja przebiegu wojny, jeden z głównych elementów „partyzanckiej” polityki historycznej, do pewnego stopnia deprecjonowała zasługi kilkuset tysięcy żołnierzy regularnych jednostek Wojska Polskiego utworzonego w Związku Radzieckim. Moczar ubolewał z powodu „niedostatecznego stanu badań nad doświadczeniami walk partyzanckich w Polsce”.

Zarówno Moczar, jak i większość pozostałych bohaterów książki głosili też, jakoby partyzanci GL/AL dogadywali się, a niekiedy nawet walczyli ramię w ramię z bracią żołnierską Armii Krajowej, ale wielu jej dowódców traktowało komunistyczne oddziały z nieufnością, a niekiedy wrogością. W roli czarnych charakterów rozmówcy Namiotkiewicza i Rostropowicza niezmiennie obsadzali Narodowe Siły Zbrojne, przedstawiane jako polscy faszyści kolaborujący z Niemcami.

KSIĄŻKA PRZYGODOWA

Najważniejszą pozycją spośród wszystkich dzieł literatury partyzanckiej były niewątpliwie wspomnienia Mieczysława Moczara „Barwy walki”, ze względu na rangę autora oraz wielkie *publicity,* które im towarzyszyło. Książka była wydarzeniem politycznym, zajęło się nią samo Biuro Polityczne. Na jego posiedzeniu w listopadzie 1961 roku „wypowiedziano się przeciwko publikowaniu niektórych fragmentów książki tow. Moczara dotyczących okresu okupacji”. Andrzej Werblan, w latach sześćdziesiątych kierownik Wydziału Nauki KC PZPR, twierdzi, że chodziło o konflikt Moczara z Leonem Kasmanem, który jako wysłannik Moskwy w 1944 roku dotarł na Lubelszczyznę, czyli obszar podlegający „Mietkowi”, na czele oddziału partyzanckiego podporządkowanego Komisji Likwidacyjnej Kominternu. Członkowie Biura Politycznego dopatrzyli się w odnośnych ustępach akcentów antysemickich, a nawet antyradzieckich.

„Barwy walki” ukazały się na początku 1962 roku. Ich efektowny, wartki styl znamionował wprawne pióro. Trudno uwierzyć, że samodzielnie napisał je człowiek, który zakończył edukację na szkole podstawowej, a pisaniem nie trudnił się zawodowo. Zapewne książka powstała pod dyktando Moczara: on opowiadał, a *ghostwriter* (ktokolwiek nim był) spisywał i przetwarzał materiał wspomnieniowy na formę literacką.

Co do rzeczywistego autorstwa książki sygnowanej przez Moczara krążyły różne plotki. Najczęściej typowano literata Wojciecha Żukrowskiego, późniejszego autora scenariusza ekranizacji „Barw walki” (ten konsekwentnie zaprzeczał). Werblan zapamiętał, że w kręgach partyjnych mówiono też o Walerym Namiotkiewiczu. Wymieniano także nazwisko Kazimierza Kąkola, redaktora naczelnego tygodnika „Prawo i Życie”, ewidentnego sympatyka Moczara.

„Barwy walki” mają charakter na poły przygodowy – pełne są opisów dramatycznych starć partyzanckich i barwnych portretów ludzkich – ale też wyraźnie zarysowane przesłanie polityczne. Współtworzy je tradycyjna krytyka wyższych dowódców AK: Moczar oskarża ich o „stanie z bronią u nogi”, niechęć do komunistycznej partyzantki i Związku Radzieckiego. Z szeregowymi żołnierzami AK i Batalionów Chłopskich, a nawet z młodszymi oficerami możliwe było pełne braterstwo broni. Część z nich nawet z entuzjazmem i wbrew odgórnym wytycznym przyłączała się do akcji bojowych GL/AL. Właściwie książka Moczara nie wykroczyła poza obowiązującą oficjalną narrację; dalej idące przyjacielskie gesty w stronę wyższych rangą dowódców AK (a także Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie i Wojska Polskiego z 1939 roku) zostaną wykonane dopiero kilka lat później, gdy Moczar stanie na czele ZBoWiD-u [Związku Bojowników o Wolność i Demokrację]. Oryginalnym wątkiem są natomiast peany na temat działań partyzanckich oddziału majora Henryka Dobrzańskiego „Hubala” po klęsce wrześniowej. Kontynuował walkę wbrew stanowisku rządu RP na uchodźstwie oraz krajowego kierownictwa Związku Walki Zbrojnej, więc jego kult, charakterystyczny dla „partyzanckiej” polityki historycznej w następnych latach, był politycznie zrozumiały.

BARWY ŻYCIA POD OKUPACJĄ

W „Barwach walki” poruszono też szersze zagadnienia, między innymi oceny postawy społeczeństwa polskiego pod okupacją. W następnych latach i one rozwiną się w główne wątki narracyjne „partyzantów”. W ich opowieści masy narodu wykazywały się heroizmem, a odstępstwa były czymś wyjątkowym i piętnowanym. W panoramie postaw mieszkańców okupowanej Warszawy pojawiali się „i pospolici szubrawcy, tacy na przykład »szmalcownicy«”. Byli jednak, według Moczara, izolowanym marginesem społecznym, w związku z czym w gruncie rzeczy nie stwarzali wielkiego zagrożenia. [...]

Książka budowała wizerunek Moczara jako dzielnego i mądrego dowódcy. Dba on o swoich ludzi, a przede wszystkim jest prawdziwym patriotą, od zawsze walczy o wolną i sprawiedliwą Polskę. Barwny język i quasi-przygodowa konwencja mogły zjednywać sympatię także czytelników mniej zainteresowanych polityką lub poważniejszym wymiarem wojny.

Fragmenty „Barw walki” publikowała prasa wspierająca „partyzantów”.

eprasa.pl 4631607220

Do 1964 roku książka miała już pięć wydań, a do 1970 roku, czyli do końca epoki gomułkowskiej – jedenaście. W sumie ukazała się w nakładzie 480 tysięcy egzemplarzy, czyli liczbie ogromnej, nawet jak na standardy PRL. Dzieło Moczara weszło do kanonu lektur dla klas VIII, odwoływali się do niego również nauczyciele na innych szczeblach edukacji i cieszyło się popularnością prawdopodobnie autentyczną, a nie tylko odgórnie inspirowaną. Dyrektor Uniwersytetu Ludowego najwyraźniej pragnął wkraść się w łaski wpływowego polityka, ale nie ma powodów, by posądzać autora listu o konfabulację: „Egzaminowaliśmy kandydatów – maturzystów, którzy składali egzamin wstępny do naszego Studium Kulturalnego w Uniwersytecie Ludowym w Rożnicy. Pragniemy poinformować obywatela Ministra, że wszyscy kandydaci (tki) znali doskonale książkę »Barwy walki«, cytowali ją w pracach pisemnych i przy odpowiedziach ustnych".

Zakładowy Dom Kultury w Oświęcimiu zorganizował konkurs czytelniczy na najlepszą książkę 1967 roku. Wzięło w nim udział ponad 700 osób, głównie uczniów szkół średnich, nauczycieli i pracowników miejscowych Zakładów Chemicznych. „Barwy walki" pokonały wszelką konkurencję, w tym „Czterech pancernych i psa" Janusza Przymanowskiego oraz „Kamienne tablice" Wojciecha Żukrowskiego.

Książka dostała Nagrodę II stopnia Ministra Obrony Narodowej. Jej przekłady ukazały się w Bułgarii, Czechosłowacji, Jugosławii, na Litwie, w Niemczech i Rumunii. Szczególne znaczenie miało rosyjskojęzyczne wydanie „Barw walki" w Związku Radzieckim – wzmacniało pozycję polityczną Moczara.

INACZEJ NIŻ U WAJDY

Kolejnym krokiem w budowaniu kultu Moczara jako dowódcy partyzanckiego, a zarazem polityka, była ekranizacja „Barw walki". Reżyser Jerzy Passendorfer skupił się na walkach toczonych przez partyzantów na Kielecczyźnie latem 1944 roku. Uroczysty pokaz odbył się 17 stycznia 1965 roku (w 20. rocznicę wyzwolenia Warszawy) w Sali Kongresowej. Wzięli w nim udział przedstawiciele władz partyjnych i państwowych, kombatanci, w tym byli dowódcy oddziałów partyzanckich, a także delegacje ze Związku Radzieckiego, Czechosłowacji i NRD, które przyjechały do stolicy na obchody rocznicowe. O premierze napisał nawet „New York Times": uznał film za element kreowania wizerunku Moczara i ekspansji grupy „partyzanckiej". Korespondent podkreślał charakteryzujący ją nacjonalizm, a w filmie dopatrzył się scen o charakterze „antyrosyjskim". Rzeczywiście, oficer AK w rozmowie w dowódcą oddziału AL mówił rzeczy niezbyt prawomyślne z punktu widzenia politycznej ortodoksji lat 60.: „Wiemy, jak wygląda zgoda na terenach zajętych przez Rosjan. Co robią z naszymi. A wy im pomagacie". Próżno szukać podobnych oskarżeń w innych polskich filmach z tamtego okresu.

Do kin film trafił pod koniec lutego. W prasie pojawiały się niemal wyłącznie pozytywne recenzje, a w tytułach bliskich „partyzantom" – wręcz laurki. Część krytyków widziała w „Barwach walki" z ich heroicznym, ale zdecydowanie optymistycznym przesłaniem, przeciwwagę dla dzieł „szkoły polskiej": „Kanał", „Lotna" i „Popioły" Andrzeja Wajdy akcentowały tragizm walki, stawiały pytania o jej sens. W filmie Passendorfera partyzant z AL próbuje w czasie ataku Niemców ratować biegającego luzem białego konia, lecz traci przy tym życie. Uważny widz mógł dostrzec w tej scenie nawiązania do „Lotnej" – adaptacji opowiadania Wojciecha Żukrowskiego, autora scenariusza do „Barw walki".

W filmie Wajdy konie symbolizowały tragizm i klęskę, a także upadający świat ziemiański; należały do ułanów, którzy straceńczo zaatakowali niemieckie czołgi. Diametralnie odmienne przesłanie „Barw walki" skonstruowano z użyciem niektórych figur estetycznych polskiej szkoły filmowej, w tym „ikonografii ułańskiej" (termin Ireneusza Siwińskiego). Żukrowski interesująco odwrócił symboliczne znaczenia swojego wcześniejszego utworu.

Recenzent warszawskiej „Kultury" Bogumił Drozdowski chwalił przede wszystkim nie reżysera, scenarzystę i aktorów, ale autora książki. Podkreślał, że Moczar jako pierwszy wyszedł poza dominujące, sztampowe i propagandowe przedstawianie walki AL. Wniósł do obrazu partyzantki to, czego dotychczas brakowało: „autentyzm, prostotę, jednakową bezpośredniość w traktowaniu rzeczy wielkich i małych". Film wszystko to umiejętnie przekazał, choć musiał z natury rzeczy operować skrótem wojennej epopei Moczara. Zgodnie z pierwowzorem niósł też przesłanie na temat głębokiej wspólnoty w walce dla Polski, niezależnie od różnic politycznych dzielących poszczególne formacje: „Właśnie jedyna AL potrafiła wyjść poza partykularny punkt widzenia, proponując realistyczną i najsłuszniejszą koncepcję narodowego frontu wszystkich patriotycznych sił podziemia. »Tylko Niemcy nie są tu u siebie« – powiada jeden z bohaterów obrazu".

Kinowe „Barwy walki" znacznie dalej niż ich literacki pierwowzór posunęły się w stronę włączenia akowców do panteonu bohaterów wojennych i generalnie budowania inkluzywnej wspólnoty narodowej

Drozdowski uchwycił jądro oferty Moczara, adresowanej zresztą nie tylko do kombatantów. Z tej wspólnoty wyłączeni byli jedynie żołnierze Narodowych Sił Zbrojnych, i w książce, i w filmie jednoznacznie przedstawieni jako kolaboranci. W kulminacji obrazu alowcy, akowcy i partyzanci radzieccy wspólnie próbują wyrwać się z niemieckiego okrążenia. Wygrali bitwę i w końcowej, symbolicznej scenie filmu oficer AL żegna oddział AK słowami: „Fajne chłopaki, szkoda, że nie idą z nami"; inni partyzanci salutują uniesioną w górę bronią.

Kinowe „Barwy walki" znacznie dalej niż ich literacki pierwowzór posunęły się w stronę włączenia akowców do panteonu bohaterów wojennych i generalnie budowania inkluzywnej wspólnoty narodowej. Kierunek ten w pełni korespondował z działaniami, które Moczar od września 1964 roku podejmował jako szef ZBoWiD-u.

NASZE DROGI SIĘ SPOTKAJĄ

W pierwotnej wersji filmu, przedstawionej do kolaudacji, ostatnia scena jeszcze bardziej dosłownie podkreśla żołnierską solidarność AL i AK. Wprost zapowiada, że w przyszłości te dwa środowiska zbliżą się do siebie. Jeden z komunistycznych partyzantów, patrząc na odchodzących po bitwie akowców, mówi: „Nasze drogi się spotkają". Obiekcje zgłosili uczestniczący w kolaudacji przedstawiciele władz partyjnych i państwowych: wiceminister kultury i szef Naczelnego Zarządu Kinematografii Tadeusz Zaorski oraz kierownik Kancelarii Sekretariatu Komitetu Centralnego PZPR Stanisław Trepczyński, jeden z najbliższych współpracowników Gomułki.

„Byłbym za tym, żeby to zakończenie rozważyć właśnie pod kątem niestawiania kropki nad »i«, bo rzeczywiście sprawy te nie były tak proste, choć miały miejsce wypadki prowadzenia takich wspólnych akcji przez różne ugrupowania partyzanckie" – argumentował Trepczyński. Przeciwnego zdania był kierownik Wydziału Kultury KC Wincenty Kraśko: „Uważam, że w filmie najbardziej cenne są te sprawy polityczne. Film mnie w końcowej partii wzruszył, tam jest kawałek dramatu i tragedii naszego narodu, zostały tam poruszone sprawy akowskie".

W filmie nie znalazł się też inny wątek obecny w scenariuszu. Zawierał scenę pretensji mieszkańców wsi pod adresem partyzantów za to, że ściągnęli na nią straszliwe niemieckie represje. Wielu członków Komisji Oceny Scenariuszy uznało go za zbyt drażliwy. Kierownik Biura Prasy Stefan Olszowski stwierdził, że to „jeden z podstawowych zarzutów, który stawiano partyzantce komunistycznej, nie tylko w czasie wojny. O tym mówią źródła historyczne. Z tym trzeba polemizować". Dopuszczał możliwość pozostawienia wątku, ale domagał się nadania mu bardziej właściwej wymowy politycznej: „Nie wiem, czy jest rzeczą słuszną wkładanie tej pretensji w usta chłopki, nie wiem, czy ta pretensja nie powinna zabrzmieć z innych ust, może z ust klasy posiadającej czy przedstawiciela tego aparatu państwowego".

Zarzuty pod adresem partyzantów usunięto z ostatecznej wersji filmu, ale pozostały drastyczne sceny zabijania przez Niemców mieszkańców wsi wspierającej partyzantów.

BOX-OFFICE NIE KŁAMIE

Wydaje się, że film cieszył się uznaniem publiczności. Polityczna indoktrynacja była w nim mniej wyraźna niż w książce Moczara, wybrano z niej tylko część wątków, dzięki czemu powstało dzieło wartkie, o charakterze obrazu wojenno-przygodowego, partyzanckiego „filmu akcji". Trzeba też pamiętać, że „film wojenny, batalistyczny" był wówczas ulubionym gatunkiem Polaków (w badaniach OBOP-u wskazało go około jednej czwartej respondentów). Wyraźnie górował nad obrazami podejmującymi inne tematy, nawet filmami kryminalnymi i westernami.

W 1966 roku „Barwy walki" zwyciężyły w plebiscycie Centralnej Rady Związków Zawodowych, wyprzedziły nawet „Popioły" Andrzeja Wajdy. Twórcy „Barw walki" otrzymali nagrodę zespołową II stopnia Ministra Kultury za twórczość artystyczną w dziedzinie filmu i telewizji. Do końca 1969 roku obejrzało je 3,25 miliona widzów – całkiem liczna grupa odbiorców przekazu Moczara. Popularność „Krzyżaków" z 1960 roku [tylko w ciągu pierwszych pięciu lat film obejrzało w kinach 19,5 miliona Polaków] pozostawała wprawdzie poza zasięgiem marzeń, ale widownia sztandarowego filmowego dzieła moczaryzmu była porównywalna do tej, którą zgromadził jeden z najważniejszych polskich filmów podejmujących tematykę historyczną – „Kanał" Andrzeja Wajdy – 4,4 miliona widzów od premiery w 1957 roku do końca lat 60.

WIEC NA 150 TYSIĘCY LUDZI

W popularyzowaniu partyzanckich dokonań Moczara, a tym samym budowaniu jego osobistego kultu, sięgano także po imprezy masowe. W maju 1967 roku władze zorganizowały w Łodzi wiec dla upamiętnienia dwóch wydarzeń sprzed 25 lat: powstania pierwszej komórki PPR w tym mieście i rozpoczęcia walki partyzanckiej przez pierwszy oddział GL. Tematyka partyzancka przesłoniła wszystkie inne wątki. Prasa obwieściła, że w wiecu uczestniczyło 150 tysięcy łodzian. Wysłuchali przemówienia Moczara (na żywo), a na zakończenie obejrzeli plenerowe widowisko historyczne „Ballada partyzancka", oparte na fragmentach „Barw walki", choć w jego trakcie odczytano także wiersze Władysława Broniewskiego, Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego i Leona Pasternaka, a także dokumenty PPR i GL/AL. Widowisko zostało zorganizowane z ogromnym rozmachem i można je uznać za prekursora rekonstrukcji historycznych, tak popularnych w Polsce po upadku systemu komunistycznego, chociaż skalą i użytymi środkami prawdopodobnie przekraczało każdą z nich. Redaktorzy pisma ZBoWiD-u „Za Wolność i Lud" ekscytowali się, że spektaklu brało udział prawie pół tysiąca osób – aktorów, statystów, pracowników zaplecza.

Poprzez pomniki i tablice pamiątkowe mit partyzancki opanowywał także przestrzeń publiczną Polski. Ich liczba jest trudna do precyzyjnego oszacowania: w latach 60. stawały zarówno w małych miejscowościach, zazwyczaj w okolicach potyczek partyzanckich, jak i w dużych miastach. Centralną rolę odgrywał Pomnik Partyzantów w Warszawie, odsłonięty w maju 1962 roku, w rocznicę wyruszenia w bój pierwszego oddziału partyzanckiego GL pod dowództwem Franciszka Zubrzyckiego „Małego Franka". Na cokole widniał napis „Partyzantom – Bojownikom o Polskę Ludową". Kobieta podtrzymującą rannego partyzanta nasuwa skojarzenia z chrześcijańskim motywem Piety. Oczywiście „Trybuna Ludu" inaczej interpretowała formę pomnika, kobieta z gałązką wawrzynu była jakoby „uosobieniem zwycięstwa". Pomnik stanął u zbiegu Nowego Światu i Alej Jerozolimskich, w bardzo eksponowanym i prestiżowym miejscu. Codziennie widziały go tam (i nadal widzą, ze zmienionym napisem: „Partyzantom walczącym o wolną Polskę w czasie II wojny światowej") tysiące ludzi.

MIT NAGLE ZMALAŁ

Nagłaśnianie bojów partyzanckich GL i AL budowało osobisty kult i charyzmę Moczara, a tym samym jego moralną legitymację do odgrywania istotnej roli w życiu publicznym powojennej Polski. Zmieniało też dotychczasowy oficjalny obraz wojny, w którym wyzwolenie przychodziło ze wschodu wraz z Armią Czerwoną i walczącymi u jej boku polskimi żołnierzami z oddziałów sformowanych w ZSRR. Akcent przesuwał się w stronę partyzantów walczących w kraju.

W latach 1965, 1969 i 1973 OBOP przeprowadził badania opinii na zlecenie Głównego Zarządu Politycznego Wojska Polskiego. Respondenci jako najbardziej przez nich cenioną formację wymieniali GL/AL (w odpowiednich latach: 36 procent, 30 procent i 19 procent odpowiedzi). Na drugim miejscu, ale niemal na tym samym poziomie, stawiali AK (32 procent, 30 procent i 17 procent). Można z tych danych wyciągnąć dwa wnioski. Po pierwsze, zarówno AL, jak i AK „korzystały" z nagłaśniania tematyki partyzanckiej i faktu, że w wersji moczarowskiej akcentowano wspólnotę ich walki o wolną Polskę. Po drugie, zwraca uwagę znaczący spadek wskazań dotyczących zarówno GL/AL, jak i AK na początku lat 70., gdy „partyzanci" utracili wpływy w życiu politycznym i mediach, a obecność tematów partyzanckich w przestrzeni publicznej uległa radykalnemu zmniejszeniu.

Sondaże te dowodzą skuteczności propagandowych zabiegów „partyzantów" w krótkiej perspektywie, ale jednocześnie ich efemeryczności. Obraz potężnego czynu partyzanckiego, pieczołowicie wtłaczany w umysły ludzi, już po kilku latach od zaprzestania tej wielkiej operacji socjotechnicznej wyblakł. ●

Fragment wydanej niedawno książki Pawła Machcewicza **„Narodowy komunizm po polsku. »Partyzanci« Moczara",** wyd. Krytyka Polityczna

1 RP

eprasa.pl 4631607220

Stare dobre czasy

Jak wytresować królewicza

Kazimierz Jagiellończyk z lubością nasłuchiwał płaczu syna, gdy go nauczyciel bił rózgą.

Brzezińska

W początkach XVI wieku w kręgu jagiellońskiego dworu powstał traktat pedagogiczny, tradycyjnie wiązany z królową Elżbietą Rakuszanką, choć w rzeczywistości najpewniej napisał go jakiś wędrowny włoski humanista. W średniowieczu i renesansie tworzono wiele tekstów, w których rodzice, wychowawcy albo moraliści dzielili się doświadczeniem i oczekiwaniami na temat wychowania kolejnego pokolenia.

W jagiellońskim traktacie włożono je w usta żony Kazimierza Jagiellończyka, podkreślając, że jako córka, wnuczka, siostra i małżonka królów, a także matka trzech królów, wielkiego księcia litewskiego oraz kardynała posiada odpowiednie kompetencje, by zaplanować godne królewskie wychowanie wnuka, czyli wyczekiwanego syna Władysława II Jagiellończyka.

Bo któż wie lepiej niż matka? Zwłaszcza matka królów.

Edukację dziedzica Czech i Węgier zaplanowano z rozmachem od najwcześniejszych chwil życia. Dosłownie. Matriarchini rodu – czy też anonimowy autor traktatu – przekonywała bowiem, że gdy królewicz przyjdzie wreszcie na świat, najlepiej byłoby, gdyby matka sama karmiła go piersią, gdyż niecne mamki czasami psują charakter dzieci bardziej niż źli wychowawcy. Jeśli jednak obowiązki uniemożliwią to królowej, należy wybrać mamkę, która będzie nie tylko zdrowa i cnotliwa, ale też obdarzona darem pięknej wymowy. Ważne jest, by dziecko wraz z jej mlekiem wyssało uczciwość i skromność oraz zdolności retoryczne, jakże użyteczne dla władców.

• **Elżbieta Rakuszanka (1436-1505), obraz Marcelego Krajewskiego według grafiki Gilliama van der Gouwena** FOT. REPRODUKCJA WOJCIECH OLEJNICZAK, ZE ZBIORÓW BIBLIOTEKI KÓRNICKIEJ

Szybko też należy w królewskim potomku rozwijać mnogość cnót: pobożność, będącą fundamentem wszelkich zalet, sprawiedliwość, męstwo, wytrzymałość, skromność, uczciwość, roztropność, stałość wobec odmian fortuny, hojność i wreszcie ludzkie, pełne szacunku podejście do poddanych, domowników, uczonych czy starszych.

By ten niebagatelny katalog zalet w królewskim dziecku ukorzenić, trzeba z nim postępować bez pobłażliwości, wszak przyjdzie mu władać dwoma królestwami zagrożonymi przez wrogów. Królewicz winien zawczasu przyzwyczajać się do znoszenia upału, głodu i zimna. Na dodatek nie było to tylko teoretyzowanie. Możliwe, że odwołano się do rzeczywistych macierzyńskich doświadczeń królowej, bo gromadkę jej dzieci wychowywano bez zbytków oraz sentymentów. Stanisław Orzechowski zapisał wręcz, że jej mąż, Kazimierz Jagiellończyk, z lubością nasłuchiwał płaczu syna, gdy go nauczyciel bił rózgą.

Naukę syn króla Władysława miał rozpoczynać na czczo i od najwcześniejszych godzin poranka. Przed śniadaniem powinien też wysłuchać mszy świętej, by wszyscy mieli się okazję przekonać, że już jako dziecko jest bardzo gorliwy w wierze. Potem następowała sześciogodzinna przerwa w nauce. Królewicz miał ją spędzić na miłych i uczciwych rozmowach z dworzanami lub słuchać muzyki i śpiewu, po czym znów przysiąść do nauki i nad tekstami starożytnych pisarzy zgłębiać meandry łaciny, ćwiczyć kaligrafię, wkuwać na pamięć zasady retoryki i tłumaczyć z łaciny na język ojczysty oraz na wspak. Oczywiście musiał się wprawiać również w ćwiczeniach fizycznych, sztuce wojennej oraz grze w szachy.

I tak dzień po dniu, od brzasku po zmierzch. No, chyba że jest święto. Wtedy można go wysłać na łowy. Jeśli ktoś chce się mieć czas wolny, nie powinien być królem.

Dla XVI-wiecznego czytelnika było oczywiste, że królewski syn nigdy nie zostanie sam. Od najmłodszych lat będzie go obserwować mrowie dworzan, domowników, posłów i poddanych. Będą mu towarzyszyć we wszystkich rozmowach, ćwiczeniach, słowach i uczynkach. Wszystkim musi dawać im przykład chrześcijańskiego życia.

Dla chwały dynastii, dworu oraz własnej królewskiej godności.

Mimo że prawa dziecka miały zostać wynalezione w parę wieków później, ten dojmujący brak prywatności był w oczach autora traktatu istotnym brzemieniem, choć powiązanym z królewskim majestatem. Zdawałoby się jednak, że od kilku pokoleń istnienie praw dziecka – także do odpoczynku czy prywatności – jest dla nas oczywiste. A jednak dzieci nadal bywają wystawiane na spojrzenia całego świata, szczególnie cyfrowego świata, choć tym razem nie dla chwały dynastii, tylko rozmaitych rodzicielskich medialnych i finansowych przedsięwzięć. Zupełnie jakby czas zatoczył krąg. Chyba trochę szkoda.

Tymczasem po tych wszystkich dobrych radach na temat edukacji syna królowi Władysławowi Jagiellończykowi w 1503 roku złośliwie urodziła się córeczka. Na syna musiał jeszcze poczekać. ●

Anna Brzezińska – pisarka, gwiazda polskiej fantastyki, mediewistka

REKLAMA

Kraj/34405060

1 RP

eprasa.pl 4631607220

weekendówka 178

PARYŻ WART JEST „WEEKENDÓWKI”

Zaczęło się od przyczyn czysto praktycznych. Otóż francuski król Filip August – ale taki serio bardzo francuski, bo to za jego czasów kraj, którym władał, zaczęto nazywać Francją (a nie królestwem Franków) miał na pieńku z Anglikami. Ba, któryż nie miał?

Ale wówczas w rękach Wyspiarzy, którymi rządziła dynastia Plantagenetów, pozostawało wiele ziem w zachodniej Francji, była też kwestia Księstwa Normandii, bynajmniej Francuzom niesprzyjającego. Dlatego król Filip, po koniec XII wieku rozkazał wznieść nieopodal Paryża warownię, z murami i fosą, by ta strzegła od zachodu stolicy. Pozostałości tejże (warowni, nie stolicy) można zresztą oglądać do dziś. Bardzo możliwe zresztą, że stąd wzięła się nazwa Luwr – od starogermańskiego leovar, co oznaczało strażnicę. Źródłosłów mógł być też jest inny: od wilka (łac. lupus, franc. loup), bowiem tereny, na których wzniesiono zamek miały być onegdaj pełne dzikiej zwierzyny – tak podaje m.in. Encyklopedia Larousse'a.

W wieku XIV inny francuski władca, Karol V Mądry, ustanowił ową fortecę swoją siedzibą, i założył tam bibliotekę. Luwr już nieco wcześniej znalazł się w obrębie Paryża i był otoczony murami miejskimi, ale posiadał i tak własne obwarowania.

Francuskim władcom najwyraźniej dobrze się w Luwrze rezydowało, bowiem w 1546 roku Franciszek I (jego dzieło kontynuował syn, Henryk II, bowiem już rok później Franciszek zmarł) zdecydował o przebudowie Luwru w stylu renesansowym: nad całością prac czuwał architekt Pierre Lescot, zaś za wystrój odpowiadał rzeźbiarz Jean Goujon. To właśnie projektu Lescota jest najstarsza część obecnego Luwru.

Królewską siedzibę rozbudowywali następnie kolejni królowie, m.in. Ludwik XIII, ale już jego potomek, Ludwik XIV, zwany „Królem Słońce” przeprowadził się wraz z całym królewskim dworem do Wersalu. Pomysł, by w przestrzeniach Luwru urządzić publiczną galerię, pojawiać się zaczął w wieku XVIII. Ludwik XVI, który ostatecznie przystał na ideę muzeum, zgodził się wystawić ponad 100 obrazów z królewskich zbiorów, ale pokazano je w Pałacu Luksemburskim w 1750 r.

Inauguracja Centralnego Muzeum Sztuk Pięknych (Museum Central des Arts) nastąpiła 10 sierpnia 1793 roku, dokładnie rok po uwięzieniu Ludwika XVI podczas Wielkiej Rewolucji Francuskiej.

Później muzeum przez kilka lat było zamknięte z powodu fatalnego stanu technicznego budynku. Otwarto je ponownie, z wielką pompą, 14 lipca 1801 roku, a 8 listopada 1801 roku sale Luwru i zgromadzone tam eksponaty ponownie oglądać mogli zwiedzający.

Dzisiejszą „Weekendówkę”, z racji ponownego otwarcia Luwru, poświęcamy więc Paryżowi. Chyba zgodzą się Państwo ze mną, że Paryż nie tylko wart jest mszy, ale i „Weekendówki” także. ●

Andrzej Kulasek, andrzej.kulasek@agora.pl

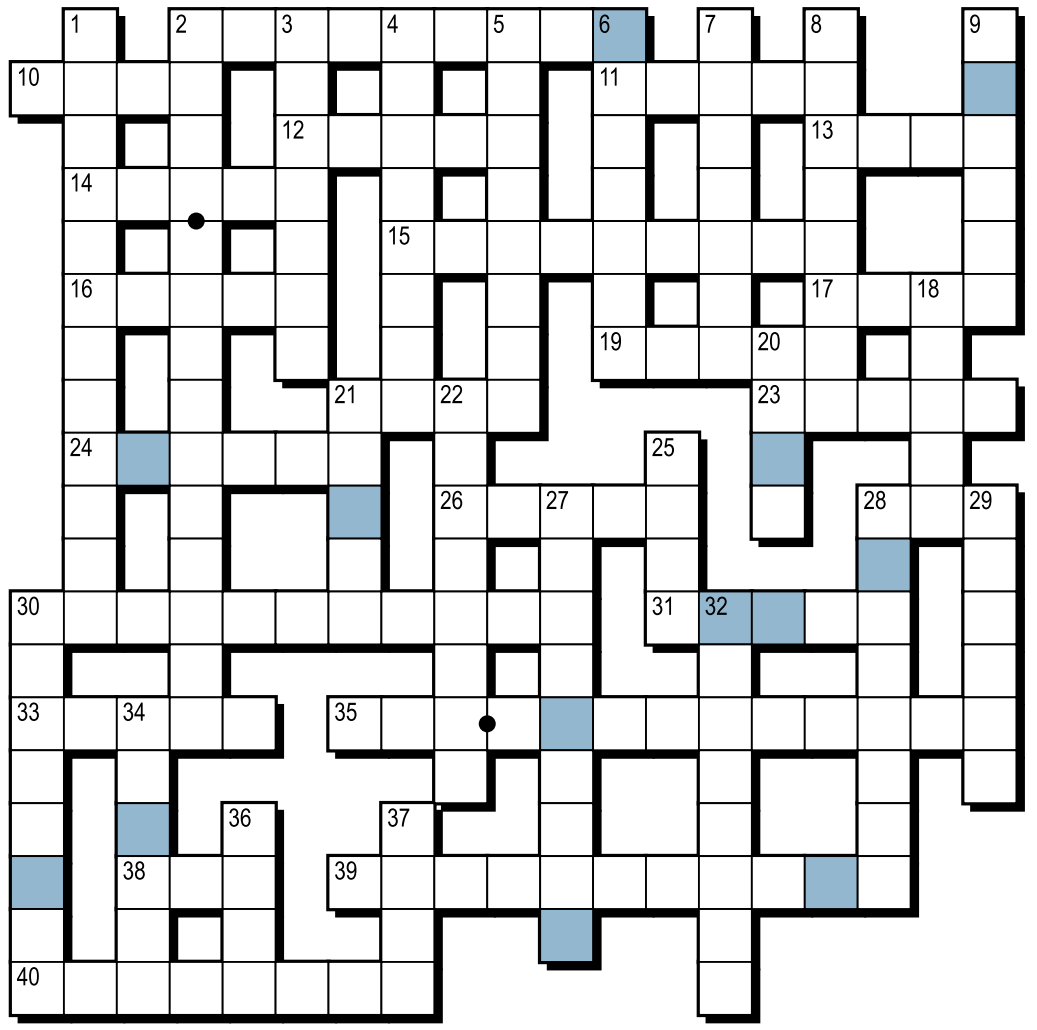

PARYSKI SPLIN
Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:
2) ... nauki (np. Sorbona) lub ... sztuki (np. Muzeum Picassa)
10) ... Chanel, założycielka paryskiego domu mody
11) 7 pionowo
12) na ścianie Conciergerie (Pałac Sprawiedliwości), działa od 1371 r.
13) paryski ... ubierania się
14) ... komunikacyjna, np. Bulwar Peryferyjny (śródmiejska obwodnica stolicy)
15) podziwiane w 17 poziomo
16) Woody, reżyser filmu „O północy w Paryżu”
17) dom Wenus z Milo
19) ... terrorystyczne, w listopadzie 2015 r. w Paryżu
21) plan miasta
23) ... Buloński
24) film o młodej paryżance, który przyniósł Audrey Tautou światową sławę
26) ... Garnier (obiekt kultury)
28) ... Debiutantek, impreza charytatywna odbywająca się m.in. w Paryżu
30) wśród sportowców rywalizujących na igrzyskach olimpijskich (w Paryżu już trzykrotnie)
31) paryski ulicznik; gawrosz
33) ... Alma, miejsce wypadku księżnej Diany w 1997 r.
35) monumentalna budowla na placu de Gaulle'a (placu Gwiazdy)
38) ... Paryża, odpowiednik burmistrza
39) wytwornej amazonki na wspaniałej kasztance – po 23 poziomo (w powieści Camusa „Dżuma”)
40) paryski ulicznik; gawrosz

Pionowo:
1) paryska dzielnica na południe od ogrodu Luksemburskiego
2) aleja od placu Zgody do placu de Gaulle'a
3) „Najlepsze kasztany są na placu Pigalle. ... lubi je tylko jesienią”
4) utożsamiana z bułką paryską
5) przyjechała zwiedzić Paryż
6) była nią Maria Antonina ścięta w 1793 r.
7) pod Pont Neuf i Pont des Arts
8) więzienie zburzone przez lud Paryża 14 lipca 1789 r.
9) francuski filozof, który urodził się i zmarł w Paryżu, autor powiastki filozoficznej „Kandyd, czyli Optymizm”
18) niebosiężne żelastwo Eiffla
20) PSG, czyli Paris Saint-Germain
21) namalował „Śniadanie na trawie”, podziwiane w muzeum d'Orsay
22) „Paris Paris” Catherine Deneuve i Malcolma McLarena
25) powieść Emila Zoli o paryskiej kurtyzanie
27) Wielka ..., nastąpiła po powstaniu listopadowym, a jednym z jej głównych ośrodków stał się Paryż
28) ... Sacré-Cœur, w dzielnicy Montmartre
29) „Berlin-Paryż-...”, piosenka zespołu T.Love
30) de Gaulle'a lub Orly
32) Centrum ..., z muzeum sztuki współczesnej
34) brazylijski piłkarz, przez wiele lat grał w 20 pionowo
36) nazwisko autora powieści, której bohater spotyka w Paryżu profesora Geista
37) paryski – wspomniany w epilogu „Pana Tadeusza”

Leszek Rydz

Rozwiązanie „Weekendówki” nr 177 z 25.10:

Poziomo: 4) próba 6) Wesele Figara 8) Jolanta 10) libretto 12) Leoncavallo 13) Otello 15) Tell 17) Wagner 18) koncert 20) Don 21) operetka 23) Parsifal 25) Jan 26) Halka 27) Ludomir 29) Glinka 31) Neron 34) Iwan 35) Orfeusz 37) Olimpiada 38) baletoman 39) Jensen

Pionowo: 1) Beethoven 2) Rigoletto 3) Dario 4) Pajace 5) Biała dama 7) Egipt 9) telenowela 11) Roland 14) Traviata 16) Lord Jim 18) Kniaź Igor 19) Cosi fan tutte 22) tenor 24) aplauz 26) Hrabina 28) Danton 30) Madame 32) ruiny 33) napój 36) film

HASŁO:
WIERNA NIMFA

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34392298

Literówka · Quizy
Sudoku · Krzyżówki
Szukaj w APLIKACJI WYBORCZEJ

Zeskanuj QR kod i pobierz aplikację
POBIERZ Z Google Play
Pobierz w App Store
1 RP

eprasa.pl 4631607220